tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 18 (1164)
25.04-1.05.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
WIELKA DZIEJOWA ZMIANA

DR PIOTR OSTROWSKI
1 MAJA TO NAJWAŻNIEJSZE ŚWIĘTO

JAKUB DYMEK
UPADAJĄ MITY NEOLIBERALIZMU

„ŻBIK": MORD W PRZEDBORZU I ODZNACZENIE

Premier czaruje

KREDYTOWA BOMBA TYKA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
18>
9 771509 311201

eprasa.pl cf59a59924

STODOLA
more than live music
MORCHEEBA
22 CZERWCA 2022
KLUB STODOŁA | WARSZAWA
BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL
@KLUB.STODOLA
@KLUB.STODOLA

Jerzy Domański

Eksperci i „eksperci”

Taki mamy marny sezon, że co krok to kłopot. I ból głowy. Największy z powodu wojny w Ukrainie. I podwyżek cen. Drożeje prawie wszystko i prawie codziennie. Do nowych cen też nie ma co się przywiązywać, bo mają bardzo krótkie terminy ważności. Prawie wszystkie rozmowy krążą teraz wokół tego, co ile kosztuje i jak bardzo podrożało. I wokół kredytów. Każdy ma w rodzinie czy wśród znajomych jakiegoś kredytobiorcę. Nie trzeba jechać na survival. Ekstremalne przeżycia można mieć w domu. Tyle że drogie jak diabli.

Jakby nieszczęść było mało, mamy wysyp „ekspertów” od wojny w Ukrainie. Telewizje informacyjne zamęczają widzów wypowiedziami ludzi, którym nie przeszkadza brak elementarnej wiedzy. Gadają i gadają – nic później się nie sprawdza. Wystarczy wrócić do ich wypowiedzi z połowy marca. Żenująca ignorancja większości zabierających głos, w tym wielu polskich generałów.

Są oczywiście fachowi analitycy. Nie brakuje racjonalnych opinii. Ale toną one w morzu celebryckiego lansu, prymitywnej propagandy i emocji na pokaz. Kilka godzin z którąś z telewizji informacyjnych to najprostsza droga do wyprania sobie mózgu. Nawet nazwa telewizja informacyjna jest żartem. Bo informacji i faktów jest tam najmniej. A najwięcej agitacji, kłamstw i manipulacji. Na szczęście ubywa smakoszy tych półproduktów. Coraz częściej słyszę od czytelników o ograniczaniu kontaktu ze stacjami telewizyjnymi, które kiedyś były dla nich źródłem wiedzy i autorytetem. Rozczarowani miałkością i traktowaniem widzów jak dzieci wyzwalają się z tego nałogu.

Na szczęście w Polsce nie brakuje ludzi mądrych, których poglądy warto znać. Ostatnio miałem okazję wyrównać deficyty wiedzy, w jakie wpadłem, gapiąc się na „ekspertów” od wojny w Ukrainie. Prof. Mączyńska zorganizowała debatę nad książką prof. Kołodko „Świat w matni”. Autor ma wiedzę, która stawia go w światowej czołówce. Dlaczego mamy w Polsce tak wielki kryzys przywództwa? Zdaniem prof. Kołodko przywódca powinien być pryncypialny, uczciwy i mądry. A jak jest? Widzimy. Trzeba się rozejrzeć za ludźmi, którzy spełniają te trzy kryteria.

ZAPROSZENIE

Mamy problem – słabą stroną naszej działalności są media społecznościowe. Musimy to zmienić. Bo chcemy za ich pośrednictwem dotrzeć z „Przeglądem” i naszymi książkami do nowych środowisk. Do ludzi, którzy mogą być zainteresowani tym, co robimy.

Jeśli masz takie umiejętności, jeśli wiesz, jak można to skutecznie zrobić, zapraszamy do współpracy.

Kontakt: rekrutacja@tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl cf59a59924

W NUMERZE

KRAJ
8 **Uważam 1 Maja za najważniejsze święto** – rozmowa z dr. Piotrem Ostrowskim
11 **Kredytowa bomba tyka** Dramat kredytobiorców dopiero się zacznie
18 **Tu jest jak w raju** Ukraińskie dzieci w Polsce
34 **Wielka dziejowa zmiana** – rozmowa z prof. Zbigniewem Mikołejką

OPINIE
14 **Jakub Dymek** Koniec „państwa minimum"

WOJNA W UKRAINIE
20 **Ukrainki wkładają mundur i walczą** 17% w siłach zbrojnych stanowią kobiety

ZAGRANICA
22 **Idzie głód** Świat w obliczu kryzysu
26 **Zwycięstwo, ale nie do końca** Korespondencja z USA
54 **Tabu na talerzu** Indie od kuchni

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
29 **Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce**
39 **Panie premierze, mamy pytania**

HISTORIA
30 **„Żbik" i mord w Przedborzu** Bohater prawicy zabijał Żydów

TECHNOLOGIE
40 **Sztuczny uśmiech sprzedawcy** Profile nieistniejących pracowników

KULTURA
42 **„Dziennik Anne Frank" to owoc pracy geniusza** – rozmowa z Arim Folmanem
46 **Qulturalia**
66 **Kuczyński vs. Sarnecki**

NAUKA I ZDROWIE
48 **Dlaczego chodzenie pomaga nam myśleć** Spacer przeciw starości
52 **Nowoczesne leczenie, dłuższe życie** – rozmowa z prof. Krzysztofem Jamroziakiem

ZWIERZĘTA
58 **Ssaki, czyli specjaliści od poligamii** Kto wybiera partnera

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański** Eksperci i „eksperci"
17 **Jan Widacki** Polska liderem Europy
25 **Andrzej Romanowski** Połtawa
33 **Roman Kurkiewicz** Doktryna szoku – reaktywacja
45 **Tomasz Jastrun** Choroby przewlekłe
47 **Wojciech Kuczok** Zrzędzenie losu

20 WOJNA W UKRAINIE

UKRAINKI WKŁADAJĄ MUNDUR I WALCZĄ

17% w siłach zbrojnych to kobiety

54 OBSERWACJE

TABU NA TALERZU

Indie od kuchni

58 ZWIERZĘTA

SSAKI, CZYLI SPECJALIŚCI OD POLIGAMII

Kto wybiera partnera

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, LEON NEAL/PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS

eprasa.pl cf59a59924

Polityka historyczna na opak

Na wieść o inwazji Rosji na Ukrainę polskie urzędy odpowiedzialne za politykę historyczną rozpoczęły swoją wojnę – z poległymi żołnierzami polskimi. Zaczęło się od apelu prezesa IPN o usunięcie z przestrzeni publicznej „nazw i symboli upamiętniających komunizm". W Międzybłociu zburzono więc pomnik, który zdaniem IPN upamiętniał komunizm. Widniał na nim napis: „Przechodniu, wiedz, że życie nasze poświęciliśmy za Ojczyznę", a upamiętniał 99 żołnierzy Wojska Polskiego i 9. Armii Czerwonej poległych w walce o wyzwolenie Złotowa 30 i 31 stycznia 1945 r. W swoich mediach społecznościowych IPN pochwalił się zburzeniem „pomnika żołnierzy Armii Czerwonej i komunistycznego wojska polskiego", pisanego celowo małymi literami.

Sprawa została opisana przez kilka redakcji, jednak żadna nie podjęła próby weryfikacji faktów. Onet podał komunikat, że „czerwonoarmista runął na ziemię", „Gazeta Wyborcza", RMF, „Wprost", „Fakt" i media lokalne nazywają miejsce pamięci po prostu „pomnikiem Armii Czerwonej".

W piątek 15 kwietnia prezydent podpisał ustawę zakazującą zmian nazw ulic upamiętniających m.in. tzw. ojców niepodległości, świętych katolickich, ale także udział w walce o niepodległość lub ochronę granic państwa. Dla pisowców żołnierze, którzy wyzwalali Polskę, to „komunistyczne wojsko polskie", więc ustawa nie obejmuje obiektów przeznaczonych przez IPN do „dekomunizacji".

Jeszcze kilka lat temu prezydent deklarował, że „nie wolno dzielić tych, którzy zginęli za ojczyznę", jednak dziś, gdy ostatni weterani II wojny światowej odchodzą, jego obóz zabija też pamięć o ich poświęceniu.

Jakub Woroncow

Operacja Smoleńsk 2.0

Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Donald Tusk przyjął propozycję ówczesnego prezydenta Rosji Miedwiediewa powołania wspólnej, polsko-rosyjskiej komisji rządowej do zbadania tej katastrofy. Tusk jednak tę propozycję odrzucił, bo chciał zdjąć temat katastrofy z afisza w perspektywie nadchodzącej jednej i drugiej kampanii wyborczej. W konsekwencji katastrofę badał tak dziwny twór jak MAK Anodiny, co od razu było wodą na młyn Jarosława Kaczyńskiego. I zamiast zdjęcia tematu katastrofy Tusk otrzymał coś zupełnie odwrotnego.

Bohdan Piętka

•

Po co ruszać temat Smoleńska? Przecież to jest działanie na korzyść PiS. Bo nieważne jak, ważne, że w ogóle – i się kręci żenujący spektakl smoleński.

Michał Łuksa

Negocjacje Rosja-Ukraina: jaka to jest gra?

Przy zielonym stoliku grają w pokera: USA, Chiny i Rosja. Rosja w tej chwili ma problem, bo karta jej nie idzie, ale to zawsze może się zmienić. Ci, co obserwują tę grę, mogą być pewni, że nie zastąpią Rosji przy tym stoliku. Ci, którzy tylko kibicują, też mogą ponieść straty. Warto włączyć myślenie, a nie jałowe gadanie, jak to robią u nas. Polska do żadnego większego grona nie wejdzie. To mrzonki. Nigdy nie warto palić mostów, bo mogą jeszcze się przydać. Tym bardziej gospodarczych.

Andrzej Kościański

ZDJĘCIA TYGODNIA

Twarzą w twarz. Emmanuel Macron i Marine Le Pen podczas debaty telewizyjnej 20 kwietnia.

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl cf59a59924

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Już ponad 900 tys. osób z Ukrainy otrzymało numer PESEL, uprawniający m.in. do podjęcia pracy i nauki. 96% stanowiły kobiety i dzieci.

Rolnicy będą otrzymywali emerytury z KRUS także wtedy, gdy nie zaprzestaną prowadzenia gospodarstwa. Co dotąd było niemożliwe.

Konstanty Gebert (Dawid Warszawski) nie zgodził się na zmianę użytego wobec ukraińskiego batalionu Azow określenia „neonazistowski" na proponowane przez „Gazetę Wyborczą" słowa „skrajnie prawicowy" i po 33 latach zakończył współpracę z redakcją.

Nagrodę Ministra Edukacji i Nauki za Najlepszą Książkę Akademicką dostała „Psychologia kliniczna dzieci i młodzieży" Iwony Grzegorzewskiej, Lidii Cierpiałkowskiej i Anety R. Borkowskiej (Wydawnictwo Naukowe PWN SA).

Szykuje się gra komputerowa „Ibru" realizowana na podstawie powieści Olgi Tokarczuk „Anna In w grobowcach świata".

Wesoła jest najbardziej zieloną dzielnicą w Warszawie, a Zwierzyniec w Krakowie (ranking Otodom i Heksagonu).

Karol Nawrocki, prezes IPN, odnalazł swoje powołanie w nawoływaniu do burzenia pomników. Sensu w tym tyle, ile w wydawnictwach IPN. I w zburzeniu pomnika w Międzybłociu (woj. wielkopolskie), który upamiętniał polskich żołnierzy poległych w walce z niemieckim okupantem.

Mateusz Morawiecki korzysta z każdej okazji, by ogłosić swój kolejny sukces. Załatwił nam nawet mistrzostwa świata w siatkówce. Co zbyt trudne nie było. Wygrał ten, kto wyłożył największą kasę.

Barbara Schabowska, mianowana przez PiS dyrektorka Instytutu Adama Mickiewicza, zlikwidowała część publicznego portalu o polskiej kulturze. Culture.pl od 2001 r. promuje polską kulturę za granicą. **Schabowska zamknęła część rosyjskojęzyczną.** Bo i po co ludzie mówiący w tym języku mają czytać o polskiej kulturze?

Julia Przyłębska, prezes Trybunału Konstytucyjnego, bez podstawy prawnej utajniła oświadczenia majątkowe pięciorga sędziów TK: Krystyny Pawłowicz, Bartłomieja Sochańskiego, Michała Warcińskiego, Justyna Piskorskiego i Jarosława Wyrembaka.

Małgorzata Manowska, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, wyraziła zgodę na objęcie klauzulą tajności oświadczenia majątkowego Julii Przyłębskiej za 2021 r.

PRZEBŁYSKI

Pietrzak po liftingu

TVPiS w Poniedziałek Wielkanocny urządziła fetę Janowi Pietrzakowi. Pochwalamy. Należało się absolwentowi Korpusu Kadetów im. gen. Karola Świerczewskiego w Jeleniej Górze, Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej, wieczorowo-zaocznego kursu na Wydziale Socjologii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, członkowi ZMP i PZPR. Piękny życiorys. Przypomniano kilkanaście piosenek Pietrzaka z „Żeby Polska była Polską" na czele.
Szkoda tylko, że gdzieś zawieruszyła się „Dziewczyna z PRL-u": „Dziewczyno z PRL-u / Wierz mi, proszę, na słowo / Że w żadnym KDL-u / Gdzie bawiłem służbowo / Nie ma takiej jak ty / Nie ma takiej na pewno / Dziewczyno z PRL-u, prrr! / Bądź mi wierną!".
Chłopakowi z PRL-u nie przypomnieć „Dziewczyny z PRL-u". Wstyd.

Kasa, misie, kasa

Po awansie na mundial w Katarze zaczął się miły czas dzielenia kasy. A jest co dzielić. Od FIFA wpłynęło 9 mln dol. premii za awans i 1,5 mln na przygotowania. Z tych 9 mln 20-30% pójdzie do zawodników, trenerów, medyków i sztabu organizacyjnego. Kasiorkę podzielą Robert Lewandowski i rada drużyny. I oby tak się na tym nie skupili, że w Katarze będzie jak zwykle. Mecz otwarcia, mecz o wszystko

i mecz o honor. Jakkolwiek jednak by było, za te trzy mecze do kasy PZPN wpadnie kolejne 9 mln dol. Na brak pieniędzy związek nie może więc narzekać. Tym bardziej że gdy PZPN wyraźnie skręcił w stronę PiS, to politycy za fotki z piłkarzami dorzucili związkowi ekstra 15 mln zł na szkolenie młodzieży.
Ale chodzenie pod rękę z dojną zmianą jest bardzo ryzykowne. Nawet jak się ją kocha miłością wielką.

Nie świętowali rocznicy

Jak na kraj, w którym ciągle coś świętujemy, rocznica tego wydarzenia przeszła jakoś bez echa. Nie było fanfar. Rozmów z bohaterami. A nawet wywiadu w wolnych mediach, za które w Polsce robi amerykańska telewizja. A przecież w styczniu 1999 r. kraj oniemiał. Do Londynu wybrali się wówczas poseł ZChN Michał Kamiński, działacz ZChN Marek Jurek i redaktor naczelny „Życia" Tomasz Wołek. Z prywatną wizytą do osadzonego w strzeżonej przez policję willi Augusta Pinocheta. Wręczyli mu ryngraf z Matką Boską jako wyraz solidarności w imieniu polskiej prawicy. Andrzej Szczypiorski napisał wtedy w „Polityce", „że hołdownicze przekazanie ryngrafu w ręce starego mordercy jest obelżywe dla polskiej tradycji narodowej". A o delegacji krótko: „splotły się tutaj zgubne cechy ludzkiej natury, a mianowicie obłuda, pycha, próżność i głupota".

Litość nie popłaca

Rozmawiają dwaj profesorowie, wykładowcy prawa, przechadzający się po kampusie Uniwersytetu Warszawskiego.
– Co słychać?
– Właśnie idę na egzamin.
– Dzisiaj taka ładna pogoda, bądź łagodny dla studentów.
– Co? Łagodny? Dla Ziobry też profesorowie byli łagodni i popatrz, jak się skończyło!

FOT. YOUTUBE (2)

eprasa.pl cf59a59924

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego klasa robotnicza w Polsce nie popiera lewicy?

WALDEMAR WITKOWSKI,
Unia Pracy

Po pierwsze, w Polsce nie ma już typowej wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, bo nie ma już wielkiego przemysłu, a pracownicy większych zakładów nie czują wspólnej identyfikacji, opartej m.in. na przekonaniu o potrzebie istnienia związków zawodowych. Po drugie, większość robotników wierzy w ideologię indywidualnego sukcesu, w której przez co najmniej ostatnie 30 lat wychowywano polskie społeczeństwo. Mówi ona, że należy myśleć przede wszystkim o własnej kieszeni, a nie o tych, którym z jakichś względów jest trudniej. Lewica, która ma na ustach hasło solidaryzmu, nie znajduje zrozumienia u ludzi, którzy nie chcą się dzielić swoimi ciężko zapracowanymi pieniędzmi. Po trzecie, problemem jest wiarygodność części liderów partii lewicowych – wielu potencjalnych wyborców tych formacji uważa, że co innego mówią, a co innego robią.

RAFAŁ WOŚ,
publicysta

Klasa robotnicza nie popiera lewicy, bo lewica odwróciła się od klasy robotniczej. Większość lewicowych projektów III RP reprezentowała interesy ludu jedynie deklaratywnie. A gdy przychodziło do realizacji, lewica stawała po stronie innych grup – inteligencji, biznesu, klasy średniej itd. Bywało – i do dziś bywa – że ugrupowania deklarujące się jako lewica autentycznie brzydziły się ludem, uważając go za gniazdo ciemnoty albo za lud pisowski. Ludzie to wyczuwają i nie chcą mieć z lewicą, która nimi gardzi, wiele wspólnego.

MICHAŁ SYSKA,
Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a

Mamy dziś zatomizowanych robotników, a nie mamy zorganizowanej klasy robotniczej świadomej swoich grupowych interesów. I mamy lewicę, która z wielu różnych powodów nie jest w stanie skutecznie ponieść w lud kaganka klasowej świadomości. Czy można to zmienić? Wierzę, że tak. Jak? To temat na bardzo długą dyskusję. W sam raz na spotkanie po pierwszomajowym pochodzie.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

EWA GOJAWICZYŃSKA

Bo ideowej lewicy w Polsce nie ma. Ewentualnie jest kawiorowa. Klasa robotnicza zaś zainteresowana jest kiełbachą, a ten teren zagospodarowała partia o humorystycznej nazwie Prawo i Sprawiedliwość.

KAMIL ŁUKASZEK

Ponieważ lewica nie walczy o poparcie tej klasy, celując programowo w inne grupy społeczne. Lewica parlamentarna nie ma klasie pracowniczej nic do zaoferowania.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl cf59a59924

Uważam 1 Maja za najważniejsze święto

Klasa robotnicza w Polsce wciąż jest silna mimo bezpowrotnego zniszczenia wielu przedsiębiorstw

Rozmawia Robert Walenciak

Czy termin klasa robotnicza ma jeszcze sens?

– Kojarzy nam się to z XIX, z XX w., z okresem wielkich zakładów pracy i dominacją pracowników fizycznych. Zresztą słowo robotnik kojarzy się z kimś, kto wykonuje pracę fizyczną. Natomiast warto pamiętać, że w języku angielskim nazywa się to *working class*, czyli moglibyśmy mówić o klasie pracującej. Jeżeli przyjęlibyśmy takie nazewnictwo, byłby to dobry punkt wyjścia.

Jak dużą grupą jest klasa pracująca? 15 mln?

– Ponad 16 mln.

Urzędnicy państwowi i samorządowi też tam są?

– Powinniśmy ich do tej grupy zaliczyć.

To jak znaleźć w takiej grupie wspólne interesy?

– Niezwykle trudno. Bardzo byśmy pewnie chcieli widzieć strukturę społeczną na zasadzie marksowskiej dychotomii konfliktu klasowego. Jednak ta struktura jest dużo bardziej zróżnicowana: różne aspiracje, różne style życia, różne prestiże. Jest mnóstwo zmiennych, które mocno różnicują klasę pracowników, bo są w niej lekarze, specjaliści IT i pomocnicy na budowie, nikomu nic nie ujmując. Klasyczny, marksowski podział na posiadających i nieposiadających środki produkcji raczej jest trudny do zastosowania w naszym społeczeństwie. Choć naprawdę możemy znaleźć kilka argumentów na rzecz tego, że elementy dychotomicznej struktury społecznej, burżuazja-proletariat, pracodawcy-pracownicy, wciąż występują.

Jakie elementy?

– Na rynku pracy mamy tych, którzy zatrudniają, i tych, którzy są zatrudniani, w różnych formach. My, jako związki zawodowe, walczymy, żeby to była umowa o pracę. Ale też mamy spory udział umów cywilnoprawnych, które nazywamy umowami śmieciowymi. Jest jeszcze grupa tzw. pracujących na własny rachunek, część z nich – wiemy o tym doskonale – to fałszywi samozatrudnieni, osoby do tego przymuszone, głównie ze względu na koszty. Spójrzmy, co mówi Kodeks pracy. Mówi o dwóch stronach: pracodawcy i pracowniku. Gdy spojrzymy na wymiar instytucjonalny – najważniejszy to Rada Dialogu Społecznego. Mamy w niej rząd i przedstawicieli dwóch stron: organizacji pracodawców i związków zawodowych. Ogląd tego, co się dzieje w sferze instytucjonalnej, w sferze językowej, na rynku pracy, wciąż nam ten podział przypomina. Nie chcę zatem powiedzieć, że teza o braku klasowości w Polsce jest fałszywa. To raczej początek ciekawej dyskusji.

> Wciąż aktualny jest postulat godnej pracy. Z tą godnością wiąże się bardzo często bezpieczeństwo.

Pół Polski już nie stanie

Są przecież resztki wielkoprzemysłowej klasy robotniczej.

– Moim zdaniem ona wciąż jest silna.

Boją się w Warszawie górników?

– Nie tylko w kopalniach szukajmy tej klasy. Jej obecność to konsekwencja tego, że jesteśmy częścią globalnego łańcucha dostaw, choć zazwyczaj niestety montownią. Przemysł samochodowy jest u nas silny, przemysł chemiczny, AGD, elektronika… Spójrzmy na ostatnie strajki, w połowie zeszłego roku czy na początku obecnego, czyli Paroc, Solaris. Czyli przemysł! Klasa robotnicza w Polsce, może już nie tak bardzo wielkoprzemysłowa jak

eprasa.pl cf59a59924

kilkadziesiąt lat temu, nadal jest silna. W dalszym ciągu istnieje mimo 30 lat transformacji i bezpowrotnego zniszczenia wielu przedsiębiorstw przemysłowych.

Solidarności takiej jak kiedyś już nie ma między załogami. Pół Polski już nie stanie.

– Oczywiście, jest inaczej. W latach 80. XX w. było to o tyle prostsze, że wszyscy byli w gruncie rzeczy pracownikami państwowymi. Opór wobec aparatu państwa miał więc inne znaczenie. Dziś każdy myśli kategoriami własnej firmy, własnych interesów. To jest wytłumaczalne. Ale to nie znaczy, że solidarności robotniczej nie ma. Gdy strajkowały Paroc i Solaris, pracownicy innych przedsiębiorstw, innych branż, przesyłali listy poparcia, demonstrowali solidarność, wspierali finansowo strajkujących. Poczucie, że gdzieś tam dzieje się krzywda, że inni walczą i trzeba im pomóc, trzeba ich wesprzeć, czymkolwiek, jednak istnieje.

Ale to nie jest Francja, gdzie staje pół kraju.

– Pytanie, czy pół Francji strajkuje, czy pół Francji wychodzi na ulice. W proteście przeciwko reformie ochrony zdrowia, reformie emerytalnej… To jednak jest społeczeństwo inaczej zorganizowane, które potrafi się zmobilizować w kontrze do niepopularnych propozycji. Nie zawsze związki zawodowe liderują tego typu wystąpieniom, choć bardzo często są gdzieś w awangardzie, mimo swojej relatywnej słabości. Bo uzwiązkowienie we Francji jest niższe niż w Polsce. Wynosi 7%!

Solidarność ludzi pracy

Trudno wymagać solidarności, kiedy tak naprawdę ludzi pracujących bardzo wiele dzieli. Bo co może łączyć superfachowca z petrochemii z pomocnikiem na budowie?

– Możemy tej solidarności poszukiwać gdzie indziej, na innych obszarach. Są pewne kwestie bardzo wąskie, dotyczące określonej branży, ale są również ogólnospołeczne. Płaca minimalna jest taką. Kwestia waloryzacji rent i emerytur też dotyczy wszystkich. Nie tylko obecnych emerytów i rencistów. Gdy rośnie płaca minimalna, wiemy, że jest to mechanizm napędzający płace jako takie. Mamy w państwie bardzo wiele mechanizmów, które odwołują się do solidarności ludzi pracy, bez względu na reprezentowaną branżę.

Latem 2021 r. wiele mówiło się o jesiennych protestach. Grupy mało zarabiające parły do nich, ale branże bogate, tam gdzie są wyższe pensje, były sceptyczne. I protestów nie było.

– Nie jest łatwo namówić wszystkich do protestów, zawsze ktoś odpowiada: przecież to nie nasza sprawa. Wielką sztuką jest przenieść to, co zaistniało w skali mikro, na poziom makro. Przekonać inne branże, inne zakłady, że jeśli teraz ciebie poprą, to gdy będą w potrzebie, ty poprzesz ich. To nasze zadanie – central związkowych. Są takie branże, które to rozumieją, przyjeżdżają w geście solidarności. Maszyniści są tacy.

Dobrze zarabiają.

– Różnie w różnych spółkach. Obecnie trwa spór w Polregio, to największe przedsiębiorstwo kolejowe w Polsce, a zarobki są tam relatywnie niskie. Mamy tam problem ucieczki pracowników do spółek, w których płaci się lepiej. Oczywiście ze szkodą dla regionalnego przewoźnika. Polregio obsługuje regionalne siatki połączeń, kluczowe dla ludzi codziennie dojeżdżających z mniejszych miejscowości do dużych miast, do pracy. Bywa zatem różnie.

Związki zawodowe: żyjemy i radzimy sobie

W Polsce stosunkowo łatwo zmienić pracę, branżę, przekwalifikować się. Przynajmniej w dużych aglomeracjach. Trudniej w takiej sytuacji budować solidarność społeczną.

– To jest dla nas wyzwanie. Związki zawodowe najlepsze lata miały wtedy, kiedy mieliśmy fordowski system pracy, duże zakłady pracy, zatrudnienie od kołyski aż po grób.

Wspólne osiedle mieszkaniowe…

– Dziedziczenie z pokolenia na pokolenie tego samego zawodu. Słyszę wciąż na Śląsku: my tutaj z dziada pradziada górnikami byliśmy, a chcecie teraz to zabrać, bo Zielony Ład przychodzi. Przełom XX i XXI w. jest okresem mobilności, odchodzenia od fordyzmu, zmniejszania przedsiębiorstw, lawinowego napływu usług, małych firm, które pojawiają się i znikają. To się przełożyło na zatrudnienie. I to jest jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego związki zawodowe gorzej sobie radzą.

Bo jest inny świat?

– Bo mamy inne otoczenie. Jeżeli mamy ustrój związków zawodowych, który przyporządkowany jest do konkretnego miejsca pracy, to gdy pracownik zmienia miejsce zatrudnienia, już nie możemy za nim podążać. Choć, jeżeli ma dobre doświadczenia związane z działaniami związku, w nowym miejscu pracy też będzie czegoś podobnego poszukiwał. Może więc zapisze się do związku, może pomyśli o jego założeniu. Ważne, żeby miał wykształcony zmysł wspólnego działania, myślał w kategoriach wspólnoty.

To w Polsce raczej rzadkie.

– Mówi się, że kategorie pracy we wspólnocie, wartość pracy w grupie i kolektywnego działania nie są dominującą cechą naszego społeczeństwa. Ale gdyby było aż tak źle, mielibyśmy potężną próżnię społeczną. Tymczasem istnieją obszary

Zjawisko obecności imigrantów na polskim rynku pracy będzie z nami już zawsze.

Sporo zawodów cieszy się wysokim prestiżem – lekarz, pielęgniarka, nauczyciel, urzędnik. Choć nie zawsze są odpowiednio opłacane.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cf59a59924

wspólnego działania, chociażby to, co się dzieje w przypadku pomocy uchodźcom z Ukrainy. Pomagają ludzie, którzy działają w ramach organizacji pozarządowych, związki zawodowe także są w to włączone.

1 maja to dzień, kiedy pracownicy są na pierwszym planie, kiedy o nich się mówi.

Ludzie przekonują się, że warto działać razem?

– Wielu było takich, którzy w latach 90. nam, związkom zawodowym, wieszczyli upadek. A jednak wciąż działamy. Może nie odwróciliśmy trendu, nie mamy do czynienia z sytuacją, w której uzwiązkowienie lawinowo rośnie, ale powoli budujemy swoją pozycję.

Sektor rdzenia i sektor peryferii

Łatwiej budować związki w wielkich firmach, w małych to prawie niemożliwe.

– Ważną kategorią, również socjologiczną, do opisu tego, co się dzieje na rynku pracy, jest podział na sektor rdzenia i sektor peryferii. Sektor rdzenia to te miejsca pracy, które są pewniejsze, gdzie zarobki są lepsze, które są silniej uzwiązkowione niż reszta. Peryferie – to mniejsze przedsiębiorstwa o dużej fluktuacji, z przewagą umów śmieciowych, uzwiązkowienie jest tam niskie lub żadne. Atmosfera w miejscu pracy jest gorsza. Kto się lokuje w tych dwóch grupach? Dawna wielkoprzemysłowa klasa robotnicza w dużej mierze lokuje się w sektorze rdzenia. To sektor górniczy, energetyka, tradycyjny transport, sektor przemysłu, wytwórczość. A peryferie to sektor usług, małych firm albo firm działających jako uzupełnienie dużych.

A pracownicy? Jak się lokują?

– To widać w Europie Zachodniej – że w sektorze peryferii lokują się emigranci zarobkowi. My to gdzieś od 2014 r. widzimy w Polsce w przypadku pracowników ze Wschodu. Sądzę, że zjawisko obecności imigrantów na polskim rynku pracy będzie z nami już zawsze. Będziemy mieli na rynku bardzo wielu imigrantów, którzy w większości będą się lokowali na rynku peryferyjnym. To jest też wyzwanie dla związków zawodowych. Bo to nie tylko trudność dotarcia do peryferyjnego rynku pracy i zagwarantowania tam godnych warunków, ale jeszcze dochodzi czynnik imigrantów, spraw komunikacyjnych, znajomości prawa itd.

Jak się nie dać w zmiennych czasach

Jakie są aspiracje ludzi pracy?

– Wciąż aktualny jest postulat godnej pracy. Co to znaczy? Dla jednych będą to po prostu godne zarobki. Żeby się nie martwić, że nie wystarczy do pierwszego. Żeby coś odłożyć, pojechać na wakacje. Żyć godnie i nie martwić się, co będzie za miesiąc, za pół roku. Z tą godnością wiąże się bardzo często bezpieczeństwo. Że to jest praca bezpieczna. Ale nie tylko z punktu widzenia BHP.

Musimy się przyzwyczaić do tego, że nigdy nie skończymy się dokształcać.

Chodzi o to, że nie wyrzucą mnie z dnia na dzień.

– Że mam perspektywy utrzymania tej pracy, rozwoju, że mogę awansować, że osiągnę coś więcej… Ważny jest prestiż zawodowy. I ważne, żeby ten prestiż szedł w parze z godną płacą. To jest bardzo widoczne w usługach publicznych. Sporo zawodów cieszy się w tej grupie wysokim prestiżem – lekarz, pielęgniarka, nauczyciel, urzędnik… To są pracownicy, którzy czują się ważni, widzą, że ich praca jest potrzebna. Choć nie zawsze, jak w przypadku nauczycieli, jest odpowiednio opłacana. Kolejny aspekt – atmosfera w miejscu pracy. Te wszystkie kwestie związane z mobbingiem, nękaniem psychicznym, molestowaniami, dyskryminacją. To jest naszą bolączką, przodujemy w statystykach dotyczących depresji, problemów psychicznych w miejscu pacy. To się wiąże z folwarcznym stylem zarządzania, częstym w Polsce. A praca powinna przebiegać w cywilizowanej atmosferze.

Ale takiej stabilnej pracy, od kołyski aż po grób, już chyba nie ma. Z wyjątkiem służb państwowych.

– Żyjemy w zmiennych czasach i wyobrażenie sobie tego, co będzie za 20 lat, jest niesłychanie trudne. Ale są kraje, które starają się jakoś sobie z tym radzić, wzmacniając system kształcenia przez całe życie, co pozwala na przekwalifikowanie się. Wyciągnijmy z tego wnioski – musimy umieć reagować na zmieniającą się rzeczywistość. I nie znam lepszej instytucji niż instytucja kształcenia ustawicznego. Musimy się przyzwyczaić, że nigdy nie skończymy się dokształcać. To wymaga umiejętności pracy w grupie, od maleńkości, zakończenia wyścigu szczurów, testowania się. Niedawno usłyszałem bardzo ciekawą rzecz: w Szwecji trzeba bardzo się postarać i dobrze uzasadnić samodzielne pisanie pracy magisterskiej. Tam pracę magisterską pisze się w zespole dwóch, trzech osób. Dominuje myślenie grupowe: musicie pokazać, że umiecie współpracować, podzielić się obowiązkami. U nas jest zupełnie odwrotnie.

Nie zmartwi pana, że tradycyjnie niewiele osób przyjdzie na manifestację 1 maja?

– Myślę, że przyjdzie sporo. Uważam 1 Maja za najważniejsze święto. To ten dzień, kiedy pracownicy są na pierwszym planie, kiedy o nich się mówi. Czy więc będzie nas 1 tys., czy 2 tys. – róbmy to! Cieszmy się z każdej nowej osoby. Ile nas będzie, tyle nas będzie. W tym roku będziemy mieli dodatkowy wątek związany z wojną. Pamiętajmy, że ruch związkowy to także ruch antywojenny.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

KREDYTOWA BOMBA TYKA

Zaciągnięcie kredytu w Polsce, zwłaszcza mieszkaniowego, obciążone jest ekstremalnym ryzykiem

Marek Czarkowski

A było tak pięknie. Między majem 2020 r. a wrześniem 2021 r. stopy procentowe Narodowego Banku Polskiego osiągnęły historyczne minima. To przełożyło się na rekordowo niskie oprocentowanie kredytów hipotecznych. Polacy masowo ruszyli do banków po pieniądze na zakup działek, domów i mieszkań. Ceny nieruchomości rosły równie szybko jak kolejki w działach kredytów hipotecznych. Deweloperzy zacierali ręce, sprzedając mieszkania na pniu. Nawet te, których jeszcze nie wybudowano. Proces ten wspierały kampanie reklamowe zachęcające Polaków, by brali, ile tylko można, i spełniali swoje marzenia.

Rok 2021 okazał się rekordowy. Banki udzieliły 256 tys. nowych kredytów mieszkaniowych na kwotę ponad 86 mld zł. Mamy dziś w Polsce ponad 2,5 mln takich umów. A zadłużenie rodaków tylko z tego tytułu sięgnęło ponad 500 mld zł. I jest to prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem, której zegar właśnie zaczął tykać. Może się okazać, że wielu z tych, którzy zadłużyli się po szyję, nie będzie w stanie spłacić kredytu lub kredytów.

Pojawiają się pierwsze pomysły, jak rozwiązać problem. Choćby poprzez zamrożenie wskaźnika WIBOR albo ograniczenie marży banków. Obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Pozycja sektora bankowego w relacjach ze światem polityki jest zbyt silna. System został tak skonstruowany, że nawet najgorszy bank nie może upaść, by nie wzbudzać paniki wśród klientów.

Zadłużenie rodaków z tytułu kredytów hipotecznych sięgnęło ponad 500 mld zł.

Nie ma też znaczenia, czy kraj dotyka spowolnienie gospodarcze albo jakaś inna klęska. Szacunki mówią, że w tym roku polski sektor bankowy osiągnie zysk ok. 20 mld zł. A przecież za naszą granicą toczy się wojna. Mogą szukać u nas schronienia kolejne miliony uchodźców. Inflacja nie zwalnia. Ale banki będą nadal zarabiały jak gdyby nigdy nic.

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

eprasa.pl cf59a59924

Nowi frankowicze, choć bez franków

Kłopoty kredytobiorców zaczęły się pod koniec ubiegłego roku wraz z gwałtownym wzrostem inflacji i kolejnymi decyzjami Rady Polityki Pieniężnej o podniesieniu referencyjnej stopy procentowej, która wynosi dziś 4,5%. To nie wszystko. Inflacja w marcu wyniosła 11% i nikt nie wie, jaka będzie pod koniec roku. Nie brakuje opinii, że jeszcze w tym roku RPP podniesie referencyjną stopę procentową do 7%, a nawet 8%, co dla osób, które zaciągnęły kredyty, gdy ich oprocentowanie było bardzo niskie, oznacza mordercze podwyżki miesięcznych rat. Pojawił się strach o przyszłość.

Nic dziwnego, że ostatnio w mediach społecznościowych zaroiło się od takich wpisów: „Kredyt na zakup domu wzięliśmy w listopadzie 2021 r. Od tego czasu raty wzrosły z 2 tys. do 3,5 tys. zł, a już można przeczytać, że trzeba przygotować się na drugie tyle. Do 4 tys. pewnie moglibyśmy płacić, lecz więcej nie damy rady. Przyjdzie sprzedać dom i z rodziną znajdziemy się na bruku".

„Mam kredyt zaciągnięty na 30 lat w wysokości 498 300 zł. Miesięczna rata to dziś 2,8 tys. zł. Pod koniec maja nastąpi aktualizacja i rata wzrośnie do 3,3 tys. zł. Nie biorąc pod uwagę tego, co się wydarzy na posiedzeniu RPP na początku maja br. Co dalej?".

„Wziąłem kredyt mieszkaniowy w PKO PB. Początkowo miesięczna rata wynosiła 3,6 tys. zł. Dziś to już 6 tys., a pod koniec roku będzie pewnie więcej. Co mam zrobić?".

Szacunki mówią, że obecnie liczba zagrożonych kredytów to od 6,4% do 7% wszystkich, w tym kredytów hipotecznych, które dotychczas spłacane są regularnie. Problemy z ich spłatą dotyczą zaledwie 3% kredytobiorców.

Ponad 90% zaciągających kredyty hipoteczne zdecydowało się zawrzeć umowy, w których zapisano, że oprocentowanie będzie zmienne. Wydawało się to korzystnym rozwiązaniem, gdy stopy procentowe były niskie. Lecz dziś sytuacja zaczyna przypominać tę, w jakiej w przeszłości znaleźli się frankowicze. Raty gwałtownie idą w górę i nie wiadomo, kiedy ten proces się zakończy. Osoby, które nie mogą liczyć na podwyżki płac albo, co gorsza, mają problemy z pracą, już zaczęły zaciskać pasa. Przyjdzie im zapomnieć o wyjazdach na wczasy w kraju lub za granicę. Wypad do restauracji, teatru, kina, kawiarni stanie się luksusem. Muszą zrezygnować z zakupów nowych ubrań, butów, elektroniki itp. W końcu zaczną oszczędzać na żywności i lekach. Prawdziwe kłopoty jednak pojawiają się, gdy człowiek staje przed dylematem: czy zapłacić rachunki za światło, gaz i mieszkanie, czy spłacić kolejną ratę kredytu.

Ponad 90% zaciągających kredyty hipoteczne zdecydowało się na oprocentowanie zmienne.

Łatwo wtedy wpaść w spiralę zadłużenia, sięgając po kolejne chwilówki i pożyczki jeszcze bardziej morderczo oprocentowane.

Prognozy są złe. Za wschodnią granicą trwa wojna, Polska jest krajem frontowym i jeśli sytuacja gospodarcza się pogorszy, problemy kredytowe mogą mieć setki tysięcy ludzi.

Gwoli sprawiedliwości trzeba podkreślić, że banki, oferując kredyty hipoteczne, od pewnego czasu proponowały klientom raty o stałym oprocentowaniu, które dziś są korzystniejszym rozwiązaniem. Tyle że ci na swoje nieszczęście wybierali oprocentowanie zmienne. A ponieważ od chwili ogłoszenia przez Radę Polityki Pieniężnej podwyżek stóp procentowych do podniesienia rat kredytów musi zgodnie z prawem upłynąć trochę czasu, prawdziwa skala problemów ujawni się dopiero w drugiej połowie roku.

Jak powiedział w wywiadzie dla Radia TOK FM wiceprezes Banku Pekao SA Leszek Skiba: „Sektor bankowy widzi, że nie ma problemu ze spłatą kredytów, a gdyby takie się pojawiły, to warto skorzystać z Funduszu Wsparcia Kredytobiorców. Wynagrodzenia rosną na poziomie może lekko przekraczającym inflację, średnią w gospodarce. Ale jednak. Czyli tak naprawdę w większości przypadków ta rata rośnie silnie, na pewno wpływa na budżet domowy, na pewno powoduje obniżenie wydatków na inne rzeczy, ale nie powoduje jeszcze, że gospodarstwa domowe stają przed jakimś dramatycznym dylematem".

Nie sądzę, by prezes Skiba uspokoił tych, którzy zastanawiają się, czy starczy im do pierwszego. Oczywiście nie brakuje osób, dla których, nawet jeśli rata kredytu wzrośnie o 100%, nie będzie to wielkim problemem. Lecz wielu innych znajdzie się w rozpaczliwej sytuacji. Mając przy tym świadomość, że to nie ich wina. Wszyscy wiedzą, że Rada Polityki Pieniężnej, by zdusić inflację, sięgnie po kolejne podwyżki stóp procentowych, co wyhamuje polską gospodarkę. Pojawi się też silny nacisk na wzrost wynagrodzeń i, rzecz jasna, na wzrost cen. W efekcie czekają nas problemy społeczne.

Ich zapowiedzią są dane Komendy Głównej Policji. W pierwszych pięciu miesiącach ubiegłego roku odnotowano niemal 20-procentowy wzrost liczby prób samobójczych – z 4,8 tys. w roku 2020 do 5,7 tys. w roku 2021. Jednym z ich głównych powodów były problemy finansowe.

W przeszłości media nieraz opisywały frankowiczów, którzy targnęli się na życie. Dziś większa liczba takich zdarzeń wśród osób mających problemy finansowe nikogo nie obchodzi. Pandemia COVID-19 i wojna w Ukrainie oswoiły nas ze śmiercią.

A może upadłość konsumencka?

Bankom bardzo zależy na zyskach, ale i na utrzymaniu reputacji solidnych, godnych zaufania instytucji, które działają w interesie swoich akcjonariuszy i klientów. Dlatego ich przedstawiciele wskazują możliwość szerszego skorzystania z prowadzonego przez Bank Gospodarstwa Krajowego Funduszu Wsparcia Kredytobiorców. Obecnie zgromadzona

eprasa.pl cf59a59924

na nim kwota to ok. 600 mln zł. Fundusz jest przeznaczony dla osób, które zmuszone są wydawać na obsługę zaciągniętego kredytu ponad 50% dochodów osiąganych przez gospodarstwo domowe. By otrzymać wsparcie, należy spełnić jeszcze kilka dodatkowych warunków, co sprawia, że na te pieniądze mogą liczyć jedynie osoby znajdujące się w bardzo trudnej sytuacji. Przy czym maksymalna kwota, którą otrzyma kredytobiorca, nie może być wyższa niż 2 tys. zł, a okres trwania pomocy to 36 miesięcy. W tym czasie Fundusz Wsparcia Kredytobiorców będzie przelewał na rachunek bankowy przyznane nam środki, co może znacząco obniżyć wysokość płaconych przez nas rat.

Po upływie dwóch lat od wpłacenia ostatniej raty wsparcia z funduszu rozpoczyna się zwrot owych środków, które zostają podzielone na 140 równych rat. Jeśli terminowo spłacimy 100 rat, pozostała część zadłużenia zostanie umorzona.

Mniej korzystnym rozwiązaniem jest kredyt konsolidacyjny, adresowany do osób, które obok kredytu hipotecznego muszą jeszcze spłacać kredyt gotówkowy, ratalny, pożyczki pozabankowe, przyznany limit w koncie czy zadłużenie na karcie kredytowej.

Jeśli bank uzna, że klient ma odpowiednią zdolność kredytową, można połączyć wszystkie te zobowiązania w jeden kredyt z niższą ratą. Minusem takiego rozwiązania jest często znaczne wydłużenie się okresu spłaty.

Można też podjąć negocjacje z bankiem. Po takie rozwiązanie sięgają osoby, które wpadły w kłopoty, lecz gotowe są spłacić chociaż część zobowiązań. Zwracają się z wnioskiem np. o rozłożenie kredytu na większą liczbę niskich rat lub o umorzenie części odsetek. Bank może przyjąć propozycję, lecz nie musi. Może również przedstawić własne rozwiązanie.

Ostatecznym rozwiązaniem jest ogłoszenie upadłości konsumenckiej, czyli wszczęcie postępowania sądowego, którego celem jest oddłużenie i nowy start osoby fizycznej, która stała się niewypłacalna i tonie w długach.

Upadłość konsumencka oznacza wstrzymanie naliczania odsetek od zaciągniętych zobowiązań, a także działań windykacyjnych. W efekcie zaczynamy życie od nowa, bez majątku. Co w każdym wieku jest poważnym wyzwaniem.

2,5 mln osób obok kredytów hipotecznych spłaca kredyty gotówkowe, ratalne i z kart kredytowych.

Nadciąga kryzys, lecz sektora bankowego on nie dotyczy

W nadchodzących latach przyjdzie nam się zmierzyć z najpoważniejszym od dekad kryzysem gospodarczym. Pandemia COVID-19 zdemolowała światową gospodarkę, a wojna w Ukrainie jeszcze pogorszy sytuację. Inflacja w Europie i Stanach Zjednoczonych przybiera na sile, rwą się więzi kooperacyjne i handlowe. Jeśli Unia Europejska wprowadzi embargo na rosyjską ropę naftową i gaz ziemny, ceny niemal wszystkiego znacząco wzrosną. Oznacza to oczywiście wzrost kosztów obsługi zaciągniętych kredytów, w tym mieszkaniowych.

Z danych Biura Informacji Kredytowej wynika, że ponad pół miliona osób zaciągnęło kredyty mieszkaniowe w latach 2020-2021 na kwotę ponad 106 mld zł. Jest też licząca ponad 2,5 mln osób grupa, która obok kredytów hipotecznych spłaca kredyty gotówkowe, ratalne i z kart kredytowych. Wielu z tych ludzi, jeśli nie wzrosną im dochody, znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji. Rzecz w tym, że nie sposób dziś oszacować, jak wielka będzie skala problemu. Ekonomiści, dziennikarze i politycy wiedzą, że to może się zdarzyć, i szukają rozwiązań. Jednym z nich jest zgłoszony przez Lewicę pomysł zamrożenia stawki WIBOR, która ma wpływ na wysokość raty kredytu. Podobne rozwiązanie zaproponował na Węgrzech w trakcie kampanii wyborczej premier Viktor Orbán.

Większość ekonomistów odniosła się do tego krytycznie. Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński uznał, że byłaby to niedopuszczalna ingerencja w prywatne stosunki prawne. Sławomir Dudek z Forum Obywatelskiego Rozwoju wskazywał, że kiedy stawka WIBOR zostałaby zamrożona, nastąpiłby gwałtowny wzrost kosztów obsługi kredytów. Negatywnie wypowiedział się na ten temat również były premier i były prezes NBP prof. Marek Belka, który nazwał to, oraz inne koncepcje opozycji, jak walczyć z inflacją, „pomysłami z piekła rodem". I radził, by zwrócono się do banków komercyjnych o zwiększenie wkładów na Fundusz Wsparcia Kredytobiorców. „Do tej pory popyt na pożyczki z tego funduszu był minimalny. Teraz pewnie będzie rósł", ocenił były szef rządu. Jego zdaniem to rozwiązanie byłoby też korzystne dla sektora bankowego.

W tym roku polski sektor bankowy osiągnie zysk ok. 20 mld zł.

Z kręgów rządowych wypłynęła informacja, że jednym z rozważanych sposobów obniżenia kosztów kredytów mieszkaniowych byłoby obcięcie marży bankowej, która jest na stałe zapisana w umowach kredytowych. I ten pomysł spotkał się z krytyką, jako niedopuszczalna ingerencja w relacje między bankami a ich klientami. Dlatego sądzę, że ze spłatą kredytów hipotecznych i innych zaciągniętych w ostatnich latach będzie jak z frankowiczami – ludzie pokrzyczą, pohałasują, politycy udzielą kilku wywiadów... i nic się nie zmieni. Trzeba będzie zacisnąć pasa i płacić.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Koniec „państwa minimum”

W czasach pandemii i wojny nikt nie pyta: czy nas stać? Neoliberalne pomysły na państwo i gospodarkę odchodzą w przeszłość

Jakub Dymek

Ogłaszanie końca jakiejś epoki zawsze wiąże się z ryzykiem. Nikt nie chce podzielić losu Francisa Fukuyamy, którego nietrafione przepowiednie o ostatecznym triumfie demokracji liberalnej po 1989 r. stały się wręcz synonimem chybionej prognozy i elitarnej pychy. A wielokrotnie publicyści i komentatorzy ogłaszający wielki koniec jakiejś idei, ruchu politycznego czy trendu musieli posypać głowę popiołem w obliczu odrodzenia i sukcesów zjawisk i postaci złożonych przez nich do grobu. Dlatego i z ogłaszaniem końca neoliberalizmu – doktryny gospodarczej i politycznej, która ustawiała politykę w świecie Zachodu przez ostatnie 40 lat – należy być ostrożnym. Ale filary ideologii zwanej neoliberalną – tanie państwo, ograniczanie wydatków publicznych, niechęć do zadłużania się i wydatków socjalnych – kruszeją. Nawet liberalny brytyjski „The Economist” i amerykański „Financial Times” od początku pandemii raz na kilka tygodni przypominają, że czasy małego państwa i dominacji rynku nad urzędniczą ingerencją na naszych oczach się skończyły.

Trzy wielkie zerwania minionej dekady każą na poważnie postawić tezę o wyczerpaniu się obowiązującego jeszcze do 2015 r. paradygmatu. Zwycięstwo PiS, Donalda Trumpa i brexit pokazały, że wiara w nieomylność ekspertów i trwałość liberalnych instytucji jest zwodnicza. Podobnie jak przekonanie, że programy socjalne nie staną się na powrót modne i, co nawet ważniejsze, skuteczne. Pandemia COVID-19 pokazała, że globalizacja nie musi wiecznie rozwijać się bez przeszkód – może się zatrzymać lub nawet cofnąć. A uzależnienie światowej produkcji kluczowych dóbr od chińskiej potęgi przemysłowej ma również swoje wady. Wreszcie inwazja na Ukrainę pokazała to samo w odniesieniu do energii i importu surowców z Rosji. Ale rozbiła też mrzonkę o tym, że w bardziej zglobalizowanym i powiązanym handlowo świecie nie będzie już miejsca na wojnę.

Filary ideologii neoliberalnej – tanie państwo, ograniczanie wydatków publicznych, niechęć do zadłużania się i wydatków socjalnych – kruszeją.

Polityka, która zakładała zmniejszanie wpływu rządu i administracji na życie gospodarcze, odchudzanie wydatków socjalnych, prywatyzację funkcji opiekuńczych państwa i urynkowienie rządzących nim mechanizmów, przestała dawać użyteczne odpowiedzi na najważniejsze pytania XXI w. Owszem, wiemy, jakie neoliberalizm oferuje recepty i diagnozy na problemy w rodzaju bezrobocia, inflacji, długu publicznego czy małej innowacyjności gospodarki. Ale co z konkurencją ze strony Chin? Koniecznością zwalczenia niespotykanej w krajach Zachodu od stu lat epidemii? Zabezpieczeniem się przed agresją militarną? Barierami dla rozwoju w coraz starszym i długowiecznym społeczeństwie, którego młode pokolenia nie gromadzą majątku i nie tworzą tradycyjnie rozumianej klasy średniej? Zestaw narzędzi, które neoliberalizm proponował przez całe dekady – mniej państwa, niższe podatki i prywatyzacja – stracił zastosowanie.

Może i dzięki niższym podatkom więcej pieniędzy zostanie mi w kieszeni, ale co mi po pieniądzach, gdy nie mogę ich wydać w czasie pandemii, a wojna może przekreślić sens oszczędzania i inwestycji w cokolwiek – myśli coraz więcej osób w zamożnej Europie i świecie Zachodu. Redukcja deficytu i dopieszczanie tak ukochanych przez ekonomistów tabelek wzrostu nie uchronią nikogo przed śmiercionośnym wirusem lub rakietą. Zamiast wirtualnych i odroczonych na przyszłość zysków ludzie zaczęli się domagać widocznych tu i teraz efektów działania państwa: szpitali, mieszkań i czołgów. Badacze społeczni w rodzaju Guya Standinga zaczęli pisać, że społeczeństwa oczekują teraz od państwa i gospodarki nie tylko wzrostu dla wzrostu, tworzenia produktu krajowego brutto, ale *resilience*, czyli odporności. Jeśli jakaś gospodarka albo państwo jest w stanie wytworzyć odporność na kolejne kryzysy – klimatyczny, energetyczny, surowcowy, zdrowotny, wojenny… – będzie mogła wykorzystać swój potencjał. Jeśli ma potencjał, ale brakuje jej odporności – to nic po tym wzroście.

Nawet brytyjski „The Economist” i amerykański „Financial Times” przypominają, że czasy dominacji rynku nad urzędniczą ingerencją się skończyły.

Ograniczenia przestały istnieć

Kilka słów o definicjach. Neoliberalizm jest terminem niezwykle nadużywanym, a w lewicowej czy socjaldemokratycznej publicystyce

eprasa.pl cf59a59924

stanowi po prostu zastępnik wszystkiego, co autor lub autorka chce napiętnować. Na potrzeby tego tekstu uznajmy więc, że neoliberalizm w szerokim sensie i polityka taniego państwa czy państwa minimum w odniesieniu do Polski oraz *austerity* w Europie to różne oblicza tego samego zjawiska – doktryny cięcia publicznych wydatków i sprzeciwu wobec zadłużania się państw. Tej samej, którą były wicepremier rządów PO-PSL ujął kiedyś zwięźle: „pieniędzy nie ma i nie będzie". Oczywiście, że sam neoliberalizm jest zjawiskiem większym. Spójrzmy jednak, co stało się z jego filarami – wydatkami i długiem – w ostatnich latach.

Na kolejne tarcze antykryzysowe dla firm w trakcie pandemii rząd PiS wydał więcej (163 mld zł) niż na program 500+ przez ponad pięć lat jego obowiązywania (158 mld). A na cały pakiet działań mających uchronić polską gospodarkę i system finansowy przed pandemicznym kryzysem wydaliśmy nawet więcej – 312 mld według deklaracji Polskiego Funduszu Rozwoju – niż na wszystkie programy socjalne wprowadzone przez rząd PiS. Według szacunków portalu Business Insider i danych zgromadzonych w GUS trzynastki i czternastki, wyprawki szkolne, 500+ i inne programy dla rodzin kosztowały do jesieni 2021 r. jakieś 240 mld zł. Łącznie zatem przez kilka lat był to wydatek mniejszy niż środki, które rząd uruchomił na działania antykryzysowe w ciągu kilkunastu miesięcy pandemii.

Jeszcze szybciej, wręcz skokowo, wydatki na cele socjalne zwiększyła prawicowa administracja Donalda Trumpa. W USA wprowadzono świadczenia covidowe działające tak naprawdę jak gwarantowany dochód podstawowy dla milionów Amerykanów. Przekroczno też barierę psychologiczną dla programów socjalnych i inwestycyjnych, których skalę liczy się już w bilionach – tysiącach miliardów – dolarów. W sytuacji bez precedensu dwie kolejne administracje prezydenckie – Trumpa i Bidena – ogłosiły swoje własne programy antykryzysowe, zakładające wydanie bilionów na zapomogi dla obywateli, dofinansowanie dla biznesu, inwestycje infrastrukturalne i granty dla stanów oraz hrabstw na lokalne potrzeby. Wprowadzony za Trumpa przy ponadpartyjnym poparciu CARES Act był największym w historii pakietem stymulacyjnym dla gospodarki, wartym ok. 10% całego amerykańskiego PKB i ponaddwukrotnie większym – 2 bln do 800 mld dol. – niż podobny pakiet z czasów Obamy po kryzysie z 2008 r.

Podobnie bezprecedensowe i w wielu kategoriach „naj" były pakiety w krajach Europy i na poziomie Unii Europejskiej. Komisja Europejska postanowiła uwspólnotowić dług

i zapożyczyć się w imieniu wszystkich państw Wspólnoty, aby sfinansować gigantyczny plan odbudowy, który ma dać gospodarkom kontynentu energię i środki do mocnego odbicia po czasach covidowego zastoju. Gdziekolwiek spojrzeć, fetysz wydatków publicznych, trzymania w ryzach długu i deficytu upada. Bruksela i instytucje europejskie w czasie kryzysu greckiego, zaledwie kilka lat temu, skłonne były wręcz zaryzykować rozpad Unii w imię dyscypliny finansowej. Mario Draghi, prezes Europejskiego Banku Centralnego z tamtych czasów, gdy uderzyła pandemia, stwierdził jednak, że pytanie nie brzmi już, czy Europa powinna się zadłużać. Brzmi ono: jak bardzo i jak szybko.

W pandemii „świat odkrył to, co John Maynard Keynes wiedział już w czasach II wojny światowej: stać nas na wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić", pisał światowej sławy profesor Adam Tooze, który kryzysowi i zamknięciu gospodarki poświęcił książkę „Shutdown". „Ograniczenia dla budżetów przestały istnieć – kontynuował – a pieniądze to czysta formalność. Twarde limity i zasady zrównoważonych budżetów, jakich rzekomo surowo pilnowały rynki obligacji, uległy rozwodnieniu już po kryzysie 2008 r. W 2020 r. wymazano je całkowicie".

Gospodarka wojenna

To, co Tooze pisał w odniesieniu do wydatków pandemicznych i antykryzysowych, stało się tym bardziej prawdziwe po 24 lutego 2022 r. Draghi, Tooze i inni używali w kontekście COVID-19 hasła „gospodarki wojennej", oczywiście nie wiedząc jeszcze wtedy, jak szybko wojna w Europie stanie się czymś więcej niż tylko metaforą. „Rządy większości krajów musiały wprowadzić gospodarki w stan hibernacji, aby chronić ludzi przed zakażeniem chorobą, z którą wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Aby poradzić sobie z następstwami pandemii, rządy te musiały wykopać podręczniki ekonomii z okresu wojny i odbudowy krajów po pierwszej i drugiej wojnie światowej" – to cytat z książki „Pandenomia" Piotra Araka, dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego. „Kraje zachodnie nie doświadczyły takiej zmiany od siedmiu dekad", a narzędzia, po które sięgnięto, „słusznie porównywane są z gospodarką wojenną", dodaje analityk.

Eskalacja konfliktu zbrojnego w Ukrainie do rozmiaru „pierwszej wielkiej wojny w Europie w XXI w." poskutkowała natychmiast ogłoszeniem planów skokowego wzrostu wydatków na armię i zbrojenia – m.in. w Polsce i w Niemczech. Z politycznych powodów propozycje te nie spotkały się właściwie z żadnym oporem ani debatą. Ale paradoksalnie do czasów gospodarki wojennej – kontrolowanej, z większym udziałem państwa, w mniejszym stopniu opartej na handlu, a bardziej na publicznych inwestycjach w kluczowe z punktu widzenia bezpieczeństwa

eprasa.pl cf59a59924

sektory – jeszcze bardziej zbliży nas ewentualne embargo i plany odchodzenia od rosyjskich surowców. Również zaburzenia w handlu kluczowymi z punktu widzenia i tak już szalejącej inflacji produktami – zbożem, olejami spożywczymi i nawozami – popchną państwa i gospodarki Zachodu w stronę większego interwencjonizmu.

Hasło „cen regulowanych" wciąż budzi w Polsce śmiech i złośliwe komentarze, ale w rzeczywistości jesteśmy coraz bliżej wprowadzenia podobnych rozwiązań w kolejnych dziedzinach. A obniżki podatków i „tarcze antyinflacyjne" już stanowią formę regulowania cen, nawet jeśli rząd nie wprowadził na razie np. ceny maksymalnej na masło albo benzynę. Nie inaczej jest z energią, której ceny regulowane są urzędowo, ale i po raz pierwszy na tak masową skalę rząd łagodzi ich podwyżki, wypłacając „dodatek osłonowy". To logiczne, że dalsze zaburzenia w handlu, dostawach energii czy normalnym funkcjonowaniu rynków będą wymagały kolejnych podobnych interwencji – tarcz, dodatków, zasiłków, zamrażania opłat i akcyz lub nawet rat kredytów na stałym poziomie.

To ostatnie zresztą – pomysł tzw. zamrożenia WIBOR – przeszedł w ciągu zaledwie kilku miesięcy drogę od lewicowej niszy do konserwatywnego mainstreamu. Banki zarabiały bowiem coraz więcej dzięki temu, że podstawą wyliczania rat kredytów był wskaźnik WIBOR, który rósł wraz z systematycznie podnoszonymi przez Radę Polityki Pieniężnej stopami procentowymi. Na przełomie 2021 i 2022 r. pomysły, żeby ulżyć kredytobiorcom poprzez ograniczenie bankom możliwości ściągania z nich coraz większej marży poprzez zmienne oprocentowanie zgłaszali lewicowi ekonomiści i publicyści. Potem pomysł podchwyciła parlamentarna Lewica, następnie część liberalno-lewicowych mediów głównego nurtu, a w połowie kwietnia już… przewodniczący Platformy Donald Tusk i Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer. Czyli politycy raczej odlegli od postulatów interwencjonizmu, „rozdawnictwa" i dokręcania śruby bankom. Niemożliwe – lub bardzo nieprawdopodobne – stało się możliwe.

Koniec tabu

Wojna i pandemia obudziły też pomysły wcześniej całkowicie zapomniane, takie jak nacjonalizacja przedsiębiorstw i (tym bardziej) kluczowej infrastruktury. Do niedawna myśl, że państwo coś odbierze prywatnym właścicielom, była całkowitym tabu. Gdy jednak chodzi o magazyny energii albo kluczową infrastrukturę cyfrową – o ile znajdują się dziś w rękach Rosji czy Chin – wątpliwości znikają. Ale działa to w obie strony. Gospodarki spoza świata Zachodu – czy będą to Indie, czy Rosja, gospodarki dalekiej Azji i kraje Zatoki, Chiny bądź Turcja – są tym bardziej zainteresowane rozwijaniem własnych, konkurencyjnych do amerykańskich, kluczowych systemów. Gospodarcza samowystarczalność – na poziomie żywnościowym, cyfrowym, energetycznym i farmaceutycznym – autarkia na miarę XXI w., stała się po pandemii i w czasie wojny ambicją rozważaną w kolejnych stolicach na poważnie.

Ale to nie jest tylko spór o doktryny gospodarcze i różne fundamentalizmy, z których większość i tak odesłano już na śmietnik. Pytanie, które zadają sobie politycy, decydenci i klasa ekspercka w całym świecie Zachodu, brzmi: jakie państwo i jaki system jest odporniejszy w obliczu kolejnych kryzysów? Odpowiedź „państwo minimum" znajduje w tym kontekście niewielu obrońców. Zamknięcie gospodarki i zabezpieczenie społeczeństwa przed wynikającym z tego ryzykiem masowego bezrobocia, błyskawiczne wyprodukowanie szczepionki, a następnie dystrybucja milionów dawek w maksymalnie krótkim czasie, a wreszcie, jak w przypadku Polski, konieczność przyjęcia i zakwaterowania milionów uchodźców – to wszystko zadania, które wymagały zdecydowanych ruchów państwa i zerwania z priorytetowym traktowaniem kwestii długu, deficytu i zbilansowanego budżetu. Logika działania państwa została przestawiona z „jak my za to zapłacimy?" na „jak najlepiej to zrobić?".

Krytykując niegdyś neoliberalizm, kanadyjska pisarka i dziennikarka Naomi Klein w swojej „Doktrynie szoku" pokazywała, jak kolejne kryzysy i wojny są wykorzystywane przez zwolenników dalszej prywatyzacji, przechwytywania publicznego majątku i wymuszania na biednych gospodarkach jeszcze ostrzejszych cięć wydatków. Dziś nowe kryzysy zaczynają jednak pokazywać granice tej polityki. Gdy wielkie światowe zagrożenia zaglądają w oczy liderom państw bogatego i sytego Zachodu, ci mogą nie chcieć narzucić sobie takich rozwiązań, jakie wmuszali wcześniej innym. A społeczeństwa Europy i USA pokazały już, że są gotowe pożegnać się z dotychczasowymi ekspertami i klasą polityczną i dać wyraz niezadowoleniu, głosując na populistów.

Pandemia pokazała, że globalizacja nie musi wiecznie rozwijać się bez przeszkód.

Wojna w Ukrainie rozbiła mrzonkę, że w zglobalizowanym i powiązanym handlowo świecie nie będzie już miejsca na wojnę.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Z Galicji

Jan Widacki

Polska liderem Europy

Wojna w Ukrainie zmusza Zachód do jedności. Jeśli bowiem Rosja osiągnie sukces militarny, a w konsekwencji polityczny, i pokaże, że poprzez działania wojenne może zmieniać granice, dopasowywać je do swoich interesów gospodarczych, do imperialnych wizji opartych na polityce historycznej, to nikt w Europie Środkowej i Wschodniej nie będzie już mógł spać spokojnie. Ale Niemcom, Francuzom, Anglikom, Hiszpanom czy Włochom, a już na pewno Amerykanom, bezpośrednio nic nie grozi. Owszem, może to zagrażać ich interesom gospodarczym, a w przypadku Ameryki także ambicjom przewodzenia światu. Ale najazd, wojna, utrata suwerenności lub części terytorium im nie grożą.

Wobec tego w naszym środkowoeuropejskim, czyli również polskim interesie leży jedność zachodniego świata, wspólne wspieranie Ukrainy i wspólne stanowisko wobec Rosji. Tym bardziej że agresji rosyjskiej nie potępiły i do sankcji nie przyłączyły się Chiny ani większość państw Azji oraz Ameryki Łacińskiej. Ba, nawet Watykan jest tu bardzo ostrożny.

Nie jest więc tak, jak mogłoby się wydawać, że cały wolny świat stanął po stronie Ukrainy, że Rosja została sama. Co więcej, jedność Zachodu jest dość krucha i może pęknąć w każdej chwili. Ameryka w pomysłach na sankcje jest najbardziej radykalna, Niemcy i Francja są bardziej powściągliwe, co zdaje się denerwować prezydenta Zełenskiego – to akurat zrozumiałe – ale i nasz rząd, co już zrozumiałe, a zwłaszcza mądre nie jest.

Ameryce łatwo o radykalizm. Ameryka z Rosji nie importuje ani ropy, ani gazu. Co więcej, na embargu na rosyjską ropę i gaz może jeszcze zarobić. Kraje europejskie muszą tu być ostrożniejsze. Niemcy aż 49% gazu i 30% ropy kupują w Rosji, Francja 24% gazu i ponad 13% ropy, Włochy 46% gazu. Znacznie gorzej jest w Europie Środkowej i Wschodniej, w której większość państw (w tym Polska!) ponad 70% ropy i gazu sprowadza z Rosji. Zmiana dostawcy tych surowców, o ile w ogóle jest możliwa, wymaga czasu. Pełne i natychmiastowe embargo na rosyjską ropę i gaz rozwaliłoby gospodarki większości państw europejskich, wywołało opór społeczny, spowodowało wzrost populizmów. Całe szczęście, że gospodarka rosyjska utrzymuje się ze sprzedaży tych surowców i znalezienie innych niż dotychczasowi odbiorców też w krótkim czasie nie jest możliwe. Wojna z Ukrainą trwa w najlepsze, a z Rosji do Europy płyną ropa i gaz, a z Europy do Rosji strumień pieniędzy. Tak dziwny i pokomplikowany jest ten świat. Jakże trudny do ogarnięcia dla umysłu przeciętnego wyborcy PiS.

W tym sporze Europy Zachodniej i Ameryki o radykalizm sankcji stanęliśmy po stronie Ameryki. Premier Morawiecki poucza prezydenta Macrona, Niemców krytykuje nawet polska opozycja. Ktoś u nas najwyraźniej uwierzył, że to jedyna szansa zdystansować się od Unii Europejskiej, dowalić jej, równocześnie rosnąc na pierwszego sojusznika Stanów Zjednoczonych w Europie i lidera sojuszników Ukrainy. Mrzonki. Najpoważniejszym sojusznikiem Ameryki w Europie kontynentalnej będzie ten, kto ma największy potencjał gospodarczy – a więc pozostaną nim Niemcy. Unia Europejska, mimo wojny w Ukrainie, nie odpuści nam kwestii praworządności.

> Unia Europejska, mimo wojny w Ukrainie, nie odpuści nam kwestii praworządności.

Potęgą militarną też się nie staniemy mimo zakupu w Ameryce 250 czołgów Abrams. Po pierwsze, ostatnia ich partia ma dotrzeć do Polski dopiero w 2026 r., do którego to czasu rozpadnie się większość wysłużonych poniemieckich czołgów Leopard i poradzieckich T-72. W dodatku przynajmniej pierwsze partie abramsów jeździć będą niestety… na rosyjskiej ropie.

Jeśli rzeczywiście chcemy pomóc Ukrainie, jeśli chcemy umocnić swoje bezpieczeństwo, powinniśmy dokładać wszelkich starań, by cementować jedność Zachodu. Ale państwo PiS działa wprost przeciwnie. Najwyraźniej cieszy się z istniejących wewnątrz zachodniego obozu sporów, próbuje naiwnie wykorzystać je do swojej wojny z UE i do swoich małych w gruncie rzeczy, wewnątrzpolitycznych celów. Obawiam się, że pod tym światłym przywództwem wyrośniemy nie na pierwszego sojusznika Ameryki, ale na pierwszego warchoła Europy. No ale zawsze w czymś będziemy pierwsi.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Anna Mączka

Tu jest jak w raju

Dzieci z ukraińskich domów dziecka zachwycają się Polską, ale tęsknią za krajem

Piętnastoletni Pasza i reszta dzieciaków mają szczęście. Gdy uciekali z Ukrainy, nikt ich nie ostrzeliwał. Konwój sierot i dzieci, których rodzice nie odebrali z domów dziecka, bezpiecznie przekroczył polską granicę.

Z obwodu winnickiego przyjechała grupa 28 dzieci z niepełnosprawnościami, a także ich opiekunki ze swoimi dziećmi. Wcześniej młodzi Ukraińcy mieszkali w szkołach z internatem, ośrodkach dla niesłyszących i szkołach dla uczniów z niepełnosprawnością intelektualną z obwodu winnickiego. Pasza pamięta ten dzień, gdy dyrektor zebrał wszystkie dzieciaki w jadalni. Tłumaczył, że w „szkole" nie jest bezpiecznie i wszystkie dzieci muszą wyjechać do Polski. Pasza z żalem rozstawał się z dyrektorem, do którego wszyscy mówili „wujku". Popatrzył na ogromny budynek z przybudówką i wsiadł z kumplami do autokaru. Zmierzali ku nieznanemu. Zatrzymali się jeszcze przed trzema innymi placówkami. Do autokaru wsiadały nowe dzieci. Wiedzieli tylko tyle, że czeka ich nowa przygoda.

Po wyjeździe Paszy szkoła i internat w miejscowości Sitkowce zmieniły charakter. Z sal zniknęły biurka, a pojawiły się śpiwory i karimaty. W szkole uchodźcy nocują, dostają jedzenie i idą dalej. – Teraz w naszym rejonie są jeszcze bombardowania i strzelaniny. Gdy wyjeżdżałyśmy, Kijów też był bombardowany – opowiada jedna z opiekunek, Elena Demianiszyna. – Gdyby nie pomoc w Polsce, musielibyśmy przebywać w piwnicach. Starsze dzieci rozumieją, że chcemy dla nich dobrze, że w Polsce jest bezpieczniej. W weekend dzwonili do nas wychowankowie, którzy zostali. Właśnie siedzieli w piwnicy, bo było bombardowanie.

Z opiekunkami rozmawiam w holu hotelu Witek na obrzeżach Krakowa. Obok Eleny siedzi Lena. Nieopodal hotelu jest lotnisko w Balicach. Kobiety na odgłos silników reagują strachem. – Nie lubimy dźwięku samolotów – przyznaje Elena. – U nas o zmierzchu wszyscy gaszą światło. Niedaleko naszej miejscowości jest Żytomierz, gdzie były składy amunicji, które zostały zbombardowane. Bomby nie ominęły naszych szpitali położniczych.

Gości z Ukrainy przyjął pod swój dach Andrzej Witek, właściciel hotelu. Nie pytał nawet, jak długo chcą zostać. Dwie sale konferencyjne zamienił na sale zabaw dla dzieci. W pierwszej pojawiły się kolorowe piłki, zabawki oraz stoliczki i krzesełka dla maluchów, w drugiej urządzenia do ćwiczeń fizycznych. Trzecia sala stała się magazynem. Oprócz suchego prowiantu, kaszek i leków na półkach pojawiły się posortowane przez wolontariuszy ubrania dla dzieci. Dzieciaki z ukraińskich domów dziecka jechały do Rajgrodu na Podlasiu. W specjalnym ośrodku miały doczekać końca wojny. Okazało się jednak, że w ośrodku doszło do poważnej awarii i naprawę trzeba przeczekać w innym miejscu. Andrzej Witek dał schronienie i jedzenie na czas nieograniczony. Napisał na Facebooku, że mile widziani są wolontariusze, którzy pobawią się z dziećmi. Przychodziły najczęściej Ukrainki, które mieszkają w Krakowie. Już po kilku dniach pobytu w Witkowych pieleszach dzięki życzliwej pomocy krakowian dzieci miały rzeczy na zmianę. Niektóre do Polski przyjechały w jednej bieliźnie. Teraz zostały zaopatrzone w kilka kompletów. Skromniutkie plecaki wymieniły na walizki.

Andrzej Witek, właściciel hotelu, nie pytał nawet, jak długo chcą zostać. Dwie sale konferencyjne zamienił na sale zabaw dla dzieci.

W Ukrainie 100 tys. dzieci jest pozbawionych opieki rodzicielskiej. Ich ewakuacja z kraju to poważny problem. Dyrektorzy winnickich domów dziecka chcieliby wysłać wychowanków do bezpiecznej Polski, ale się boją, bo konwoje są ostrzeliwane. O tym mówi Paweł Chmara, który w Polsce mieszka już 19 lat. Spotykam go w hotelu Witek, przyjechał podziękować za bezpłatne ugoszczenie dzieci. 16 lat temu Paweł z potrzeby serca założył ogólnopolski portal domów dziecka, chciał pomóc. Wcześniej przyjechał do Polski jako wolontariusz. Na portalu domy dziecka zamieszczają ogłoszenia o swoich potrzebach. A są one różne: jeden z wychowanków potrzebuje korepetycji, a jedna z placówek lodówki.

– Współpracujemy nawet z piekarnią, a na święta do domów dziecka w Polsce wysyłamy pierniki – mówi Paweł. – Gdy zaczęła się wojna, skontaktowaliśmy się z departamentami pomocy humanitarnej przy urzędach wojewódzkich. Zgłosiliśmy chęć pomocy i zaczęliśmy działać. To pierwsza grupa, która przyjechała do Polski. Kontaktowaliśmy się z miejscami, które mogą przyjąć dzieci. Otrzymaliśmy ogromną pomoc, zwłaszcza od firm przewozowych. Na razie mamy zorganizowany pobyt dzieci do maja. Jeśli wojna potrwa dłużej, będziemy organizować dalsze zbiórki.

W recepcji co chwilę dzwoni telefon. To Polacy pytają, czego potrzebują dzieci w hotelu i jak można pomóc. Recepcjonistka grzecznie dziękuje i mówi, że „wszystko mamy". Kobieta jest Ukrainką. W hotelu została zatrudniona podczas wojny ukraińskiej. Język polski studiowała w swoim kraju. Dach nad głową znalazła u jednej z polskich rodzin.

eprasa.pl cf59a59924

Dyrektor udostępnił podopiecznym domów dziecka wielką salę gimnastyczną.

W holu spotykam trzy Ukrainki w wieku od 40 do 50 lat. Mieszkają tu i pracują. Najstarsza, Ludmiła, nie może spać, gdy słyszy samoloty lądujące w Balicach. Ona i Rusłana są pielęgniarkami. Obie znalazły zatrudnienie w kuchni, a ich dzieci chodzą do polskich szkół. Trzecia, Natalia, z zawodu jest księgową, ale też obiera ziemniaki. Po wojnie chcą wrócić do ojczyzny. W Witku mieszkają także trzy rodziny, które są w Polsce od 27 lutego. Gdy wybuchła wojna, wsiedli do auta i przyjechali.

Telefony w recepcji dalej dzwonią. – Tak jak i na początku wojny ludzie pytają, czy przyjmujemy uchodźców i na jakich warunkach – mówi pan Andrzej. – Ci bardziej samowystarczalni przyjeżdżają na dzień, dwa i jadą dalej. Kierunek to Niemcy, Włochy, Holandia. Ponieważ część gości płaci za pobyt, jest ruch na koncie i są środki, ale długo tak nie pociągniemy. Wszystkie pokoje mamy zajęte. Zdecydowana większość to bezpłatne pobyty uchodźców, z nadzieją na to, że kiedyś nasz rząd zwróci nam środki. Na razie słyszę obietnice. Dopóki nie zobaczę na swoim koncie pieniędzy za te pobyty, jakoś będziemy próbować sobie radzić. Rozmawiam z różnymi fundacjami, które pytają, czy nie potrzebujemy wsparcia. Część dostawców dowozi produkty bezpłatnie: owoce, warzywa. Przy obecnych cenach wszystkiego to duża pomoc. Za gaz nikt nam nie zapłaci, a zużycie jest ogromne, zużywamy go trzy, cztery razy więcej. Za same media płacimy ok. 50 tys. zł. Miesięcznie – wzdycha pan Andrzej.

Innym hotelarzom, z którymi rozmawiał Andrzej Witek, również kończą się środki. Nie wykluczają oni, że jeśli nie otrzymają pomocy z zewnątrz, będą musieli nie tylko zaprzestać świadczenia usług, ale wręcz wpadną w wielką dziurę finansową, którą mają po tych pobytach. Hotele miejskie po sezonie zimowym i covidowym są wypłukane ze środków. Wszyscy zastanawiają się, jak to będzie. Większość hotelarzy jednak nie rozważała, czy sobie poradzą. Ważniejsza była pomoc. – Jeśli idziemy na dno, to wszyscy naraz – dodaje smutno Andrzej Witek.

Rozmowę zagłusza gromkie „Sto lat!" – jeden z wychowanków obchodzi urodziny w towarzystwie kolegów i koleżanek. Oczywiście nie mogło zabraknąć ogromnego tortu, po którym szybko zostały tylko okruchy.

Dzieciaki na pytanie, jak się czują w Polsce, odpowiadają, że tu jest jak w raju, ale za swoją Ukrainą i domem, w którym został ich ukochany pan dyrektor, bardzo tęsknią. – Już na drugi dzień w Polsce, choć zaopatrzono je we wszystko, co tylko możliwe, zaczęły płakać za swoim tatą, czyli panem dyrektorem – mówi opiekunka Elena Demianiszyna.

Młodzi Ukraińcy zwiedzili już Wawel, byli w krakowskim zoo. Gdy znajdują wolną chwilkę, sprawdzają w internecie, co się dzieje u nich w Ukrainie. Pasza zwierza się, że tęskni za szkołą, przy której był jego dom dziecka: – Tam zawsze było coś do zrobienia. Rąbałem drzewo, chętnie pomagałem przy pracach koło szkoły.

Paweł Chmara rozmawia z dyrektorami domów dziecka z okręgu winnickiego. Chciałby jeszcze wydostać z Ukrainy setkę podopiecznych. Nie pomogą ani pieniądze, ani wolne miejsca noclegowe w Polsce. Wszystko zależy od tego, czy w Ukrainie nadal będzie wojna, czy żołnierze nie przestaną strzelać do cywilów. ■

FOT. PAULINA CHOJNACKA

eprasa.pl cf59a59924

Ukrainki wkładają mundur i walczą

17% ukraińskich sił zbrojnych to kobiety

Marcin Ogdowski

„Nasze oddziały się wycofywały, więc dowódca zlecił odesłanie wszystkich kobiet na tyły. Mama odmówiła, zawsze była na pierwszej linii. Nosiła kamizelkę kuloodporną i hełm, ale tamci strzelali z czołgów. Matkę ranił odłamek. Nie zmarła od razu, wykrwawiła się. Rana brzucha była zbyt poważna", relacjonuje jedna z córek Olgi Semidianowej, ukraińskiej medyczki, która 4 marca poległa w obwodzie donieckim. Semidianowa pracowała dla armii na cywilnym stanowisku, ale w 2014 r. postanowiła zostać sanitariuszką. Do chwili rozpoczęcia rosyjskiej inwazji odbyła kilka tur w Donbasie, gdzie wojsko ukraińskie walczyło z separatystami. Jak wspominają koledzy i dowódcy, cechowała się niesamowitą odwagą. Nieraz wyciągała rannych spod ognia. Ale i w cywilu Olga wykazywała się nie lada heroizmem. Matka sześciorga dziewcząt i chłopców prowadziła wraz z mężem rodzinną placówkę, w której schronienie znalazła kolejna szóstka dzieci. „Jeśli nas tam nie będzie, oni przyjdą do naszych domów", tłumaczyła dzieciom swoje wyjazdy na front. Dzień przed śmiercią odesłała do Margańca plecak z rzeczami osobistymi. Kilka godzin przed tragicznym bojem zapewniała dzieci o swojej miłości. „Jadę w miejsce, gdzie trwają intensywne walki", pisała w SMS-ie. Zmarła, mając 48 lat, pół roku wcześniej doczekała się pierwszej wnuczki. O jej śmierci poinformowały Inna Sowsun, deputowana Rady Najwyższej Ukrainy, i Mariana Beca, ambasadorka tego kraju w Estonii. „Olga jest naszą bohaterką", zapewniały obie polityczki.

Na takie miano zasłużyła także Ołena Kusznir, lekarka ukraińskiej Gwardii Narodowej. Starsza sierżant Kusznir zginęła 16 kwietnia podczas rosyjskich bombardowań ostatniej reduty obrońców Mariupola – zakładów metalurgicznych Azowstal. Jeszcze w marcu poległ jej mąż, również żołnierz ukraińskiej armii. Z rodziny ocalał jedynie kilkuletni syn pary, którego zdołano ewakuować z oblężonego miasta. O Ołenie świat usłyszał w marcu, gdy zamieściła w sieci apel o pomoc dla Mariupola. „Miasto nie potrzebuje, aby w przyszłości pisać książki i kręcić filmy o jego heroicznej walce", mówiła. „Świecie, pomóż cywilom przetrwać. Dzisiaj!", prosiła. Nagranie powstało w dniach, kiedy ponad 100 tys. cywilnych mariupolan znajdowało się w strefie walk, a Rosjanie bombardowali i pacyfikowali osiedla mieszkaniowe, jednocześnie nie zezwalając na tworzenie korytarzy humanitarnych, przeznaczonych do ewakuacji kobiet, osób starszych i dzieci (a kiedy już się na nie zgodzili, nierzadko ostrzeliwali bezbronne konwoje). „Ołena Kusznir nie otrzymała pomocy od świata", napisała ukraińska dziennikarka Ołeksandra Matwijczuk, która jako pierwsza poinformowała o śmierci medyczki. Sierżant nie przyjęła propozycji ewakuacji, odrzuciła rosyjską ofertę niewoli. Została przy rannych obrońcach i mieszkańcach miasta. I ona, i Olga Semidianowa otrzymały tytuł Bohaterek Ukrainy. Pośmiertnie…

Ukrainki, czy służą w armii, w gwardii, czy w oddziałach obrony terytorialnej, są częścią personelu sił zbrojnych. Rosjanie zasadniczo to respektują.

„Węgielek" sieje postrach

Sofia i Solomia Artemczuk, 30-letnie bliźniaczki z Kijowa, żyją. Obie należą do ochotniczego batalionu medycznego joannitów. Nie walczą, jednak noszą mundur i są uzbrojone. „Przeszłyśmy szkolenie wojskowe, ale do tej pory nie musiałyśmy używać broni. Jesteśmy od ratowania życia, to nasz priorytet, ale w razie potrzeby musimy też się bronić", wyjaśnia Sofia. Dziewczęta ewakuowały już rannych spod ciężkich ostrzałów, były też pod ogniem snajperów. W bitwie o Kijów szczęście im dopisało, żadna nie została nawet draśnięta. „Mama się niepokoi, choć nie oczekuje, byśmy zrezygnowały", opowiada brytyjskim mediom Solomia. Tak naprawdę siostry nie obawiały się negatywnych reakcji matki, która w 2014 r. była jedną z pierwszych ochotniczek w ukraińskiej armii. „Służba to część naszego DNA", zapewnia Solomia.

Swojej tożsamości strzeże „Węgielek", ukraińska snajperka, o której wojskowe służby PR piszą, że jest postrachem Rosjan. „Likwiduje pięć-sześć »celów« dziennie", donoszą Ukraińcy, ilustrując materiały zdjęciami ciemnowłosej i ciemnookiej, drobnej kobiety o twarzy częściowo zasłoniętej. Trudno powiedzieć, ile mamy tu wojskowo-wojennego marketingu, a ile prawdy. Jest oczywiste, że snajperzy nie pracują sami, że towarzyszą im spotterzy, że wspiera ich wywiad i ochrania zwykła piechota. De facto to robota zespołowa, w której pociągający za spust strzelec jest ostatnim ogniwem łańcucha. W przypadku „Węgielka" najpewniej mamy do czynienia z podobną sytuacją jak z „Duchem Kijowa" – ze scaleniem na użytek propagandy kilku tożsamości różnych wojskowych (niekoniecznie wszystkich płci żeńskiej).

Do tego, że na sławę „Węgielka" może pracować kilku snajperów, przekonuje historia z drugiej strony linii frontu. Kilka tygodni temu Ukraińcy pojmali ranną i porzuconą przez towarzyszy Danijelę Lazović aka Irinę Starikową – Serbkę, byłą zakonnicę (!), która w 2014 r. przyłączyła się do prorosyjskich separatystów. „Bagirze" przez lata zmagań w Donbasie

eprasa.pl cf59a59924

Ołena Kusznir, lekarka ukraińskiej Gwardii Narodowej, zginęła 16 kwietnia.

Sofia Artemczuk należy do ochotniczego batalionu medycznego.

Olga Semidianowa poległa 4 marca w obwodzie donieckim.

przypisywano niemal każde snajperskie „trofeum" (poza strzelaniem do ludzi, w tym cywilów, Serbka wyspecjalizowała się w strącaniu dronów). Dziś na podstawie zeznań samej Lazović jej osiągnięcia zredukowano do 40 „trafień".

Motywacyjna moc brutalności

Nie jest jasne, jak skończy „Bagira" – Kijów uznaje separatystów za terrorystów. Lazović nie ma więc takiego komfortu prawnego jak ukraińskie wojowniczki, chronione konwencjami genewskimi. Ukrainki – niezależnie od tego, czy służą w regularnej armii, w gwardii, czy w oddziałach obrony terytorialnej – są częścią personelu sił zbrojnych. Rosjanie zasadniczo to respektują, choć nie brakuje doniesień o brutalnych praktykach stosowanych wobec takich jeńców. Golenie głowy na zero, codzienne poranne rewizje z wymogiem rozebrania się do naga – taki obraz rosyjskiej niewoli rysuje się z zeznań wymienionych na Rosjan więźniarek. „Trzymano ich w piwnicach, nie dawano jedzenia", opisuje los jeńców obojga płci Ludmiła Denisowa, ukraińska rzecznik praw człowieka. A z przechwyconych przez zachodnie wywiady rozmów telefonicznych rosyjskich żołnierzy wynika, że część pojmanych Ukraińców była wręcz okaleczana. „Przywozili do nas jeńców, znęcałem się nad nimi. A to odrąbię im palce, a to całą dłoń", chwalił się podczas jednej z takich rozmów 27-letni Saławat Sarsionow z Astrachania, który przyjechał do Ukrainy jako żołnierz kontraktowy rosyjskiej armii.

Wspominam o tej brutalności nie bez powodu, okazuje się bowiem, że ma ona istotny wpływ na motywacje ukraińskich kobiet. Zwłaszcza zaś doniesienia o mordowaniu cywilów i masowych gwałtach na zajmowanych przez Rosjan terenach. Coraz więcej mówi się o tzw. efekcie Buczy, czyli wzrastającym zainteresowaniu służbą w formacjach militarnych. „Po tym, co zrobili Rosjanie pod Kijowem, nawet ja, zdeklarowana pacyfistka, zdecydowałam się włożyć mundur", pisze mi Switłana, do niedawna dziennikarka z Chmielnickiego. „Oni muszą za to zapłacić", przekonuje. Identyczny cel przyświeca Ukraińcom wracającym do ojczyzny. W naszych mediach zwykle podaje się dramatyczne liczby dotyczące osób, które zdecydowały się uciec z kraju (jest ich już ponad 5 mln, z czego 2,9 mln przebywa w Polsce). Tymczasem nasila się ruch w drugą stronę – do 20 kwietnia tylko z terytorium RP wróciło do siebie 760 tys. Ukraińców. Większość deklarowała chęć włączenia się do walki i o ile na początku byli to przede wszystkim mężczyźni, o tyle teraz coraz częściej towarzyszą im kobiety. Gwoli rzetelności dodać wypada, że na motywacje powracających może też wpływać rosnąca wiara w zwycięstwo, rozumiane jako zachowanie niepodległości i wyrzucenie Rosjan z kraju.

Tuż przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji w ukraińskich siłach zbrojnych odsetek kobiet wynosił 17% – tyle samo, ile w armii USA, przez dekady uchodzącej za najbardziej sfeminizowane wojsko świata. Dla porównania: w Polsce na stu żołnierzy kobiet jest tylko siedem. Ale i w Ukrainie do niedawna nie było tak kolorowo. W 2008 r. w siłach zbrojnych służyło jedynie 1,8 tys. kobiet, w 2014 r. – gdy zaczęła się rosyjsko-ukraińska wojna – 14 tys. Między rokiem 2014 a 2020 liczba kobiet w armii zwiększyła się dwukrotnie i stanowiły one 15,6% personelu. Dziś mówi się, że co piąta, a w obronie terytorialnej nawet co czwarta osoba to żołnierka. W rosyjskim wojsku służy nieco ponad 40 tys. kobiet, ale niewiele delegowano do sił inwazyjnych. Po stronie agresorów walczą zatem mężczyźni, co przy wyraźnie patriarchalnym rysie rosyjskiej kultury odsłania nam dodatkowy symboliczny wymiar tej wojny. W której napastnikom spuszczają łomot pogardzane kobiety.

W Polsce na stu żołnierzy jest tylko siedem kobiet.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. TWITTER

eprasa.pl cf59a59924

IDZIE GŁÓD

W wyniku wojny w Ukrainie śmierć może przyjść również na Bliski Wschód i do Afryki

Mateusz Mazzini

Jemen należy do państw najbardziej zagrożonych głodem.

Relacja pomiędzy dostępem do żywności a konfliktami zbrojnymi i niestabilnością polityczną znana jest nie od dziś, także w kontekście wspomnianych regionów świata. Ukraińskimi czarnoziemami jako niewyczerpanym źródłem jedzenia i kluczem do samowystarczalności fascynował się już przecież Hitler. Doskonale opisał to w książce o wiele mówiącym dziś tytule „Czarna ziemia" amerykański historyk Timothy Snyder, przedstawiając twórcę Trzeciej Rzeszy właśnie jako człowieka owładniętego obsesją dostępu do jedzenia, żywnościowej suwerenności, zapatrzonego w mające tę zdolność Stany Zjednoczone.

Na Bliskim Wschodzie z kolei głód obalił już niejednego przywódcę, a żywność odgrywała główną rolę w każdej prawie rewolcie. Na tunezyjskim targu zaczęła się przecież arabska wiosna, monopol na rozdawanie chleba przywożonego przez zagraniczne organizacje pomocowe był źródłem władzy watażków w Sudanie, Etiopii i Somalii. Wreszcie głód wywołany suszą pchnął kilkanaście lat temu miliony Syryjczyków do migracji ze wsi do miast, co przy okazji zmieniło równowagę sił religijnych. Tę interpretację źródeł wojny w Syrii Zachód skutecznie wypiera, bo łatwiej obwinić o ludobójstwo brutalnego Al-Asada i pomagających mu Rosjan niż siebie samych, współodpowiedzialnych za katastrofę klimatyczną i pustynnienie terenów rolniczych.

Wspólnym mianownikiem wszystkich tych historii jest jednak głód, a potem jego ofiary, liczone często w milionach. Bo, jak trafnie ilustruje to Paweł Smoleński w „Królowych Mogadiszu", głód „nic sobie nie robi z tragedii, którą nieuchronnie sprowadza".

> Krajom od Algierii, przez Egipt, po Syrię i Turcję grozi największy kryzys żywnościowy od dekad.

Kto zbierze plony, jeśli będą

Wiele wskazuje, że w Azji Południowo-Zachodniej i w Afryce zrobi to ponownie – mimo że tym razem wojna wybuchła nie tam, tylko w teoretycznie odległej Ukrainie. Dewastacja olbrzymich obszarów rolnych, ale przede wszystkim trudności w eksportowaniu zboża, połączone z embargiem na produkty rosyjskie – mieszanka tych czynników sprawia, że krajom od Algierii, przez Egipt, po Syrię i Turcję grozi największy kryzys żywnościowy od dekad. Według Narodów Zjednoczonych być może nawet największy, jaki świat widział od końca II wojny światowej.

Skalę problemu obrazują suche dane. Zgodnie z wyliczeniami World Food Programme, oenzetowskiej agencji zapewniającej codzienne racje żywnościowe dla 125 mln osób na całym świecie, Ukraina i Rosja łącznie produkują 30% globalnych zasobów pszenicy, 20% kukurydzy i aż ponad 75% oleju słonecznikowego. W wielu krajach, nie tylko afrykańskich i arabskich, ale też w byłych republikach radzieckich, te produkty stanowią absolutną podstawę produkcji żywności. Nietrudno sobie wyobrazić, że w tej chwili z ukraińskich i rosyjskich silosów nic nie jest wywożone za granicę, o ile te silosy w przypadku Ukrainy w ogóle jeszcze stoją. Już teraz powoduje to ogromne tąpnięcia na światowych rynkach żywności, a będzie tylko gorzej.

Gdy piszę ten tekst, Rosja zaczyna drugą, docelowo lepiej zorganizowaną i skuteczniejszą ofensywę w Donbasie. Dotychczasowa strategia Putina jednoznacznie wskazuje, że chce on z Ukrainy zrobić państwo niezdolne do samodzielnego

eprasa.pl cf59a59924

funkcjonowania. Kadłubowy twór z poszarpaną geografią, zdemolowaną infrastrukturą i dziurawą gospodarką. Wszędzie tam, gdzie pojawiają się rosyjskie oddziały, zostaje po nich ślad w postaci setek ofiar cywilnych, ale przede wszystkim totalnej destrukcji. Wojna niszczy zatem i to, co zebrane z zeszłego roku, i to, co jeszcze w ziemi.

Skutki konfliktu staną się doskonale widoczne za parę miesięcy. Bardzo możliwe, że działania wojenne będą jeszcze trwały, czyli nikt nie przystąpi do zbierania plonów. Pszenicę zbiera się w lipcu i sierpniu, tak samo rzepak. Wrzesień i październik to z kolei zbiory ryżu, kukurydzy i słoneczników. Przy obecnym zaangażowaniu ukraińskiej (dawnej) ludności cywilnej w wojnę i masowej emigracji do bezpiecznych krajów nie będzie komu tych plonów zebrać, nie mówiąc o posianiu nowej partii roślin. Zwykły roczny cykl biologiczny pokazuje więc, że problem, którego zaczątek mamy dzisiaj, trwać może nawet przez dziesięciolecia.

Ukraina i Rosja łącznie produkują 30% globalnych zasobów pszenicy, 20% kukurydzy i ponad 75% oleju słonecznikowego.

Pszenica towarem luksusowym

Zresztą wojna odbija się czkawką już teraz. O globalnym zasięgu tego konfliktu najlepiej świadczy mapa rosyjskiego i ukraińskiego eksportu zbóż. Pszenica, popularna zwłaszcza w krajach afrykańskich i bliskowschodnich, lada moment stanie się towarem luksusowym. Egipt, przeszło 100-milionowe państwo ulokowane w samym centrum geograficznego, ale również politycznego życia w regionie, łącznie kupuje z tych dwóch krajów 42% całej swojej pszenicy (dane za FAO, Organizacją Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa). Z kolei 89-milionowa Demokratyczna Republika Konga – 46%. Mająca 270 mln mieszkańców Indonezja, najliczebniejszy kraj muzułmański na świecie, uzależniona jest od tych dwóch producentów w ponad jednej trzeciej (38%). Inne gigakraje: Nigeria, Bangladesz i Turcja kupują w Rosji i Ukrainie 40% potrzebnej im pszenicy.

Tę wyliczankę można ciągnąć, odsetek importu jest dwucyfrowy nawet w krajach odległych, takich jak RPA, i bogatych, jak Norwegia. Nawet World Food Programme co drugie ziarno, które potem rozdystrybuuje w najbiedniejszych zakątkach świata, bierze właśnie od ukraińskich dostawców. Dewastację Ukrainy przez Rosjan w swoich kuchniach, portfelach i żołądkach odczuje co najmniej pół planety.

Handel jest z definicji operacją dwukierunkową, więc w przypadku niemożności domknięcia transakcji przez którąkolwiek stronę tracą obie.

Zostańmy zatem jeszcze na chwilę przy Ukrainie. Eksport produktów rolniczych przynosi tam zysk w wysokości 27 mld dol. rocznie i stanowi prawie połowę (45,7%) wszystkich eksportowanych dóbr. Przekłada się to na 17% całego ukraińskiego PKB. Jeśli sektor rolniczy nie odblokuje się chociaż w niewielkim stopniu, w ukraińskiej gospodarce powstanie dziura jak po niejednej bombie.

A jak to wygląda z drugiej strony? Zależy, na kogo popatrzeć najpierw. Wspomniane już kraje z ogromną populacją są w teorii bardziej zagrożone, ale to stwierdzenie jest prawdziwe, jeśli patrzy się tylko na liczby bezwzględne. W praktyce np. Turcja, nie mówiąc o Zjednoczonych Emiratach Arabskich (67% pszenicy importowanej z Rosji i Ukrainy), może sobie pozwolić na kupno zbóż od innych producentów lub po wyższych cenach. Ale dla biedniejszych i mniejszych państw wojna oznacza ryzyko głodu wręcz całkowitego. Armenia, Mongolia, Kazachstan, ale też Uganda czy Erytrea z dwóch zaangażowanych w wojnę krajów ściągały praktycznie całą swoją pszenicę. Podobnie ma się sytuacja z olejem słonecznikowym i rzepakowym. Jeśli nie będą w stanie same kupić zbóż, będą zdane na łaskę ONZ i World Food Programme.

Ta ostatnia organizacja już odczuwa skutki wojny. Jej dyrektor David M. Beasley szacuje, że tylko w ostatnim miesiącu wydatki programu wzrosły aż o 71 mln dol., co przeliczyć można na racje żywnościowe dla 3,4 mln głodujących osób. Trzeba poza tym pamiętać, że instytucje tego typu, jak zresztą cała ONZ, nie generuje własnego przychodu – działa dzięki wpłatom państw członkowskich. Pytanie, jak długo będą mogły zwiększać swoje koszty, nie redukując liczby osób, którym pomagają, jest już w tej chwili retoryczne.

Tyle widać z poziomu makro. Perspektywa ulicy jest jeszcze bardziej wyrazista, a przez to boleśniejsza. W Egipcie już na początku marca wybuchały pierwsze protesty, napędzane w dużej mierze rosnącymi cenami żywności. W niektórych piekarniach w Kairze za bochenek chleba trzeba było zapłacić wtedy nawet o 60-80% więcej niż przed rosyjską inwazją – informowała stacja CNN. Aby walczyć z inflacją, bank centralny podniósł stopy procentowe o 1% i zdewaluował funt egipski wobec dolara o 14%. Rząd natomiast nałożył górne limity na ceny chleba. Dzięki temu w 5 tys. piekarni 90-gramowe (typowe dla tej części świata) bochenki sprzedawane będą za równowartość 5 eurocentów (22 gr) przez najbliższe trzy miesiące. W kraju, w którym 30 mln ludzi żyje na granicy ubóstwa, 70 mln jest żywieniowo zależnych od programów pomocowych i który przede wszystkim ma bogatą historię masowych

Głód w Egipcie oznacza, że zaraz będą upadać rządy.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cf59a59924

„zamieszek chlebowych” – rozruchów wywołanych podwyżkami cen żywności – to nie tylko prowizorka, ale i zapowiedź nieuchronnej politycznej niestabilności. Idzie głód – w Egipcie znaczy to, że zaraz będą upadać rządy.

Usłyszycie krzyk

Wojna w Ukrainie zagraża bezpieczeństwu żywnościowemu na świecie również w sposób mniej widoczny. Embargo na rosyjskie surowce naturalne od razu podniosło i tak bardzo wysokie ceny energii. To oczywiście dotyka odbiorców bezpośrednio, ale przekłada się też na wzrosty cen, m.in. żywności. Z powodu droższego gazu produkcję zmniejszają chociażby zakłady nawozowe, przez co środków chemicznych tego typu jest na rynku mniej. A to uderza nawet w kraje, które na papierze od rosyjskich i ukraińskich zbóż nie zależą wcale. Ceny nawozów windują koszty nawet w Stanach Zjednoczonych. Brazylia, inny kraj, którego gospodarka praktycznie wisi na eksporcie żywności, w przyszłym roku może się zderzyć z gigantycznym kryzysem żywnościowym. Według informacji Bloomberga w marcu brazylijscy farmerzy kupili tylko 28% całkowitej objętości nawozów potrzebnych w drugiej połowie roku.

Po przeciwnej stronie globu, na Sri Lance, brak dostępu do nawozów, bez których rolnictwo na wyspie przestałoby istnieć, już zatrząsł całym krajem. Tam przyczyna była polityczna, w ubiegłym roku rząd zdecydował się przymusić producentów do przejścia na rolnictwo organiczne, wprowadzając całkowity zakaz używania chemii rolniczej. Skutki były katastrofalne, zbiory spadły o kilkadziesiąt procent, żeby ludzie mieli co jeść, władze musiały wydać dodatkowe 350 mln dol. na subsydia produkcji i racje żywnościowe. Zakaz został zdjęty, w jego miejsce zaproponowano kompromis: 50% rolnictwa będzie organiczne, drugie 50% napędzą nawozy. Obie części tego równania okazały się jednak równie trudne w realizacji. Do organicznej produkcji nikt się nie pali, a powrót na rynek nawozów był bolesny – ceny wystrzeliły, rolników stać na ułamek tego, co kupowali w poprzednich latach. Wskutek nietrafionej polityki rządu, której negatywne skutki podkręciła inwazja na Ukrainę, pierwszy raz od uzyskania niepodległości w 1948 r. Sri Lance grozi głód na skalę powszechną.

Wszystkie te elementy żywnościowego równania składa razem polityka. Bo to, co wciąż jeszcze pobrzmiewa relatywnie cicho w różnych zakątkach świata, lada moment może się złączyć w jeden wielki krzyk. Bólu, cierpienia, lęku, po prostu: głodu. Zaraz potem ludzie dadzą upust wściekłości, przyjdzie pora na szukanie winnych. Kogo zatem obarczyć odpowiedzialnością za kroczącą klęskę? Ofiary śmiertelne już są. Na Sri Lance kwietniowe protesty były liczone w milionach, demonstranci starli się z policją, mundurowi odpowiedzieli ogniem. Jedna osoba zginęła, 14 zostało rannych. Ulice zapełniają się niezadowolonymi obywatelami także w Algierii i Armenii. Ceny żywności determinują kierunek polityki wewnętrznej. Czy przełożą się też na politykę zagraniczną?

Głód zawsze wygrywa

Zdaniem Jacka Nicasa z „New York Timesa” odpowiedź na to pytanie musi być twierdząca. Nie wiadomo tylko, przeciw komu zostanie skierowana społeczna złość. Oczywistym winowajcą wydaje się Rosja, to przecież Kreml rozpoczął wojnę, która nikomu nie była potrzebna. Jednak możliwy jest scenariusz odwrotny: problemów z energią, nawozami, cenami żywności nie byłoby, gdyby nie stanowcza reakcja Zachodu na rosyjskie zbrodnie. Niewykluczone więc, zauważa Nicas, że w wyniku głodu zrodzi się oddolna presja społeczeństw na ich rządy, by te zniosły restrykcje, odblokowując nie tylko przepływ energii, ale i rosyjski eksport.

Bieżąca sytuacja nie przysporzy również popularności i tak raczej nielubianej w Afryce i na Bliskim Wschodzie administracji Joego Bidena, bo to ona kształtuje ofensywę polityczną wobec Moskwy. Krótko mówiąc, nawet jeśli realnymi winnymi są Rosjanie, wina i tak może spaść na Amerykanów.

Choć walki toczą się na terytorium Ukrainy, ten konflikt naprawdę będzie miał globalne konsekwencje. A raczej już ma. Według ONZ w czasie pandemii liczba głodujących na świecie zwiększyła się z 720 do 811 mln. Wojna może dodać nawet kolejne 13 mln. To, kto wygra militarnie, będzie tu bez znaczenia. Bo, jak pisze Smoleński, „głód zawsze wygrywa, choć nie powinien. Przecież na świecie jest dość ziarna, fasoli i mąki dla każdego”. Wojna z głodem powinna być banalnie prosta. Ale znowu ją przegramy.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Armenia, Mongolia, Kazachstan, Uganda i Erytrea praktycznie całą pszenicę importowały z Rosji i Ukrainy.

Szydzić, kpić i wyśmiewać. Religie, Kościoły i duchownych. I iść do więzienia. Oto główny temat najnowszego numeru tygodnika „NIE”.

eprasa.pl cf59a59924

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Połtawa

Siedzą na rozłożonym tapczanie. Masza, niewiele młodsza ode mnie, jej synowa, młodziutka Tania, i wnuk, 16-letni Sasza. Obok dziecko Tani – ma dopiero 15 miesięcy, śpi. Twarze nieruchome. Miesiąc temu uciekli spod bomb.

Polskie dworce były już wtedy zapełnione uchodźcami. Córka przez telefon oznajmiła, że chcą z mężem wziąć kilkoro z tych ludzi. Zawstydziła mnie. „Agnieszko – perswadowałem – macie czwórkę dzieci i na dodatek psa, jak dacie radę?". „Jadę na dworzec", odpowiedziała, nie wdając się w dyskusje. Nazajutrz zapytałem, skąd są goście. „Już ich nie ma, pojechali. Jadę po następnych". Słyszę potem, że ci kolejni są z Zaporoża. „A teraz?". „Dniepropietrowsk". „Dnipro", podsuwam oficjalną nazwę ukraińską. „Oni mówią »Dniepropietrowsk«. Z rosyjska". „I co z nimi?". „Chcą dostać się do Czech. Tomek będzie musiał jechać". Jest już wieczór, ciemno. Na szczęście zięć – wspaniały kierowca. Dotarł do Ołomuńca, wrócił po drugiej w nocy.

A tu już następni. „Skąd?". „Spod Połtawy". Połtawa! Trzysta lat temu, w 1709 r., Piotr Wielki pobił tu Karola XII. Ci ludzie nie musieliby przyjeżdżać do Krakowa, gdyby nie tamta bitwa, która Rosję uczyniła mocarstwem. A może właśnie by tu sobie przyjechali, skoro jeszcze w XVII w. Połtawszczyzna należała do Małopolski – prowincji Korony Królestwa Polskiego... Jak całe Zadnieprze kniazia Jaremy odpadła jednak od Polski. Dokładnie sto lat po bitwie pod Połtawą, w szlachecko-kozackiej rodzinie Hoholów-Janowskich, urodził się tu Mykoła Hohol. Czyli Nikołaj Gogol, wielki pisarz rosyjski. Pisał on z początku o Ukrainie – świadczą o tym „Wieczory na chutorze w pobliżu Dikańki". Polaków nienawidził – świadczy o tym „Taras Bulba". Ale Rosja go przerażała – świadczą o tym „Martwe dusze".

Połtawszczyzna – serce Ukrainy. Tutejszy lud mówi gwarami, które pod koniec XVIII w. Iwan Kotlarewski, autor m.in. sztuki „Natałka Połtawka", podniósł do rangi ukraińskiego języka literackiego. Po latach urodzi się w Połtawie ukraiński bohater narodowy, Symon Petlura, współtwórca Ukraińskiej Republiki Ludowej, polski sojusznik w wojnie z bolszewikami w 1920 r.

Teraz ludzie spod Połtawy siedzą w krakowskim mieszkaniu. Opowiadają. Do ich wiejskiego domu wdarli się Rosjanie. Sasza wyszedł na podwórko z komórką, sołdat ją wydarł i zmiażdżył obcasami. „Dziękuj Bogu, żeśmy cię nie zastrzelili", usłyszał, przerażony. Wtedy rodzina postanowiła uciekać. „Czemu oni tacy? – Masza zwraca się wprost do mnie. – My im nic nie zrobili". Uświadamiam sobie, że Połtawszczyzna jest wprawdzie ukraińska, ale im dalej na wschód, tym częstsza obecność Rosjan. Pytam więc, jak reagują Rosjanie. „Jak to jak? – Masza jest zdziwiona. – Przecież oni tacy jak my. My wszyscy – ofiary wojny".

A więc uchodzi na zachód Ukraina wschodnia. Prorosyjska, prawosławna Ukraina porzuca swe domostwa i ucieka, nie mogąc pojąć, co właściwie się dzieje. Uciekają Ukraińcy i Rosjanie. Wierni patriarchatu kijowskiego i moskiewskiego. Dlaczego Rosja postanowiła zrazić do siebie tych ludzi? Osiągnęła to tylko, że w męce i krwi rodzi się jednolity naród ukraiński. Już taki sam na wschodzie jak wcześniej na zachodzie. Teraz ukraiński, ale i z domieszką rosyjskości, miejscami ukraińsko-rosyjski, ale skupiony wokół swego państwa. Dla nich wszystkich trwa „ukraińska wojna ojczyźniana". Wojna o istnienie. Od Rosji oddziela dziś Ukrainę wał trupów. Bez względu na to, jak zakończy się wojna, tożsamość tych ludzi będzie już zawsze antyrosyjska.

> Od Rosji oddziela dziś Ukrainę wał trupów.

Recytujemy z połtawianami Tarasa Szewczenkę. To jedyne, co z poezji ukraińskiej znam na pamięć. Język tego ukraińskiego wieszcza, marzącego, by kiedyś Ukraina „doczekała Waszyngtona", został oparty, w ślad za Kotlarewskim, na mowie ludu z tego właśnie regionu. Przypominam mą ulubioną frazę z wiersza „Sadok wysznewyj koło chaty" [Sadek wiśniowy koło chaty]: „Weczirnia zirońka wstaje". „Zirońka", czyli „zorzeńka". Lub z tego samego wiersza: „sołowejko", czyli „słowiczek", „słowiczątko". Czy poza Rusinami-Ukraińcami wymyśliłby ktoś takie cuda zdrobnień i spieszczeń? A czy naród, który stworzył taką literaturę, może być uznany za nieistniejący? „I wrażoju złoju krow'ju wolu pokropite" [I krwią wrogów pokropcie wolność], przechodzę do „Testamentu", najsłynniejszego wiersza Szewczenki. Słuchają nieruchomo, nie wtórują, choć tak dobrze znają ten utwór. Po policzku Tani płynie łza. „Ale to nie Rosja! – Masza chwyta mnie za rękę. – To nie Rosja... – powtarza bezradnie. – To Putin!!".

A przecież to właśnie Rosja. Nie mam serca powiedzieć tego Maszy.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Zwycięstwo, ale nie do końca

Amerykański Senat zatwierdził kandydaturę czarnoskórej Ketanji Brown Jackson do Sądu Najwyższego

Ketanji Brown Jackson, sędzia federalna w Sądzie Odwoławczym Dystryktu Kolumbii, 7 kwietnia została zatwierdzona na nową członkinię Sądu Najwyższego stosunkiem głosów 53 do 47. Do jej zaprzysiężenia najprawdopodobniej dojdzie w czerwcu, a zastąpi ona odchodzącego na emeryturę 83-letniego sędziego Stephena Breyera. Wynik głosowania jest dla demokratów powodem do radości, ale umiarkowanej, bo obecność Jackson niczego nie zmieni w obecnym podziale sympatii politycznych w dziewięcioosobowym składzie Sądu Najwyższego. Odchodzący Breyer też był liberałem, dlatego konserwatyści zachowają sześcioosobową przewagę i nadal będą tworzyć najbardziej konserwatywny SN od co najmniej 90 lat. Wszystko dlatego, że między 2016 a 2020 r. w SN pojawiły się aż trzy wakaty, które urzędujący wówczas Trump, mając po swojej stronie Kongres, natychmiast obsadził konserwatystami.

Ukłon w stronę społeczności

Dlaczego właśnie Ketanji Brown Jackson? Nie ma co owijać w bawełnę, jej wybór to przede wszystkim uhonorowanie czarnoskórej społeczności USA, coś, co Biden obiecywał jeszcze w kampanii prezydenckiej. Choć więcej niż co dziesiąty obywatel USA jest Afroamerykaninem (12,4%, spis powszechny 2020), na 115 sędziów, którzy zasiadali w SN przez 233 lata jego istnienia, tylko dwójka była czarnoskóra, w dodatku byli to mężczyźni: Thurgood Marshall (1961-1991) oraz jego następca, do dziś urzędujący Clarence Thomas. – To wspaniale, gdy ludzie widzą w innych siebie. To silne przesłanie i przyczyna, dla której uważam, że potrzebujemy w Ameryce sądów, które wyglądają jak Ameryka – uzasadnił swój wybór Biden, przemawiając po głosowaniu Senatu przed Białym Domem.

Jak można było jednak się spodziewać, kandydatura sędzi Jackson nie była dla Ameryki, zwłaszcza jej konserwatywnej części, łatwa do przełknięcia. I to mimo że konserwatyści nic na tym nie stracili. Przesłuchania sędzi Jackson w Kongresie, które poprzedziły senackie głosowanie, zmieniły się – jak wszystko w dzisiejszych czasach na Kapitolu – w spektakl obliczony na wywołanie konkretnych odczuć przede wszystkim we własnej bazie politycznej i jeżeli cokolwiek osiągnięto, nie jest to powód do dumy ani radości. Z sondażu przeprowadzonego kilka dni przed Wielkanocą przez dziennik „USA Today" wynika, że liczba Amerykanów uważających Sąd Najwyższy za kolejne narzędzie partyjne służące do osiągania celów politycznych podskoczyła z nieco ponad 50% przed przesłuchaniami Jackson do 66% po nich. Przy czym nie zmienił się odsetek popierających sędzię na nowe stanowisko – 49%. To mniej więcej tyle, ilu Amerykanów uważa się za zdeklarowanych demokratów. Prezes Sądu Najwyższego John Roberts już w 2016 r., podczas przesłuchań sędziego Neila Gorsucha, słusznie ostrzegał: – Im bardziej polityczny, ostry i polaryzujący proces przesłuchań, tym większe niebezpieczeństwo, że kimkolwiek jest przesłuchiwany, wyjdzie on z tego procesu obciążony wykreowanym w jego trakcie wizerunkiem.

Zanim o wizerunku, kilka kluczowych faktów z życia i kariery. Ketanji Brown Jackson urodziła się w Miami w 1970 r. w rodzinie nauczycieli i aktywistów na rzecz praw cywilnych, a studia prawnicze zrobiła na Uniwersytecie Harwarda, gdzie pełniła również funkcję redaktorki prestiżowego pisma „Harvard Law Review". Po epizodzie dziennikarskim w tygodniku „Time" zdobywała szlify prawnicze w kancelariach sędziów federalnych nominowanych przez prezydentów z obu partii. Na początku oraz pod koniec pierwszej dekady nowego milenium pracowała przez kilka lat w prywatnych kancelariach obsługujących korporacje. W roku 2003 po raz pierwszy otarła się o U.S. Sentencing Commission (Komisja ds. Wyroków) jako asystentka jej głównego radcy prawnego, rozpoczynając karierę w obrębie prawa kryminalnego. W latach 2005-2007 sprawowała funkcję federalnej obrończyni publicznej w Dystrykcie Kolumbii, gdzie reprezentowała przydzielanych jej z urzędu skazańców, w tym czterech terrorystów z więzienia Guantanamo. W 2009 r. wróciła do pracy w U.S. Sentencing Commission, tym razem jako nominatka prezydenta Obamy i zatwierdzona przez Senat wiceprzewodnicząca tej komisji.

Senat poparł zresztą jej kandydaturę na stanowisko federalne jeszcze dwa razy. W 2012 r. na sędzię w sądzie dystryktowym (w Dystrykcie Kolumbii), a w 2021 r. w sądzie apelacyjnym (również w Dystrykcie Kolumbii), ten ostatni uważany jest za drugą po Sądzie Najwyższym instancję orzekającą w kraju. Co niezwykle istotne, po zaprzysiężeniu do Sądu Najwyższego Jackson zostanie pierwszą w historii jego członkinią z doświadczeniem pracy jako federalna obrończyni.

– Większość sędziów Sądu Najwyższego rekrutuje się z adwokatów w praktykach prywatnych i korporacyjnych – wyjaśnia Steve Vladeck, ekspert prawny z University of Texas School of Law w Austin. – Należy podkreślić, że Jackson ma większe, bo aż

eprasa.pl cf59a59924

Wybór Ketanji Brown Jackson to uhonorowanie czarnoskórej społeczności USA, coś, co Joe Biden obiecywał w kampanii prezydenckiej.

dziewięcioletnie, doświadczenie pracy w sektorze publicznym niż czwórka innych aktualnych sędziów SN razem wzięta (chodzi tu o trójkę konserwatystów: Johna Robertsa, Clarence'a Thomasa i Amy Coney Barrett, z których każde pracowało jako sędzia federalny mniej niż trzy lata, oraz Elenę Kagan, która nigdy takiej funkcji nie pełniła). To sprawa wagi krytycznej, bo daje pewność, że Jackson doskonale rozumie, jak działa również druga strona naszego systemu sprawiedliwości – podkreśla Vladeck.

Sędzia od łagodnych wyroków

Demokraci argumentujący, że Jackson ma wymagane kwalifikacje, by zająć miejsce w Sądzie Najwyższym, skupili się właśnie na tym – na jej doświadczeniach z okresu pracy w sektorze publicznym. A na czym skupili się jej republikańscy inkwizytorzy? Na tym samym, tylko sympatie Jackson dla spraw przeciętnego zjadacza chleba, pracownika i człowieka, nazwali zagrożeniem dla ekonomicznej wolności i bezpieczeństwa kraju. Dokładnie zaś:

1. Nazwali ją agentką związkowców za to, że w 2018 r. unieważniła serię dekretów prezydenckich Trumpa, które miały na celu odebranie związkom zawodowym pracowników federalnych prawa do negocjacji kontraktów grupowych oraz ochrony pracowników przed nagłym ograniczaniem godzin pracy i zwolnieniem;

2. Przykleili jej łatkę przyjaciółki aborcjonistów za to, że zablokowała pomysł (również autorstwa Trumpa) obcięcia finansowania programu prewencji nastoletnich ciąż realizowanego przez federalny Departament Zdrowia Publicznego;

3. Okrzyknęli ją antypatriotką za to, że w 2019 r. zablokowała kolejne wysiłki Trumpa, by wprowadzić system przyśpieszonych deportacji nie tylko imigrantów aresztowanych na granicy, ale także wszystkich nielegalnych imigrantów na terenie całego kraju, i to bez udziału sądów imigracyjnych, czego wymaga obecne prawo imigracyjne.

Druga linia głównego ataku dotyczyła historii orzekania przez sędzię Jackson w sprawach przestępców. – Nagminnie ułaskawiała pedofilów pomimo ich obrzydliwych przestępstw – zarzucił jej republikański kongresmen z Missouri Josh Hawley. Czy słusznie? Okazało się, że kary nakładane przez Jackson na przestępców seksualnych faktycznie zwykle były niższe niż średnia krajowa – podobnie jak u 66% innych sędziów orzekających w tego typu sprawach, poza tym powiązane z wnioskiem prokuratora o „nagradzanie" w ten sposób oskarżonych za ich współpracę z sądem. – Jest generalnie za łagodna dla kryminalistów – deklarował z kolei republikanin John Barrasso z Wyoming, insynuując, że jak większość liberałów sędzia Jackson najchętniej w ogóle zlikwidowałaby kary za niektóre przestępstwa i uporała się w ten sposób z przeładowaniem więzień.

Problem przestępczości i więziennictwa w USA jest dużo szerszy i nikt w tej chwili nie ma pomysłu, jak go ugryźć. Warto jednak dodać, że pomysł redukcji wyroków za drobne przestępstwa jest forsowany przez ekspertów i przez samych polityków, i to z obu partii, czego dowodzi choćby przegłosowana przez Kongres w 2018 r. ustawa First Steps, która w określonych przypadkach zwalnia z obowiązkowej kary pięciu lat więzienia za posiadanie narkotyków.

Wreszcie konserwatyści wystąpili zwartym szeregiem przeciwko domniemanej postawie *wokeness* (wyczuleniu na dyskryminację rasową) sędzi Jackson oraz kierowaniu się przez nią w orzeczeniach wytycznymi krytycznej teorii rasy. – Proszę się przyznać, pani uważa, że białe niemowlaki są uprzedzone rasowo! – grzmiał podczas przesłuchań m.in. senator Ted Cruz, naczelny konserwatysta z Teksasu, o aspiracjach prezydenckich. Co ciekawe, tutaj *fact-checking* nie tylko nie wykazał podstaw, by łączyć sędzię Jackson z ruchem *woke*, ale wręcz dowiódł czegoś odwrotnego. Na 25 rozpraw, w których orzekała w sprawach dyskryminacji rasowej, tylko w trzech przychyliła się do skargi osoby czarnoskórej, w pozostałych zawyrokowała, że wątek rasy był dla przedmiotu rozprawy nieistotny.

Potrzebujemy w Ameryce sądów, które wyglądają jak Ameryka – uzasadnił swój wybór Joe Biden.

FOT. WHITE HOUSE/ADAM SCHULTZ

eprasa.pl cf59a59924

Na lewicy nie brakuje głosów, że w sprawach o dyskryminację Jackson potrafiła sądzić z gruntu konserwatywnie. W 2017 r. odrzuciła pozew zbiorowy o dyskryminację złożony przez ponad 5 tys. czarnoskórych pracowników firmy Lockheed Martin, a decyzję uzasadniła opinią wydaną kilka lat wcześniej w podobnej sprawie przez konserwatywnego sędziego SN Antonina Scalię. Na wieść, że Biden rozważa kandydaturę Jackson do Sądu Najwyższego, pierwszy w historii czarnoskóry sędzia federalny ze stanu Alabama, U.W. Clemon, wysłał nawet do prezydenta list z obiekcjami, alarmując, iż „ta postawa (wobec pracowników LM – przyp. ESM) to dzwonek alarmowy, że jeśli sędzia Jackson wejdzie w skład Sądu Najwyższego, sprawiedliwość i równość w miejscu pracy staną się zagrożone".

Wisienka, czyli koń

Wisienką na torcie – i ostatecznym potwierdzeniem, że Jackson to „koń trojański, który zniszczy Amerykę" (najnowsza ulubiona metafora republikanów) – jest jej rola obrończyni islamskich terrorystów z Guantanamo.

Tutaj nie był już potrzebny *fact-checking*, na ten zarzut Jackson sama odpowiedziała republikańskim kongresmenom: – Sąd Najwyższy zdecydował, że każdy zatrzymany (w więzieniu Guantanamo – przyp. ESM) może złożyć pozew. Każdemu przysługują prawa *habeas corpus*, bo, jak wiemy, figurują one w konstytucji. (…) Jako federalna obrończyni reprezentowałam osoby, które mi przydzielono.

Opowieści o procesie nominacji i weryfikacji sędzi Jackson na członkinię Sądu Najwyższego nie można zakończyć bez zwrócenia uwagi na to, na co ani jedna, ani druga przesłuchująca ją strona zbytnio uwagi zwracać nie chciała. Warto jednak, a nawet trzeba pokazać, że Katenji Brown Jackson nie jest jednowymiarowa, nie jest ani, jak chcieliby demokraci, liberałką bez skazy, ani, jak gardłują republikanie, zdeklarowanym wrogiem biznesu czy bezpieczeństwa publicznego.

Po pierwsze, ma na koncie konflikt z ekologami w imię dobra biznesu. I to niejeden. W 2013 r. zatwierdziła budowę nowego, biegnącego od Kanady do Zatoki Meksykańskiej gazociągu Flanagan South Pipeline mimo skarg koalicji ekologów i grup rdzennych Amerykanów, że inwestycja będzie miała negatywny wpływ na środowisko i ludzi. W roku 2019 zaś podobnie zignorowała obiekcje ekologów wobec projektu budowy muru granicznego Trumpa na południowej granicy USA, rujnując przy okazji swoją reputację bezwzględnej antytrumpistki.

Po drugie, jako prawnik korporacyjny, którym była dłużej niż urzędnikiem federalnym, orzekała w sposób typowy dla tej branży. Kongresowi przyjaciele wielkiego biznesu upierający się, że będzie „największą lewicową ekstremistką, jaka kiedykolwiek zasiadała w SN" (ponownie słowa Teda Cruza), znaleźliby w tym rozdziale jej kariery wystarczająco dużo dowodów na to, że przychylność Jackson dla związkowców, ludzi biednych, bezrobotnych i dyskryminowanych kolorowych mniejszości równoważy jej lojalność wobec korporacyjnych pracodawców.

Po trzecie wreszcie, fakt kuriozalnie niewygodny w chwili obecnej i dla prawej, i dla lewej strony Kongresu to entuzjastyczne poparcie, jakie Jackson zawsze otrzymywała i otrzymuje od… amerykańskiej policji. W sprawach o nadużycia władzy i autorytetu przez organa porządku publicznego zawsze konsekwentnie broniła godności i wiarygodności „instytucji policjanta", zajmując stanowisko, że aby mógł on wykonywać swoją pracę, musi mieć wolność podejmowania decyzji, które w krytycznych momentach uważa za właściwe.

Zimny prysznic rzeczywistości

Czym więc w istocie jest wybór pierwszej czarnoskórej sędzi do Sądu Najwyższego? Politolog Branko Marcetic, autor książki „Yesterday's Man: The Case Against Joe Biden", zaleca przede wszystkim zimny prysznic rzeczywistości. „Prawda jest taka, że jej dorobek daje powody do radości, ale równie wiele powodów do zmartwień", wyrokuje w ostatniej analizie, „Ketanji Brown Jackson Is Neither Our Champion, Nor Our Enemy", opublikowanej w kwartalniku „Jacobin" (4 kwietnia 2022). I przypomina, że choć obecność sędzi Jackson wesprze liberalne skrzydło SN, jest mało prawdopodobne, że wywrze ona decydujący wpływ na serię historycznych orzeczeń, do których SN się szykuje, być może jeszcze w tym roku. Będzie to zwłaszcza orzeczenie w sprawie prawa do aborcji, które może obalić obowiązujący od ponad pół wieku werdykt Roe vs. Wade, który to prawo powszechnie gwarantował. Nadto na celowniku SN znajdują się prawa stanów – stawką jest znaczące ich poszerzenie, o co zabiegają konserwatyści, a co ułatwiłoby lokalnym władzom m.in. wprowadzanie ograniczeń praw wyborczych w pewnych grupach społecznych. Wreszcie, choć wydaje się to czystym szaleństwem, biorąc pod uwagę skalę przemocy z użyciem broni palnej w Ameryce, SN szykuje się do kolejnego orzeczenia w kwestii praw zawartych w drugiej poprawce (prawo do posiadania broni). Co najmniej piątka sędziów, czyli wymagana większość, to entuzjaści broni i jest prawie pewne, że opowiedzą się oni za dalszym poluzowaniem przepisów o jej dostępności.

Co mogłoby zwiastować prawdziwy przełom w funkcjonowaniu SN? Odejście ze stanowiska konserwatywnego sędziego Clarence'a Thomasa i powołanie na jego miejsce kolejnego liberała. Właśnie wyszło na jaw, że żona Thomasa była bardzo zaangażowana w zabiegi Trumpa, by unieważnić ostatnie wybory – działanie to kwestionuje neutralność Thomasa, a więc, z uwagi na konflikt interesów, jego mandat, by dalej zasiadać w SN. To jednak już materiał na zupełnie inną opowieść.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Po zaprzysiężeniu Jackson zostanie pierwszą członkinią Sądu Najwyższego z doświadczeniem pracy jako federalna obrończyni.

eprasa.pl cf59a59924

Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce

Warto pamiętać, że nie ma godności ludzkiej bez godnej pracy

Rada OPZZ Województwa Dolnośląskiego jest beneficjentem projektu „Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce", który jest finansowany z programu Funduszy Norweskich na lata 2014-2021. Projekt realizowany jest w terminie od 1 grudnia 2019 r. do 31 kwietnia 2022 r. w partnerstwie z Radą OPZZ Województwa Małopolskiego, Radą OPZZ Województwa Opolskiego oraz Zachodnią Izbą Gospodarczą.

„Godna praca stanowi podstawę poszukiwania godności jednostki, rodzinnej stabilności i pokoju w społeczeństwie" (Juan Somavia). Godna praca jest zarówno problemem uniwersalnym, globalnym, jak i kluczowym celem do osiągnięcia zgodnie z celami zrównoważonego rozwoju. Istnieją jednak liczne trudności we wdrażaniu programu godnej pracy. Wyzwania te obejmują m.in. bezrobocie wśród młodych, pracę dzieci, pracę przymusową, dyskryminację, nieformalność, brak praw pracowniczych, nierówność płci i nieodpowiednią ochronę socjalną. Koncentrując się na znaczeniu realizacji programu godnej pracy, projekt ten miał na celu uwzględnienie ekonomicznego, społecznego i środowiskowego wymiaru zrównoważonego rozwoju, ponieważ miejsca pracy łączą ludzi ze społeczeństwem, gospodarką i środowiskiem.

W ramach realizacji projektu zorganizowano działania przybliżające uczestnikom projektu problematykę związaną z zagadnieniami godnej pracy oraz promujące godną pracę. Były to m.in.: spotkanie inaugurujące projekt, trzy sesje warsztatów, każda dla 30 osób, obrady okrągłego stołu dla 50 osób, trzy konferencje zamykające projekt łącznie dla 100 osób, kampania promocyjna oraz podręcznik „Program godnej pracy – zalecenia". Szczegółowe informacje na temat zrealizowanych działań w ramach projektu znajdują się na:

- **stronie internetowej:** opzz-dialogspoleczny.pl,
- **kanale YouTube:** www.youtube.com/channel/UC5LKZjxiaKRGsfIH26x6PVg,
- **Facebooku** – Godna Praca – Project Ensuring Decent Working Conditions in Poland.

Godna praca jest naturalnym prawem człowieka i należy wprowadzać wszelkie instrumenty oraz rozwiązania, aby idea ta stała się rzeczywistością w każdym miejscu i na każdym stanowisku pracy. Sprawiedliwe i bezpieczne standardy pracy są wartością ogólną i ponadnarodową, niezależnie od narodowości pracownika, formy prawnej wykonywanej pracy czy struktury kapitałowej (właścicielskiej) firmy. Przyszłość trzeba bowiem budować z godną pracą, jak konsekwentnie wskazuje to Międzynarodowa Organizacja Pracy. Warto pamiętać, że nie ma godności (wolności) ludzkiej bez godnej pracy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Norway grants

Innovation Norway

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work" / Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca"

eprasa.pl cf59a59924

„Żbik" i mord w Przedborzu

Dał rozkaz: Żydów wystrzelać, mieszkania zdemolować, a majątek zabrać. I tak żeśmy zrobili

Jakub Woroncow

Władysław Kołaciński „Żbik", dowódca oddziału Narodowych Sił Zbrojnych na Kielecczyźnie, to bohater narodowej prawicy, jeden z „żołnierzy wyklętych". Jego wydane na emigracji wspomnienia „Między młotem a swastyką" są ważnym źródłem historycznym, ale jednocześnie lekturą obowiązkową dla każdego apologety NSZ, świadczą bowiem o kolaboracji z okupantem i zbrodniach dokonanych na Żydach, takich jak zamordowanie grupy Żydów w Przedborzu.

25 czerwca 1945 r. „Biuletyn Żydowskiej Agencji Prasowej" podał następujący komunikat: „W Przedborzu (pow. koński) uprowadzono wszystkich mieszkańców żydowskich (9 osób), których za wyjątkiem jednego, któremu udało się uciec – w bestialski sposób zamordowano w pobliskim lesie". 28 lipca poseł Emil Sommerstein w przemówieniu do Krajowej Rady Narodowej powiedział: „Wracają ofiary z obozów hitlerowskich z Oświęcimia, dzień czy dwa szukają swoich rodzin i giną. Tak było w Przedborzu. Czy to może jacyś spekulanci? Nie. Zginął krawiec, szofer, krawcowa, druga krawcowa, zginęło dziecko urodzone 2 czerwca 1939 r. krótko przed wojną. Te rzeczy się powtarzają". Sprawcy mordu w Przedborzu, członkowie oddziału NSZ Władysława Kołacińskiego, nigdy nie zostali skazani. Dziś apologeci tej formacji próbują „Żbika" wybielać i sugerować, że w maju, gdy doszło do mordu, jego oddziału nie było w okolicy, jednak on sam pisze we wspomnieniach: „Lansowany był także przeciwko mnie zarzut o »pogromie Żydów« w Przedborzu, w czerwcu 1945 r. To pospolite kłamstwo i oszczerstwo. Rzecz miała się tak: oddział pod dowództwem por. Groma (byłem wówczas nieobecny z powodu ataku nerki) wyłowił trzech figurujących na liście »zasłużonych« ubowców (Żydów). Zgodnie z orzeczeniem Sądu Podziemnego zostali rozstrzelani. W miasteczku mieszkało wówczas około 300 Żydów obojga płci". Przesłuchiwany przez UB partyzant Feliks Sokołowski uzupełnia tę historię zeznaniem: „W nocy z 27 na 28 maja »Żbik« wyznaczył ośmiu ludzi z grupy, w której między innymi byłem i ja, i dał rozkaz: Żydów wystrzelać, mieszkania zdemolować, a majątek zabrać. I tak żeśmy zrobili".

Władysław Kołaciński „Żbik" to bohater narodowej prawicy, jeden z „żołnierzy wyklętych".

Pierwsza amnestia

„Żbik" bierze odpowiedzialność za atak na Przedbórz, ale kłamie na temat ofiar. Do dziś nie znalazł się ani jeden dokument określający którąkolwiek z ofiar jako „zasłużonego ubowca", nie zachowało się żadne orzeczenie tzw. sądu podziemnego. W związku z ogłoszeniem pierwszej amnestii dla partyzantów antykomunistycznych „Żbik" postanowił rozwiązać oddział i zdać broń. W liście złożonym na ręce PUBP pisze mało składnie: „Z oddziałem w tutejszym terenie jestem od 9. 6. b. r. przeprowadziłem jedną tylko finansową akcję na Wolę Krzysztoporską, zabierając 135 kg drożdży i 140 tysięcy złotych, następnie sprzątnąłem jednego łobuza przedwojenny obecny złodziej, a za czasów niemieckich morderca (...). Rozstrzelałem tylko 7 osób 6 – konfidenci na rzecz niemiec i 5-ciu za rabunki, w tym dwóch z mojego oddziału (...). Współpraca z niemcami – o ironio mnie posądzać o podobne rzeczy, którego rok męczyli i zamordowali mi brata w Oświęcimiu, mnie tłuczono i katowano przez miesiąc w gestapo w Częstochowie, byłem wieziony do Oświęcimia...". W czasie okupacji prowadził jednak walkę z PPR, Gwardią Ludową, a nawet Batalionami Chłopskimi. Jego ofiarą padł leśniczy, który zawinił opieką nad rannym partyzantem GL.

Według sprawozdania Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj z maja i czerwca 1944 r. NSZ-owcy „Żbika" „chełpili się, że są z niemieckimi żandarmami w dobrej komitywie. Mogą

FOT. IPN

eprasa.pl cf59a59924

swobodnie likwidować PPR, bandytów i różnych lewicowych działaczy". Wydarzenia z Przedborza badała zaś prof. Joanna Tokarska-Bakir z Instytutu Slawistyki PAN. Efektem jest artykuł naukowy „Terror w Przedborzu, noc z 26/27 maja 1945", który znalazł się w zbiorze „Bracia miesiące. Studia z antropologii historycznej Polski 1939-1945" wydanym w zeszłym roku.

Wrócili z obozu w Auschwitz. Zginęli z rąk żołnierzy „Żbika". Krawiec, szofer, dwie krawcowe i dziecko urodzone krótko przed wojną.

Przed wojną w Przedborzu mieszkało 7,8 tys. osób, z czego ponad połowę stanowili Żydzi. W marcu 1940 r. Niemcy stworzyli tu getto. 9 i 12 października 1942 r. jego mieszkańców wywieziono w dwóch transportach do Treblinki, gdzie praktycznie wszyscy zginęli. Wywózki uniknęło 20 żydowskich policjantów, a z powtarzanych po wojnie plotek wynikało, że niektórzy mieszkańcy getta wymknęli się i ukryli w okolicznych wsiach. Do miasta po wojnie wracało po kilka osób, które następnie i tak wyjeżdżały, nie odnajdując na miejscu krewnych ani swojego przedwojennego mienia. Łącznie z Przedborza ocalało 41 Żydów. Jedna z tych grup zamieszkała w kamienicy przedwojennego restauratora Becalela Wyszyńskiego.

Jeszcze pod koniec 1943 r. między Przedborzem a Włoszczową rozpoczął działalność oddział „Żbika", który w czerwcu 1944 r. dołączył do Brygady Świętokrzyskiej. 5 stycznia 1945 r. oddział stracił łączność z brygadą i nie wymaszerował z nią na zachód. Na terenie Przedborza „Żbik" zrekrutował część funkcjonariuszy straży pożarnej, do której należał m.in. Kazimierz Jezierski, skazany wyrokiem AK za rabunki. Przedborzaninem był też Julian Kamiński, lekarz pochodzenia żydowskiego, którego skierowano do oddziału, by pomógł dowódcy cierpiącemu na choroby nerek. Jak pisze we wspomnieniach „Żbik", Kamiński nie ufał nikomu z oddziału i tylko dowódca wiedział o jego pochodzeniu. Po wyzwoleniu powstał w mieście posterunek MO, którego załogę stanowili m.in. strażacy należący do AK i NSZ.

Załadowane wozy

Napastnicy należeli do grupy stacjonującej we wsi Piskorzeniec, wsparci przez posiłki z Radomska. Byli to: Teodor Bujak, Feliks Sokołowski, Stefan Hofman, Stanisław Słowik, Jan Maciński – jeden z twórców MO w regionie, Zbigniew Wojciechowski, Kazimierz Jezierski, Jan Proszowski i Władysław Majewski oraz nieznany z nazwiska partyzant z Zawiercia. Dowodził Słowik; kazał zostawić furmankę przy kościele, a sam z dwoma ludźmi ruszył w kierunku domu Wyszyńskiego. Potencjalne drogi ucieczki ubezpieczały dwuosobowe patrole uzbrojone w broń maszynową. Napastnicy weszli do domu, ale odkryli, że dwóch jego mieszkańców nie było. Wyruszyli więc na poszukiwania. Znaleźli ich i przyprowadzili. Świadek, Jan Symonides, zeznał, że zdał swój wóz człowiekowi podającemu się za funkcjonariusza MO: „Gdy przybyłem na miejsce, zastałem tam już konie Zająca Antoniego (sąsiada – przyp. J.W.). Na obydwa wozy jacyś osobnicy w mej obecności zaczęli wynosić z domu, w którym mieszkali Żydzi, bieliznę, buty, kożuchy, pościel, spody od butów oraz różne przedmioty codziennego użytku jak talerze, rondle, patelnie itp. W trakcie ładowania tych przedmiotów wozów pilnował jakiś osobnik w mundurze, uzbrojony w karabin maszynowy. Gdy wozy te zostały załadowane, wyprowadzono z domu Żydów w liczbie siedmiu czy ośmiu osób. Kobiety żadnej wśród nich nie widziałem. Wszyscy byli powiązani do siebie. Zaraz po tym kazano mi jechać".

Tuż przy wyjeździe z miasteczka próbę ucieczki podjął jeden z Żydów, Alter Litmanowicz. Zastrzelił go, według zeznania Jezierskiego, Zbigniew Wojciechowski. Schwytanych zawieziono do obozu, gdzie zostali rozstrzelani. Udało się jednak uciec Chaimowi Aleksandrowiczowi. Jezierski wyruszył za nim w pogoń. Pojechał skradzionym Żydom rowerem poprosić o pomoc Edmunda Majchrowskiego, funkcjonariusza UB współpracującego z oddziałem „Żbika". Tymczasem Aleksandrowicz spotkał żołnierzy Armii Czerwonej, którzy, wysłuchawszy jego historii, polecili mu kontakt z UB. Aleksandrowicz wiedział, że w UB pracował Majchrowski, dlatego ruszył w kierunku jego domu. To go zgubiło. Jezierski przyznał się do jego zastrzelenia. Zachowało się także zeznanie innego członka NSZ, Józefa Kluski, z 1946 r.: „Maciński przyznał się do mnie, że gdy »Żbik« miał bić ludzi narodowości żydowskiej w Przedborzu, to jemu dał jedną ładną żydówkę, żeby zrobił z nią, co mu się tylko podoba, i żeby ją zabił. Co też Maciński uczynił".

Dokładna lista ofiar jest trudna do odtworzenia. Nie ma wątpliwości, że byli wśród nich Becalel Wyszyński, Chaim Aleksandrowicz, Alter Litmanowicz i Lejzor Lizband. Pismo Centralnego Komitetu Żydów Polskich do Prezesa Rady Ministrów z 17 czerwca 1945 r. podaje także nazwiska: Mojżesz Wiernik, Mendel Fogel, Estera Kornowa, Józef Korn (miało to być dziecko urodzone w 1939 r.), Rajzla Salcberg i Szlomo Szwarc. Wydana w Izraelu „Księga Pamięci Przedborza" mówi również o Izraelu Blumenzonie, Pincie Miedzińskim, Sarze Litwin i Józefie Maślaku. Według tego źródła ofiar było dziewięć, ale łącznie dysponujemy 13 nazwiskami. Prawdopodobnie nigdy nie uda się ustalić, kim była większość z tych osób. Istotne

Sprawcy mordu w Przedborzu, członkowie oddziału NSZ „Żbika", nigdy nie zostali skazani.

eprasa.pl cf59a59924

jest jednak to, że w Przedborzu zamordowano wszystkich Żydów, których sprawcom udało się znaleźć i schwytać.

Przykład terroryzmu

Joanna Tokarska-Bakir klasyfikuje wydarzenia w Przedborzu nie jako pogrom, lecz jako przykład terroryzmu, gdyż był to wysoce zorganizowany pojedynczy akt przemocy wymierzony w grupę etniczną. Wojciech Zawadzki, przedborzanin i badacz dziejów miasta, pisze natomiast, że „ocena owych wydarzeń w społeczeństwie przedborskim jest od lat niezmienna. Był to mord rabunkowy", a mord był według tej wersji konsekwencją grabieży. Dlaczego zbrodnia w Przedborzu jest tak podobna do innych morderstw dokonywanych w różnych rejonach Polski, gdzie napastnicy mordowali wszystkich schwytanych Żydów? Dlaczego celem byli Żydzi i dlaczego ci sami sprawcy częściej mordowali kobiety i dzieci? A może to rabunek jest konsekwencją mordu?

Warto zwrócić uwagę, że wszystkie ofiary mieszkały w domu należącym do Wyszyńskiego. Co się działo z domami pozostałych? Tokarska-Bakir pisze: „Złoto jest zresztą w Przedborzu stale kojarzone z Żydami. Opowiada się o kosztownościach ze spalonej synagogi zakopanych w piwnicach i o złocie poukrywanym w guzikach swetrów".

Brak możliwości schwytania dowódcy oddziału był zapewne jedną z przyczyn tego, że sprawców nie znaleziono. Władza nie ścigała szeregowych partyzantów z taką zaciekłością jak dowódców. Przewidziane były nawet oferty współpracy i wielu, w tym podejrzewani o mord w Przedborzu, z tego skorzystało. Współpracownikami bezpieki zostali Jezierski, który obciążył towarzyszy broni z Konspiracyjnego Wojska Polskiego, do którego wstąpił po rozwiązaniu oddziału „Żbika", i sanitariusz oddziału Michał Spanier. Majchrowski i Maciński wykorzystywali także swoje znajomości w MO i UB. Zwłaszcza Majchrowski był na tyle pewny siebie, że oskarżył o zniesławienie listonosza, który wypomniał mu udział w morderstwie na Żydach. Listonosz zmuszony był zakończyć proces ugodą, gdyż był bliskim krewnym Jezierskiego. Kołaciński zamieszkał w USA, ale pod koniec życia wrócił do Polski. Zmarł w 1995 r. w Płocku.

Prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie Władysława Kołacińskiego „Żbika" Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Sprawcy z oddziału NSZ nigdy nie zostali rozliczeni ani za Przedbórz, ani za inne przestępstwa popełnione w czasie okupacji i krótko po wyzwoleniu. W śledztwie przeciwko sprawcom mordu milicja próbowała wykorzystać zeznanie Juliana Kamińskiego, jedynego Żyda, który przeżył, ale nie uciekł z Przedborza. Ten nie tylko ich nie wydał, lecz nawet w 1970 r. wymieniał Majchrowskiego jako... osobę pomagającą Żydom w przedborskim getcie, w tym Aleksandrowiczowi. Prawdopodobnie rację ma prof. Tokarska-Bakir, twierdząc, że po przejściu na katolicyzm i zawarciu małżeństwa z Polką bał się sąsiadów i zabójców, a broniąc ich, zapewnił sobie bezpieczeństwo. Zmarł w 1971 r.

Kołaciński w lipcu 1945 r. skontaktował się z władzami bezpieczeństwa, by się ujawnić. Oddział rozformował we wrześniu, obawiając się represji, i uciekł do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Trafił stamtąd do 2. Korpusu Andersa.

Wydarzenia w Przedborzu zostały zbadane naukowo dość późno, lecz był to jeden z głośniejszych powojennych mordów na ocalałych z Holokaustu, w dodatku popełniony przez oddział partyzanta oskarżanego o wiele innych przestępstw, w tym kolaborację z okupantem. Sprawy zostały jednak przykryte najpierw przez bierność powojennych organów ścigania, potem przez przedawnienie, a po 1989 r. przez propagandę wybielającą NSZ i powojennych partyzantów antykomunistycznych. W rezultacie prezydent Lech Kaczyński 1 sierpnia 2007 r. odznaczył pośmiertnie Kołacińskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a partyzant dołączył do pocztu „żołnierzy wyklętych" czczonych jako bohaterowie narodowi przez obóz prawicy.

Jakub Woroncow

eprasa.pl cf59a59924

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Doktryna szoku – reaktywacja

Żyjemy w momencie, w którym historia z leniwego stępa przeszła do kłusa i szykuje się do galopu. Najprawdopodobniej, bo nie jestem wróżką ani futurologiem. Ale dynamika polityczna się zagęściła. Tym samym powoduje rozchwianie dotychczasowego systemu; narasta poczucie chaosu i zagrożenia, budzi się strach, dawne demony wychodzą z ukrycia. Rodzą się z kryzysów, które wstrząsnęły światem w ostatnich kilkunastu latach i kilku miesiącach. Od kryzysu finansowego, poprzez pandemię, kryzys energetyczny i klimatyczny, aż do przygrywki do wojny światowej – agresji Rosji na Ukrainę i wszystkiego, co się kryje za tymi wydarzeniami. Jesteśmy, porzucone dzieci końca historii, w szoku i przerażeniu. Jesteśmy zatem łatwym celem. My – ludzie, my – nasz świat, my – nasze marzenia i oczekiwanie zmiany. Czas wrócić do lektury „Doktryny szoku" Naomi Klein, puszczając mimo uszu doraźne kwękania na nią, że nie stoi w jednym szeregu z Pentagonem w sprawie wojny w Ukrainie.

Nie chcę teraz się zajmować zachodnio-lewicową perspektywą, oceną przyczyn i źródeł rosyjskiej agresji wojennej. Naomi Klein, kanadyjska dziennikarka i aktywistka, publikując „Doktrynę szoku" w 2007 r., przywołała na wstępie cytat z dokumentu „Shock and Awe: Achieving Rapid Dominance" (Szok i przerażenie, jak zdobyć szybką przewagę), doktryny militarnej przyjętej przez armię USA w trakcie inwazji na Irak w 2003 r. Czytamy tam: „Operacje wojskowe »Szok i przerażenie« mają na celu wywołanie strachu, poczucia zagrożenia oraz sianie spustoszenia na tak dużą skalę, by przekraczały zdolność pojmowania zarówno całego społeczeństwa, jak i poszczególnych grup społecznych oraz władz. Także zjawiska przyrodnicze jak tornada, huragany, trzęsienia ziemi, powodzie, niekontrolowane pożary, klęski głodu oraz epidemie chorób zakaźnych mogą wywoływać skutki zbliżone do tych, jakie niosą ze sobą operacje »Szok i przerażenie«". Brzmi znajomo? Od dłuższego czasu przebywamy w oparach tego „szoku", po raz kolejny i kolejny.

Ten okres jest dla wielu z nas czasem rozbicia, niepokoju, lęków, poczucia zagubienia. Nie dla wszystkich jednak. W szczególności nie dla polityków i biznesu. Dla nich to czas żniw, przewartościowań, zmian frontów, to czas małych, większych i gigantycznych dywersji świata, w którym żyliśmy. Naomi Klein na przykładach wojny z terrorem po 11 września 2001 r., huraganu Katrina i powodzi w Nowym Orleanie czy upadku ZSRR pokazała narodziny i rozkwit kapitalizmu kataklizmowego, uwiąd demokratycznych reguł zredukowanych do aktu wyborczego, bezradność i słabość instytucji wsparcia i solidarności w konfrontacji z brutalnym rynkiem oraz dyktatem ponadnarodowych potęg biznesowo-kapitałowych. To dzisiaj dzieje się ponownie i z całą mocą. Wiemy niewiele i bez pewności. Media są elementem tego „szoku".

Spójrzmy tylko na nasze lokalne, polskie, prowincjonalne podwóreczko. Przy okazji pandemii natychmiast ruszyli do akcji mali kombinatorzy podwieszeni pod obecną władzę – macherzy od byle jakich maseczek (ale w obecności kamer telewizyjnych wyładowywanych z największego samolotu transportowego świata) i przepłaconych respiratorów. Biznesiki i przewały na drobne kilkaset, kilkadziesiąt, kilka milionów złotych. I, co ważniejsze, towarzyszące im zmiany w ustawodawstwie, zdejmujące odpowiedzialność karną za przestępstwa popełnione podczas „pomagania, ratowania, walki z pandemią". Wyobraźcie sobie tylko, jakie rzeczy działy się w skali globalnej, gdzie giganci obracają prawdziwymi miliardami, bilionami dolarów. Ale największym generatorem machinacji finansowych i ograniczających nasze prawa i wolności jest wojna. Z tego wynika zamilknięcie głosu sprzeciwu i krytyki (bo kontroli nad tym nie mamy prawie wcale), gdyż trzeba, jak zalęknione kurczaczki, zgromadzić się pod flagą: narodową, europejską, natowską, rosyjską, biednego Południa i sytej Północy. Wszyscy zatem pokochali wojnę na nowo, niepomni tych naiwnych, niegdysiejszych apeli „Nigdy więcej...". Ma być więcej wszystkiego. A Ziemia jest jedna. Prawdziwa wojna o zatrzymanie katastrofy klimatycznej zniknęła z mediów, rozmów, prac ustawodawczych.

Wszyscy pokochali wojnę na nowo, niepomni naiwnych, niegdysiejszych apeli „Nigdy więcej...".

W Polsce w zamian mamy nowe regulacje o nieusuwalności pomników Jana Pawła II i zakazie przemianowania ronda faszysty Dmowskiego na rondo Praw Kobiet. Na zawsze. Jakby cokolwiek było na zawsze. Gdyby to nie było tragiczne, moglibyśmy sobie popękać ze śmiechu. Oczywiście jeśli to nie jest śmiech z Kościoła i wiary – bo wtedy wedle kolejnego projektu ustawy – trafimy na kilka lat do pierdla. Amen, lance do boju.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Wielka dziejowa zmiana

Polacy widzą teraz, co oznacza Wschód. To zostało im przypomniane w sposób potworny, apokaliptyczny, złowieszczy

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
– filozof i historyk religii, kierownik Zakładu Badań nad Religią w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN

Co wojna w Ukrainie zmieniła w naszym myśleniu? W postrzeganiu świata, w tym, co ważne, a co nieważne?

– Ta wojna uderza w nas z całą jaskrawością. Przede wszystkim dlatego, że dzieje się tuż za miedzą, że jesteśmy w nią niemal bezpośrednio zaangażowani. Że za nią czai się zgroza, która mogłaby na nas spaść lada moment. Wielu z nas ma to w głowie.

Że wojna może się stać naszym udziałem?

– Nie tylko o to chodzi. Ta wojna należy do takich wydarzeń, które przemieniają wszystko. Katastrofy tego rodzaju, wielkie, mają to do siebie, że przemieniają najgłębiej i drastycznie świat wartości, świat wyobrażeń. Czynią nas zupełnie innymi. Często radykalnie innymi. Są różne wymiary tej przemiany. Mamy świadomość, że dokonuje się wielka dziejowa zmiana. Krwawa, straszna, której ostateczny sens nie ujawni się przed nami. Bo jesteśmy, w wymiarze dziejowym, na jej początku, na progu. Doraźnie może więc być rozmaicie.

Wielka fascynacja Zachodu

A w wymiarze dziejowym?

– W wymiarze dziejowym ta wojna oznacza, że zaczyna się katastrofa imperializmu rosyjskiego, moskiewskiego, budowanego z udziałem Zachodu od kilkuset lat. Nie od wczoraj.

Od Piotra I, który, gdy odwiedzał Paryż, wziął na ręce siedmioletniego Ludwika, przyszłego Ludwika XV?

– Fascynacja Zachodu Moskwą jest wcześniejsza, jeszcze z czasów Iwana Groźnego. Fascynacja różnych sił… Stąd legat papieski Antonio Possevino na obrazie Matejki „Batory pod Pskowem".

Wyprawiał się do Moskwy, napisał „Moscovię".

– Nie tracił nadziei na nawrócenie schizmatyków ze Wschodu. Ten motyw zresztą się powtarza – motyw nawrócenia Moskwy na jedyną słuszną wiarę; w tajemnicach fatimskich też jest podejmowany. Z drugiej strony Ruś moskiewska okazywała się skarbnicą wszelkich dóbr pożądanych na Zachodzie. Drewna, futer, a później diamentów, ropy, gazu. Warto było w to inwestować. Podróż Piotra I po Europie miała ten aspekt, że był pierwszym władcą Rusi moskiewskiej, który oczarowywał Zachód. Fascynował ten dziwny przybysz – i intelektualnie, i politycznie. Jego śladem poszła później Katarzyna II, budując tę fikcję – że Rosja to kraj oświecony, w odróżnieniu chociażby od anarchicznej Polski. Została stworzona wtedy taka maska.

Atrakcyjna.

– Maska pokazująca potężny kraj, pełen rozmaitych zasobów, fascynujący, kraj swoistej przygody, bo chodziło nie tylko o dobra materialne czy rzymskie pragnienie nawrócenia, lecz i o to, że jest to kraj niezmierzonych przestrzeni. Z egzotyczną urodą kopuł cerkiewnych. Jak pisał Jesienin, tą „złotą Azją", która na moskiewskich kopułach spoczywa. Moskwa była zresztą przepiękna, zanim zniszczył ją Stalin. Towarzyszyła temu wielka kultura rosyjska. I literacka, i muzyczna. Ikoniczna wizja Moskwy, Rusi moskiewskiej, była naprawdę czymś obezwładniającym

eprasa.pl cf59a59924

swoją magią. Teraz to wszystko się przewraca, nicuje. I wyłazi spod tej pozłoty, spod fantazmatu przegniły kościotrup, trup robaczywy. Ale to taki trup, który morduje.

Gorszące są też elity rosyjskie, leniwe, próżniacze.

– Tak, ten bezwład i pasożytnicza bierność ma zresztą w literackiej tradycji rosyjskiej nazwę – obłomowszczyzna. Od Obłomowa, tytułowej postaci wielkiej, przenikliwej powieści Iwana Gonczarowa (1859). No i przykrywa to wybujały bizantynizm – który jest i złotą maską tego wszystkiego, jego ikonostasem, i mechanizmem panowania z jego jakby sakralną i hieratyczną mocą. Rosja wypracowała bowiem tym sposobem rozmaite strategie uśpienia świata, zaczarowania go swoją urodą, wielkością, swoim potencjałem i baśnią. A lud rosyjski został także zaczarowany treściami mitycznymi, religijnymi. W prostacki sposób! Lud chla zatem spokojnie wódkę, żre suszoną rybę i czarny chleb. I to mu wystarcza. Bo jest ukojony tym czymś, co ja nazywam rosyjskim imperializmem ludowym. Tym poczuciem mocy, które rekompensuje nieszczęścia życia codziennego i które okazuje się wystarczające. Jednocześnie w tym wszystkim przeraża archaiczna mentalność, właściwie średniowieczna lub jeszcze bardziej archaiczna, nigdy nieprzepracowana. W dodatku peryferyjna i podszyta świadomością mongolską.

Idea rosyjska, czyli Blut und Boden

Dlaczego mongolską?

– Osławione „zbieranie ziem ruskich" rozpoczęte zostało przez najbardziej peryferyjne, najbardziej zacofane, najbardziej zmongolizowane z księstw ruskich, czyli Ruś włodzimiersko-moskiewską, której władcy, zniewoleni i upokarzani, byli ulubionymi przez chanów poborcami jarłyku, czyli podatku, haraczu płaconego pod groźbą najazdu. Trzeba było oddawać w zastaw siebie albo syna, czasami chan zapragnął żony książęcej… A do tego dołożono parę uzurpacji – chociażby wizję Trzeciego Rzymu. To wizja ukształtowana przez mnicha Filoteusza za czasów ojca albo dziadka Iwana Groźnego, czyli Iwana III Srogiego albo Wasyla III. Że po upadku Rzymu i Konstantynopola ich rolę przejęła Moskwa. Że czwartego Rzymu już nie będzie, gdyż właśnie ona jest ostatnią i zbawczą rzeczywistością w dziejach świata. Z drugiej strony zbudowane zostało to, co się nazywa ideą rosyjską.

Na czym ona polega? Przecież to, co mówi jej główny ideolog Aleksandr Dugin, nie trzyma się kupy.

– Aleksandr Dugin ma ogromną erudycję amatora, który klei z różnych elementów dowolne światy. Ale te dowolne światy stają się rzeczywistością, niestety. Jeśli przyjrzeć się temu, co robi Putin, okaże się, że realizuje scenariusze geopolityki Dugina. Te, że trzeba wypchnąć z Europy „cywilizację morza", czyli anglosaską i liberalną, na rzecz „cywilizacji lądu", której koroną jest „Eurazja-Rosja", czyli Moskwa – w powiązaniu z tzw. cywilizacjami drugiego rzędu, czyli Niemcami reprezentującymi Europę, Iranem reprezentującym Azję lądową i Japonią, która reprezentuje cywilizację dalekiej Azji. Charakterystyczne, że Dugin nie wymienia tu Chin… Kraje, które są między Niemcami a Rosją, są w związku z tym zupełnie nieważne, trzeba je albo podporządkować, może podzielić – jak Polskę, albo zniszczyć – jak Ukrainę.

To są bajania w stylu „przestrzeni życiowej", Herrenvolku itp.

– Jest taka biografia Dymitra Dońskiego napisana przez historyka i teologa Jurija Łoszczyca. Są w niej rzeczy niesamowite. Łoszczyc pisze o „idei rosyjskiej", zastanawiając się nad Międzyrzeczem Zaleskim, gdzie były te najnędzniejsze ruskie księstwa, włodzimiersko-moskiewskie, riazańskie itd., czyli krajem lasów, drewnianych grodów, bardzo nędznych, krajem pozbawionym elit. I z niego snuje się jakoby „idea rosyjska". Objawia się tam rzekomo wszędzie. Jest nie tylko myślą, ale i rzekami, które tam płyną i mają źródła, Donem, Wołgą, Moskwą czy Klaźmą. Jest dziwnymi drzewami i kamieniami, przenika wszystko. I ta „idea rosyjska" zostaje rzucona – czyli musi się realizować, zawłaszczając wszystko wokół – przeciw idei Rusi Kijowskiej, przy pozorach jej kontynuacji. Któż by pomyślał, pisze Łoszczyc, że owa Ruś włodzimiersko-moskiewska, ten nędzny fragment Międzyrzecza Zaleskiego, „stanie się kiedyś wielkim państwem"?

Czuję, że za chwilę ta idea objawi się jako walka ludu, związanego z przyrodą, uduchowionego, ze zdegenerowanym, bogatym Kijowem.

– Tak, to utożsamienie myśli z wodą, drzewem, kamieniem, z naturą, tak właśnie pracuje… Owa idea *Blut und Boden* ma jeszcze bardziej wszechstronną postać. Bo to nie jest tylko, jak mówi Oswald Spengler, „dziedzictwo przodków naszych, które mamy we krwi". I objawia się tu totalność świata, totalność doświadczenia, która unieważnia tak naprawdę materialny wymiar istnienia i przekształca go w duchowość. Ważne jest zatem mistyczne „coś", które oni, Moskale, lubią nazywać „duszą rosyjską". I nawet Lew Tołstoj w „Wojnie i pokoju" temu uległ. Tymczasem nie ma żadnej „rosyjskiej duszy" – jest urojenie, fantazmat, projekcja, mit. A w tle jest

Ta wojna należy do wydarzeń, które zmieniają wszystko. Wielkie katastrofy przemieniają drastycznie świat wartości, świat wyobrażeń.

Drastycznie rozsypuje się idea „zbierania ziem ruskich". Oto Ruś Kijowska, która ma osobną tradycję, dławioną przez kilka stuleci przez Ruś moskiewską, wraca do swego.

eprasa.pl cf59a59924

jeszcze carskosławie, czyli niebywałe wprost zespolenie państwa z Kościołem, w którym Kościół zostaje przeistoczony w absolutne narzędzie państwa. I tak to trwa od wieków.

Bajka ruska

Do dziś.

– A teraz to wszystko się kompromituje. I ukazuje się ów trup, który siedzi na złotym tronie... Tak, jak z gorzką ironią i nieskrywaną złośliwością pisał Zbigniew Herbert w wierszu „Bajka ruska" – o carze, który się zestarzał, osłabł, nawet już gołąbka własnymi rękami nie mógł udusić... A później umarł. I przyrósł do złotego tronu. Nie sposób go było oderwać. „Rządził wtedy kto inny, nie wiadomo kto. Ciekawy lud zaglądał do pałacu przez okno, ale Kriwonosow zasłonił okna szubienicami. Więc tylko wisielcy widzieli co nieco". Trzeba było wprawdzie cara pochować, ale nie dało się, przecież ręce i nogi carowe zrosły się z tronem. „A zakopać cara ze złotym tronem – żal". Teraz jednak widać, że w tym, co zbudował Putin – tym świecie kremlowskim, także w jego warstwie materialnej i ikonicznej, w tym bizantynizmie, w tych patetycznych rytuałach i fantazyjnych strojach gwardzistów zaprojektowanych przez Walentina Judaszkina, w tym gigantycznym stole władcy i złocie, które zewsząd kapie – jest jakaś przerażająca trupiość. Jakbyśmy wkroczyli do wielkiego grobowca historii i patrzyli, jak jego mieszkaniec i wszystko wokół podlega rozkładowi. Ja w każdym razie mam wrażenie, że patrzę tu na tę samą pracę śmierci, którą tak drastycznie ukazał barokowy malarz hiszpański Juan de Valdés Leal w „Finis Gloriae Mundi" (Koniec chwały świata).

Putin wygląda dobrze.

– To nie o nim mowa. Przede wszystkim trwale i drastycznie rozsypuje się idea „zbierania ziem ruskich". Oto Ruś Kijowska, która ma osobną tradycję, dławioną przez kilka stuleci przez Ruś moskiewską, wraca do swego. Mówi, że jest czymś innym. Że jest osobnym narodem, osobną tradycją, osobnym bytem. To widać w heroicznym oporze Ukraińców i w ich zgodzie na to, że za ten heroizm przychodzi potwornie zapłacić. A Rosja – nawet jak odniesie jakiś, nie daj Boże, militarny triumf – to już przegrała. To jest klęska Rosji. Pewnie nie doświadczymy jej skutków, bo to dopiero początek, bardzo zasadniczy i ważki, pewnego procesu dziejowego, który stanie się kiedyś. Ale widać, że ten proces jest destrukcją Moskwy, Rusi moskiewskiej.

> Lud jest ukojony tym czymś, co nazywam rosyjskim imperializmem ludowym. Tym poczuciem mocy, które rekompensuje nieszczęścia życia codziennego.

Dlaczego ludzie na Kremlu uwierzyli Duginowi? Dlaczego kupili jego wizje?

– Bo on doskonale syntetyzuje wszystkie te miazmaty, o których oni mówią. A poza tym jest ich człowiekiem! Synem generała. Bodaj straży celnej, ale generała. Fiona Hill, oficer wywiadu amerykańskiego, a później autorka biografii Putina, pisze, że okres covidowy Putin spędził na Kremlu, czytając stare rosyjskie traktaty i oglądając stare rosyjskie mapy. Również pod wpływem Dugina, którego wprowadziły na Kreml środowiska nawiedzonych militarystów, mesjanistycznych generałów i agentów wywiadu.

To oni go na Kreml przyprowadzili!

– Jego główną książkę, „Podstawy geopolityki", sfinansowała Akademia Wojenna Rosji. A popiera go konglomerat ludzi zaczarowanych jego synkretyczną koncepcją euroazjatyzmu, świętej idei rosyjskiej, ponad Europą i ponad Azją, Trzeciego Rzymu, imperium… Wszystkie te mniemania podzielały całe grupy „okołokremlowskich" generałów i kagebistów. A także ludzi Cerkwi w rodzaju Tichona (Gieorgija Szewkunowa, spowiednika Putina i metropolity pskowskiego), intelektualistów, pisarzy… Chociażby tych związanych z Klubem Izborskim. Na jego czele stoi Aleksander Prochanow. Jego najważniejsza książka ukazała się pod tytułem „Operacja Heksogen". To powieść, która sięga do czasów jelcynowskich. Przejmująco przedstawia piękno ówczesnej Moskwy, ale też jej skorumpowane elity kremlowskie, całą zgniliznę elit, bezczelność tych „czarnych" z Kaukazu deprawujących rosyjskie dziewczęta, wojnę w Dagestanie… Na tym tle pojawia się grupa oficerów KGB i GRU, często emerytowanych, ale ciągle wpływowych (główny bohater jest takim właśnie byłym agentem i kolekcjonerem motyli). I oni – niewidoczni, pracujący za kulisami – znajdują kogoś, kogo nazywają wybrańcem. Ten nowy mesjasz – milczący i niepozorny – to jest Putin oczywiście… Takie tam są klimaty. To jest granie na odwiecznie wyćwiczonym instrumentarium moskiewskim, które tworzone jest z rozmaitych dziwacznych tkanek. Z euroazjatyckiej, carskosławnej koncepcji imperium. Z wpisanej w to wizji Cerkwi. Z dzikiego wprost antyliberalizmu. Z idei „zbierania ziem ruskich". Z poczucia swojej zbawczej roli. Z przekonań o swoim samotnym i cierpiętniczym wybraniu, które sprawia, że – aby pójść za słowami cara Aleksandra III – Rosja ma tylko dwóch sojuszników: armię i flotę.

Chwała „mazepińcom" i „chachłom"

Zaskoczył pana opór Ukrainy?

– Trochę tak… Nie zaskoczył mnie w sensie moralnym czy mentalnym. Ale zaskoczyło mnie to, że Ukraińcy przygotowali się jednak do tej wojny w znaczeniu strategicznym i taktycznym. Rosja jest w końcu ponad 28 razy większa od Ukrainy pod względem terytorialnym i trzy i pół razy pod względem ludnościowym. Ma niebywałe zasoby surowców i ogromne pieniądze. I okazało się oto, że oni wyciągnęli jednak wnioski z tej swojej samotności (myślę o paskudnej, kunktatorskiej i cynicznej postawie Zachodu) i ze swoich klęsk w 2014 r. I z tego, co działo się w Aleppo czy przede wszystkim

eprasa.pl cf59a59924

Fascynacja Zachodu Moskwą jest jeszcze z czasów Iwana Groźnego. Jan Matejko, Batory pod Pskowem.

w Groznym, podczas pierwszej wojny czeczeńskiej. A do tego doszedł niebywały heroizm całego narodu, jego zryw powszechny i dramatyczny. No i nieoczekiwane zdolności przywódców. Dlatego jest ta wściekłość apokaliptyczna Moskwy, bo ta zbudowała sobie wizję Ukraińca jako śmiesznego, marnego „chachła", „mazepińca" zdradzieckiego. Małorusa, który jest takim gorszym Rosjaninem. Tymczasem „mazepińcy" i „chachły", pogardzani, stygmatyzowani, łoją „drugą armię świata" ile wlezie. To jest zresztą iluzja, ta armia wcale nie jest arcypotężna. Ona fantastycznie wygląda na paradach, zwłaszcza 9 maja, które są symbolicznym spektaklem, kondensacją imperializmu i jego buty, mistycznego zjednoczenia elity i ludu w imperialnym, mocno sakralnym rytuale.

Wokół czego skupiają się Ukraińcy? Czy mają własny mit, własną ideę?

– Tak naprawdę wojna buduje ów mit. Zwłaszcza jej pierwsza faza przypomniała mi określenie funkcjonujące w tzw. tradycjonalizmie integralnym po I wojnie, że wojna jest wydarzeniem „mitopoetyckim", heroicznym na sposób mitycznych i epickich zapasów. Doszło do tego bezwzględne, szaleńczo zimne okrucieństwo Putina i rozpasanie jego żołdaków, to, że oni wszyscy mają ręce ubrudzone ukraińską krwią w sposób straszny i nie czują z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Ale krew tak rozlana jest na swój sposób niczym płyn sakralny, święty, który stanowi niestety siłę napędową dziejów i procesu wielkiej historycznej przemiany.

Każdy trzeźwo patrzący widzi, że to nie państwo, tylko zwykli ludzie, organizacje pozarządowe, samorządy biegną ku tej Ukrainie z pomocą.

Myślałem, że tradycja zgromadzeń kozackich, Rady Kozackiej, wybór atamana, ten demokratyczny epizod, odróżnia Ukraińców od autorytarnej Moskwy.

– Okazało się, że oni są całkiem inni. Że zbudowali – wprawdzie skorumpowane, ale nie tak mocno jak Rosja – państwo i społeczeństwo demokratyczne. A jeśli się odnowił w nich jakiś mit, to chyba mit Rusi Kijowskiej. Nim dopadli ją Mongołowie i zniszczyli Kijów tej strasznej zimy 1240 r., była ona przecież krajem cywilizowanym i bogatym, mającym poczucie jedności z Zachodem. Przez Polskę, przez Węgry, przez mariaże ruskich księżniczek, przez powiązania z polityką niemieckich Ottonów, handel i kulturę duchową czy artystyczną… Wiadomo, była schizma wschodnia, papież i patriarcha Konstantynopola obrzucili się klątwami, ale Ruś Kijowska przechodziła nad tym jakby do porządku dziennego. I nie rezygnowała z więzi z Zachodem. Kijów to była – wedle miar średniowiecznych – metropolia. Zamożne, wspaniałe miasto. Patrzące i na Zachód, i na Wschód, ku Europie z jej instytucjami i Azji z jej bogactwami.

I teraz to się odradzało?

– Tworzyła się oto Ukraina, kraj, który został tak naprawdę sklejony

FOT. DOMENA PUBLICZNA, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cf59a59924

z rozmaitych krain, z rozmaitych doświadczeń historycznych. Ta propozycja, którą ponoć Putin złożył Tuskowi, żeby dokonać podziału Ukrainy – w tym wszystkim kryło się przekonanie, że w tej mozaice nie ma nic, co byłoby ukraińskie. Otóż – jest!

Teraz więc tworzy się Ukraina?

– Z rozmaitych części, z mentalności mocno od siebie odległych. Wiele oczywiście zależy od tego, czy Ukraińcy obronią się przed Moskalami, raszystami, należałoby powiedzieć.

Dlaczego raszystami?

– To, co się dzieje w Rosji, to ujawnienie się czystego nazizmu. Rosji się przydarzyło coś, przed czym przestrzegał Fryderyk Nietzsche, mówiąc, że kto nazbyt długo wpatruje się w oczy bestii, sam może stać się bestią. Mit wojny ojczyźnianej, narodu potwornie cierpiącego – co zresztą jest też prawdą – pod hitlerowskim biczem, triumf wojny z Niemcami, później te rytuały, które to kultywują, to wszystko spowodowało, że w wyniku patrzenia w oczy bestii Rosja stała się identyczną bestią.

Dziedzictwo Rzeczypospolitej wielu narodów

A jak na to patrzą Polacy? Gdy Rosjanie szturmują ukraińskie miasta, widzimy okopy Woli i redutę Ordona?

– Raczej rzeź Pragi z 1794 r. Jest o tej rzezi wspomnienie w I, inicjalnej księdze „Pana Tadeusza", gdzie Jasiński i Korsak „Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali, / Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali". I – zwłaszcza – w koncercie Jankiela z księgi XII.

„Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały, / Jęk dzieci, płacze matek. – Tak mistrz doskonały / Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały, / Przypominając sobie ze łzami boleści / Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści".

– Tego typu ikony przemocy się pojawiają. Ale pojawia się także poczucie jedności, siostrzaności. Sienkiewicz, kończąc „Ogniem i mieczem", pisał o tym, że krew pobratymcza rozdzieliła narody. To było zawinione zarówno przez Rzeczpospolitą, głównie zresztą przez spolszczone królewięta ruskiego chowu, które miały w tym interes (szlachty w głębi Korony to raczej nie interesowało, było zbyt odległe), jak i przez część kozaczyzny, która odrzuciła umowę hadziacką. Już w niej przecież pojawiły się pojęcie Rzeczypospolitej Trojga Narodów i koncepcja Księstwa Ruskiego. Krótko to wprawdzie istniało, ale mam wrażenie, że wróciło właśnie ponad nacjonalistycznymi rojeniami obu i mimo tej krwi pobratymczej. I że dziedzictwo Rzeczypospolitej wielu narodów, przemienione oczywiście, okazało się dużo silniejsze, niż moglibyśmy podejrzewać. A jeśli Polacy kierują się jakimś mitem w tej sprawie, to tym właśnie. Naturalnie za tym wszystkim jest też lęk, że ruskie tanki staną na polskiej granicy.

I wtedy zwrócimy się o pomoc do Zachodu? Wszyscy mówimy, że musi być jedność, a z drugiej strony, jak obserwuję prawicę, to ona jest bardzo wobec Zachodu nieufna.

– Tak, prawicowcy usiłują mimo wszystko grać w swoją starą grę. Tymczasem wojna, co do której mieli nadzieję, że stanie się kolejnym „złotem" w ich rękach, nie okazała się takim „złotem". Każdy trzeźwo patrzący widzi, że to nie państwo, tylko zwykli ludzie, organizacje pozarządowe, samorządy biegną ku tej Ukrainie z pomocą. Poza tym stanie po stronie Rosji byłoby przyjęte w Polsce jako zdrada narodowa, więc oni na to nie mogą się zdobyć. Musieli zadeklarować wolę polityczną jedności z Europą. Ale nie mogą się uwolnić od tych swoich chorych ciągotek, od tego antyunijnego balastu i antyniemieckich bredni, ciągle w to brną. Jest też zbudowany przez nich, przez prawie siedem lat, zdeprawowany, półautorytarny, antydemokratyczny system, do którego przyrośli, który ich syci. A już nie da się wykrzesać z tego żadnych nowych aktywów. Nie widać bowiem, żeby wojna dała nowy impet tej formacji – wręcz przeciwnie, ta formacja sobie nie radzi. Jest pogubiona, gdyż nie może być z oczywistych względów otwarcie prorosyjska jak Orbán.

A ciągnie ją w tamtą stronę?

– Mentalnie jest ona putinowska, w dążeniach, pragnieniach, wyobrażeniach i resentymentach jest podobnie autorytarna. I podobne rozwiązania przyjmuje. Zwłaszcza to najskrajniejsze skrzydło niejakiego pana Ziobry. I jak teraz pogodzić tę wyświechtaną, idiotyczną mentalność, to przyrośnięcie do może nie złotego, ale pozłacanego tronu, z koniecznością dania odporu Rosji? Stanięcia w jednym szeregu z tą niecną Unią, z tą pogardzaną Ameryką Bidena?

W którą zatem stronę pchnie Polaków to doświadczenie wojny za miedzą?

– Myślę, że jednak przymusi tych, którzy mieli wątpliwości, do jedności z Zachodem. Polacy widzą teraz dokładnie, brutalnie, co oznacza Wschód. To zostało im przypomniane w sposób potworny, apokaliptyczny, złowieszczy.

Rządzący nie mogą się uwolnić od antyunijnego balastu i antyniemieckich bredni. Zbudowali system zdeprawowany, półautorytarny, antydemokratyczny, który ich syci.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Panie premierze, mamy pytania

Chęć rozwiązywania problemów liczy się dzisiaj jak mało kiedy

Andrzej Radzikowski

Prawie dwa lata temu Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych przedstawiło premierowi Morawieckiemu 21 postulatów, które ilustrują najważniejsze oczekiwania pracowników wszystkich branż i grup zawodowych. Niestety, wiele nadal jest aktualnych. Polskim pracownikom i pracownicom żyje się coraz gorzej – rosną koszty utrzymania, zwiększa się liczba biednych pracujących.

Rząd odniósł się do naszych propozycji. W obszernej odpowiedzi znalazły się też zobowiązania, które dawały nadzieję na poprawę sytuacji pracowników. Wiele zapowiadanych rozwiązań znalazło się w Polskim Ładzie. Część stanowiła postulaty programowe OPZZ, m.in. wyższa kwota wolna od podatku w wysokości 30 tys. zł oraz podniesienie drugiego progu podatkowego do 120 tys. zł. To pozwoli na wzrost najniższych płac i emerytur. Jednak to realizacja tylko jednego z postulatów OPZZ. Polski Ład w wielu obszarach okazał się niedopracowany, niespójny i zbyt pośpiesznie wdrożony. Spowodowało to chaos i niepokój wśród pracowników. Dzisiaj obserwujemy próbę wprowadzenia nowych rozwiązań w tym projekcie. Wprawdzie proponuje się zachować popierane przez nas rozwiązania i dodatkowo obniżyć stawkę podatku PIT do 12%, ale można też dostrzec, że rząd w większym stopniu zmniejsza obciążenia podatkowe osobom o wysokich dochodach, tylko nieznacznie obniżając podatki najbiedniejszym. To sprawia, że musimy przypomnieć o naszych 21 postulatach i jeszcze bardziej nalegać, by były realizowane.

Występując do premiera Morawieckiego dwa lata temu, mieliśmy świadomość, że priorytetowym zadaniem rządu była walka z koronawirusem. Wskazywaliśmy jednak, że trzeba myśleć o pocovidowej rzeczywistości. I kiedy z nadzieją obserwowaliśmy pierwsze, nieśmiałe sygnały wygaszania pandemii, prezydent Federacji Rosyjskiej postanowił rozpętać wojnę z Ukrainą. Bez względu na rozstrzygnięcie tego konfliktu wrogość między ofiarami napaści a agresorem pozostanie na długie lata. Świat już nie będzie taki sam. Dzisiaj podstawowym postulatem Polek i Polaków jest życie w pokoju. W Polsce, w Ukrainie i całym świecie chcemy pracować, doskonalić umiejętności, mieć godziwy udział w dochodach z naszej pracy i korzystać z zasłużonego wypoczynku! Chcemy również być pewni, że w sytuacji nieuchronnych zmian polityczno-gospodarczych na świecie rząd zapewni bezpieczeństwo.

Dlatego pytamy:

• Czy konieczność zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Polski poprzez energetykę konwencjonalną będzie realizowana w oparciu o krajowe zasoby surowcowe, czy też importowane? Czy będą utrzymane miejsca pracy w sektorze energetycznym?

• Czy radykalne zwiększenie nakładów na obronność pozwoli utrzymać dotychczasowe i stworzyć nowe miejsca pracy dla pracowników przemysłu?

• Jak chronić migrujących pracowników przed wyzyskiem, a polskich pracowników przed dumpingiem socjalnym?

• Czy podział polskich przedsiębiorstw transportowych będzie kontynuowany, a ich pracownicy zmuszani do pracy na umowach śmieciowych?

• Czy Polki i Polacy doczekają się dostępnej opieki zdrowotnej na każdym etapie życia, aby mogli żyć w zdrowiu po przejściu na emeryturę?

• Czy nastąpi oczekiwany przez pracowników sfery budżetowej systemowy wzrost wynagrodzeń?

• Kiedy pracownicy doczekają się emerytur stażowych nagradzających ich długoletni trud pracy?

• Czy reforma edukacji będzie inwestycją we wszechstronną wiedzę, samodzielność myślenia i kreatywność młodych Polek i Polaków?

• Czy nauczyciele i setki tysięcy pracowników sektora finansów publicznych będą w końcu wynagradzani adekwatnie do swoich kwalifikacji i znaczenia ich pracy?

• Czy koszty wychodzenia z kryzysu spowodowanego pandemią COVID-19 i rosnące ceny będą skutkować ograniczeniem działalności kulturalnej i redukcją miejsc pracy w publicznych instytucjach kultury?

Pytań jest znacznie więcej, a rzeczywistość nie napawa optymizmem. Mimo napiętej sytuacji międzynarodowej nie zapominamy o wewnętrznych źródłach kryzysu społeczno-gospodarczego w Polsce. Nasza inflacja jest o ponad 3% większa od średniej w Unii Europejskiej. Pamiętamy obietnice rządzących, nieprzemyślane decyzje. Dlatego nieustannie walczymy o utrzymanie miejsc pracy. Kryzysy miną i trzeba będzie przywrócić normalność w naszym kraju. By tak się stało, rząd musi mieć wolę prowadzenia systematycznych, merytorycznych i partnerskich, a więc uczciwych rozmów ze stroną społeczną. W tym kontekście postulujemy zwiększenie kompetencji Rady Dialogu Społecznego oraz strony pracowników i pracodawców. Chęć rozwiązywania problemów liczy się dzisiaj jak mało kiedy. Mamy wystarczający potencjał intelektualny i materialny, aby żyć, uczyć się i pracować w pokoju, a na zasłużony odpoczynek przechodzić w zdrowiu i dobrobycie.

Z tym przekonaniem 1 maja będziemy świętować Międzynarodowy Dzień Solidarności Ludzi Pracy.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, od 2 listopada 2021 r. przewodniczącym Rady Dialogu Społecznego

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cf59a59924

SZTUCZNY UŚMIECH SPRZEDAWCY

Coraz więcej firm tworzy w internecie profile nieistniejących pracowników. Po co?

Mateusz Mazzini

Stwierdzenie, że media społecznościowe pełne są kont nieodpowiadających prawdziwym osobom, to już dziś truizm. Do istnienia trolli, botów i sztucznych profili, zakładanych głównie w celach propagandowych, zdążyli już się przyzwyczaić wszyscy. Do tego stopnia, że w niektórych zakątkach internetu trudno natrafić na użytkownika, który zachowywałby chociaż pozory realności. Sieć stała się polem bitwy, miejscem prowadzenia kampanii, starć o umysły i dusze mas już wiele lat temu. I nie potrzeba było do tego wielkich okularów, nowych rzeczywistości, metaversum czy innych pojęć rodem z fantastyki naukowej.

Świat korporacyjny miał jednak się bronić przed tym fałszowaniem. Treść i merytoryka były wartościami docelowo odróżniającymi masowe media społecznościowe od portalu LinkedIn. Dla czytelników niezaznajomionych – to platforma będąca w praktyce skrzyżowaniem Facebooka z internetowym biurem pośrednictwa pracy. Służy do eksponowania wirtualnego CV, nawiązywania kontaktów biznesowych i budowania powiązań, niekoniecznie z osobami, które w ogóle zna się w świecie realnym. Tyle teorii. Na przestrzeni lat LinkedIn zmienił charakter. Zalała go fala coachingowych złotych myśli, cytatów w stylu Paula Coelha oraz narzekań na ogólną sytuację na rynku pracy, niezależnie od tego, o jaki rynek akurat chodzi, polski czy amerykański. Co najważniejsze jednak, z czasem i tutaj pojawiła się największa plaga internetu, czyli profile nieistniejących osób.

Na pierwszy rzut oka czytelnik może stwierdzić, że tworzenie takich kont nie ma większego sensu. Na Facebooku – owszem, tam często liczy się masa krytyczna, tworząca kulę śnieżną kolportującą propagandę albo zaogniającą już istniejące konflikty społeczne. Poza tym Facebook nie wymaga od użytkowników praktycznie żadnych szczegółów z życia prywatnego ani zawodowego. Wiele osób korzystających z portalu nigdy nic na nim nie opublikowało, ale nie znaczy to, że są trollami czy siewcami kłamstw. LinkedIn działa na odwrotnej zasadzie. Tu treść jest fundamentalna, każdy użytkownik poleruje ją i cyzeluje. Ponadto przy publikacji naszej historii zatrudnienia kłamstwo jest posunięciem raczej ryzykownym. W internecie łatwo te informacje sprawdzić, wyszukać kogoś, kto studiował lub pracował w tym samym miejscu i czasie, potwierdzić prawdziwość danych. Mimo to LinkedIn pełen jest, no właśnie, kogo? Trolli? Podobnych do facebookowych agentów propagandy? Nieistniejących studentów, absolwentów, pracowników? Czy po prostu kreatywnych marketingowców zwiększających swoje zasięgi?

Renée DiResta i Josh Goldstein, badacze propagandy, fake newsów i technik manipulacji z Obserwatorium Internetowego przy Uniwersytecie Stanforda, opublikowali niedawno wyniki pierwszego śledztwa dotyczącego sztucznych kont na profilach branżowych. Na LinkedIn doszukali się takich ponad tysiąc. Ich ogólna charakterystyka była bardzo spójna, a przede wszystkim wiarygodna. Zdecydowana większość nieistniejących pracowników miała bardzo rozbudowaną historię zatrudnienia i wpisane co najmniej dwie ukończone placówki edukacyjne. Kłamstwo było więc całkowite, życiorys – tyleż kompletny, co kompletnie zmyślony. Uczelnia? Dobra, ale nie ta najbardziej prestiżowa, żeby nie rzucać się specjalnie w oczy. Wiele uniwersytetów w Stanach to placówki gigantyczne, nietrudno przyjąć, że kogoś się przeoczyło, nawet jeśli dana osoba ma wpisane te same lata studiów co my. Zatrudnienie? Wymyślane według tego samego klucza. Korporacje – z jednej strony rozpoznawalne, z drugiej na

eprasa.pl cf59a59924

tyle wielkie, że można było ukryć się w tłumie. Do tego zdjęcie profilowe utrzymane w typowej „profesjonalnej" estetyce. Szeroki uśmiech, lekki i nienachalny makijaż, garnitur lub biała bluzka, niewyraźne tło. Słowem, życiorys tysięcy prawdziwych ludzi. Nie ma zatem przeszkód, by stał się również życiorysem kilku fałszywych.

DiResta na trop sztucznych pracowników natrafiła przypadkiem. A właściwie dlatego, że stała się ich celem. Na LinkedIn dość powszechnym zjawiskiem jest bowiem otrzymywanie wiadomości o charakterze czysto transakcyjnym. To w końcu platforma zawodowa, w ciemno kontaktują się przez nią rekruterzy, sprzedawcy, marketingowcy. Niektóre firmy robią to za pośrednictwem samego serwisu, który takie wiadomości oznacza etykietką „od LinkedIn". Inne szukają potencjalnych klientów na własną rękę. I tak dotarły do DiResty. Badaczka otrzymała na prywatną skrzynkę zaproszenie do przetestowania pewnego produktu cyfrowego. Oferta była stricte marketingowa, choć wysłano ją nie z konta firmowego, ale konkretnej osoby. Jak podkreślała DiResta w rozmowie z radiem NPR, gdyby nie jej zainteresowania naukowe, wiadomość po prostu by skasowała. Od razu jednak zwróciła uwagę na wspomniane już cechy – tak generyczne, że mogłyby pasować do dosłownie każdego. W tym – do nikogo.

Profile takie jak ten, formalnie należący do osoby o nazwisku Keenan Ramsey, tworzone są przez algorytm. A ściślej, przez technologię znaną jako GAN, *generative adversarial network*. To rodzaj uczenia maszynowego pozwalający m.in. na tworzenie obrazów za pomocą opisów słownych, postarzanie twarzy oraz modyfikowanie już istniejących zdjęć pod konkretne potrzeby. Tak właśnie została stworzona twarz Ramseya i tysięcy innych nieistniejących pracowników. Żeby nie narazić się na pozwy o naruszenie dóbr osobistych, firmy używają technologii na bazie sztucznej inteligencji, kreując nowe wizerunki. Natomiast wszystko inne jest jak najbardziej realne. Istnieje przecież uczelnia, na której ta postać miała studiować, tak samo jej miejsca pracy. Przede wszystkim jednak istnieje produkt, który reklamuje taki pracownik.

Zasadniczo bowiem konta te tworzone są niemal wyłącznie w celach marketingowych. Co więcej, nie jest to praktyka niszowa, tylko powszechna. DiResta i Goldstein rozłożyli na czynniki pierwsze komputerowo wygenerowane twarze botów i zauważyli, że przede wszystkim mają one wzbudzać zaufanie. Wykorzystywać założenie, że w mediach społecznościowych, jeśli już ktoś pisze do nas bezpośrednio, zawsze musi to być prawdziwa osoba, za którą stoją prawdziwe intencje. Tyle że algorytmy są wciąż niedoskonałe, zwłaszcza te funkcjonujące na mniejszą skalę, karmione mniejszą ilością danych. Czasem więc osoba na zdjęciu ma niepasujące uszy lub włosy, niedobraną biżuterię. Chropawy bywa też ich język w komunikacji, chociaż to widać coraz rzadziej, programy oparte na sztucznej inteligencji wysławiają się dziś tak samo elokwentnie jak felietoniści czy pisarze. Nie ma zatem powodu nie zakładać, że osoba taka naprawdę istnieje.

Sztuczne konta tworzone są niemal wyłącznie w celach marketingowych. I nie jest to praktyka niszowa.

Z badań Uniwersytetu Stanforda i późniejszego śledztwa dziennikarskiego NPR wynika, że na amerykańskim rynku istnieją firmy, które z marketingu za pomocą sztucznych profili zrobiły wręcz swój model biznesowy. Bez wątpienia jest to opłacalne, bo licencjonowany dostęp do algorytmów i technologii na bazie sztucznej inteligencji kosztuje mniej niż zatrudnienie realnej osoby, która wyszukiwałaby potencjalnych klientów i własnoręcznie pisała do nich wiadomości. I teraz postawić trzeba tak naprawdę najważniejsze w tym tekście pytanie. Czy w używaniu zmyślonych tożsamości do tworzenia zasięgów i werbowania klientów na pewno jest coś złego?

Z jednej strony – oczywiście, że tak. W końcu to jawne kłamstwo, legitymizowane prestiżowymi markami i logotypami. Z drugiej, DiResta i Goldstein podkreślają, że model biznesowy oparty na fejkach zawiera też realne osoby. Jeśli ktoś odpowie na wiadomość od bota, skontaktuje się z nim najczęściej już prawdziwy pracownik, który pociągnie temat. Nieistniejący sprzedawcy to jedynie przynęta, która ma nas zaprowadzić do autentycznego menedżera. Włos na czworo dzielić można w nieskończoność.

Krytycy powiedzą, że bez budzącej zaufanie twarzy klient nigdy by na produkt nie spojrzał, zwolennicy – że cały internet i tak jest pełen fejków, na które z ochotą odpowiadamy. Wystarczy spojrzeć na rejestr połączeń przychodzących w telefonie. Według agencji monitorowania rynku Truecaller aż 60% połączeń wykonanych w USA w 2021 r. zostało wygenerowanych przez automat. Nie każde takie połączenie odrzucamy, podobnie zresztą z wiadomościami wysyłanymi na skrzynki mejlowe. Większość to spam, część okazuje się przydatna.

Licencjonowany dostęp do algorytmów i technologii na bazie sztucznej inteligencji kosztuje mniej niż zatrudnienie realnej osoby.

Jeśli więc żyjemy już wszyscy w rzeczywistości, w której fałsz i realność nie są przeciwstawnymi pojęciami, ale raczej uzupełniającymi się, trudno się bulwersować z powodu istnienia zmyślonych tożsamości na portalu, który teoretycznie miał promować rzetelność i autentyczność. Koniec końców to nie one podejmują za nas jakiekolwiek wiążące decyzje. Istniejąc w jakikolwiek sposób w internecie, niejako godzimy się na pewien stopień iluzji. A to, jak wiele jesteśmy w stanie jej tolerować, już chyba zawsze pozostanie kwestią indywidualną.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cf59a59924

Rozmawia Kuba Armata

„Dziennik Anne Frank" to owoc pracy geniusza

Obecne pokolenia młodych są dużo mądrzejsze, niż myślimy

ARI FOLMAN
– reżyser filmu „Gdzie jest Anne Frank"

W 2009 r. „Dziennik Anne Frank", jedno z najważniejszych świadectw Holokaustu, wpisany został przez UNESCO na listę najbardziej wartościowych dokumentów świata. Tymczasem wciąż słychać głosy negujące Holokaust, na całym świecie rośnie w siłę radykalna prawica. Czy właśnie dlatego pamięć o tej historii jest tak ważna?

– Szczerze mówiąc, to temat, nad którym nie chciałbym specjalnie się rozwodzić. Z bardzo prostego powodu. Trudno w ogóle komentować to, że ktokolwiek może wpaść na pomysł negowania Holokaustu. To kompletny idiotyzm. Uważam, że już samo udzielenie głosu grupie prawicowych świrów otwiera dyskusję i daje im pole do „popisu". Nie możemy tego robić, bo wtedy w pewnym sensie to legitymizujemy. Przypomina mi to sytuację z Donaldem Trumpem, który jako prezydent Stanów Zjednoczonych bez poczucia jakiejkolwiek żenady publicznie opowiadał mnóstwo bzdur i szkodliwych rzeczy. W pewnym momencie Amerykanie doszli jednak do wniosku, że miarka się przebrała i więcej tego nie wytrzymają. Dokonali innego wyboru. Wiele prawdy jest w stwierdzeniu, że jeśli damy głos ludziom reprezentującym radykalne, najczęściej głupie poglądy, stworzy się pole do dyskusji, dywagacji, sporów. Dlatego wolę o tym w ogóle nie mówić. Podkreślę to z całą mocą: negowanie Holokaustu jest tak głupie, że nie warto nawet nad tym się pochylać.

Pana film nie jest typową adaptacją, wpleciony wątek kryzysu uchodźczego sprawia, że to pewien rodzaj pomostu między przeszłością a teraźniejszością. Nie wyciągamy lekcji z historii i wciąż popełniamy te same błędy?

– To była najważniejsza idea stojąca za tym filmem. Literacki „Dziennik Anne Frank" jest ponadczasowym symbolem wolności, dlatego właśnie wątek uchodźczy wydaje mi się w tym filmie odpowiedni. Zresztą wystarczy spojrzeć na dziedzictwo tytułowej bohaterki. Pomijam już wszelkie instytucje, które nazywane są jej imieniem, ale trzeba pamiętać, co działo się z samym tekstem. Nie zostałby on wydany, gdyby nie jej ojciec, Otto Frank. Mężczyzna, który po wojnie wiódł bardzo pokorne, spokojne życie. Pieniądze, które uzyskano ze sprzedaży kilkudziesięciu milionów egzemplarzy, zawsze wspierały dzieci będące ofiarami wojny. Trafiały do UNICEF czy innych organizacji pomagających najmłodszym, którzy przebywali na terenach objętych konfliktem zbrojnym. Bo kiedy pomyśli się o wojnie, bez względu na to, jakie są jej przyczyny – polityczne czy religijne – właśnie dzieci zawsze są jej największymi ofiarami. One przecież nie wybierały miejsca, w którym się urodziły.

Jedną z takich instytucji, ważną w kontekście tego filmu, jest Fundacja Anne Frank, którą Otto Frank założył pod koniec lat 50. XX w.

– Fundacja zgłosiła się do mnie z propozycją zrealizowania animowanej adaptacji tej historii, która byłaby przeznaczona dla dzieci. Od tego wszystko się zaczęło. Czułem jednak, że nie chcę po raz kolejny opowiadać o tym w klasyczny sposób. Szukałem jakiegoś klucza, wytrychu, innych wymiarów, płynących z losów Anne Frank. W jej pamiętniku trafiłem na opis stworzenia Kitty, wyimaginowanej przyjaciółki, do której Anne kierowała swoje wpisy. Stopniowo docierało do mnie, że to ona może być główną bohaterką filmu. Zależało

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, GUTEK FILM

eprasa.pl cf59a59924

mi na postaci, która dobrze odda alter ego Anne. Kogoś, kim pewnie byłaby, gdyby nie pozostawała w uwięzieniu.

Od początku myślał pan o tym filmie jako o projekcie dla dzieci?

– Nawet nie tyle dla dzieci, ile dla dziesięcioletniego dziecka. Uważam, że zwłaszcza obecne pokolenia młodych są dużo mądrzejsze, niż myślimy. Jednocześnie niełatwo im się skoncentrować, bo wokół siebie mają mnóstwo rozpraszaczy. Zdecydowanie trudniej im dziś przeczytać grubą, przeszło 300-stronicową książkę. A szkoda, bo uważam, że „Dziennik Anne Frank" to owoc pracy geniusza. Pod względem artystycznym, literackim to arcydzieło o głębokim humanistycznym wymiarze. Dziecku zdecydowanie łatwiej dzisiaj przyswoić powieść graficzną, dlatego wraz z Davidem Polonskym na nią przełożyliśmy historię Anne Frank. Jeśli po tej lekturze będzie zaintrygowane do tego stopnia, że sięgnie po oryginalną książkę, będę miał poczucie dobrze wypełnionej misji.

Czy to duże wyzwanie zrobić film dla dziesięcioletniego dziecka, podejmujący jednak w pewnym stopniu temat Holokaustu?

– To był w ogóle pierwszy raz, kiedy myślałem o swojej publiczności. Będę z panem szczery, zazwyczaj na etapie pracy nad filmem specjalnie się nią nie przejmuję. Jako reżyser arthouse'owy robię zwykle wszystko po swojemu, i tyle. Tym razem było zupełnie inaczej. Zastanawiałem się dosłownie nad każdym ruchem bohaterów i tym, jak to odbierze młoda publiczność. Męczyłem też długo moje dzieci, bo ciekawy byłem ich zdania i zależało mi na ich opinii.

Gdzie jest Anne Frank

One były naprawdę zaangażowane w ten projekt i krytycznie podchodziły do mojej pracy. Gdy coś im się nie podobało bądź uznawały jakiś dialog młodych bohaterów za mało wiarygodny, mówiły o tym wprost. Czasami toczyliśmy srogie boje, ale sporo w filmie pozmieniałem właśnie z uwagi na moje dzieci.

To także ważna, osobista historia dla pana. Dlaczego?

– Moi rodzice przetrwali Holokaust. Pobrali się w getcie łódzkim, kiedy mieli po 19 lat. Zaledwie 12 godzin po tym, jak zawarli związek małżeński, getto zostało zlikwidowane, a rodzice podobnie jak wiele innych osób trafili do Auschwitz. Udało im się jednak przetrwać ten horror. Matka przeżyła marsze śmierci, z kolei ojciec został uwolniony pod koniec wojny przez amerykańskich żołnierzy z jednego z obozów na terenie Niemiec. Podczas dokumentowania historii Anne Frank stało się jasne, że jej rodzina została deportowana w ostatnim transporcie Żydów z okupowanej Holandii. Trafiła z obozu przejściowego w Westerbork do Auschwitz 5 września 1944 r. Zdałem sobie sprawę, że musiało to być mniej więcej w tym czasie, gdy trafili tam moi rodzice. Może to była różnica kilku dni. Być może nie jest to jakaś kluczowa informacja dla samej historii czy filmu, ale przynajmniej z mojego punktu widzenia było to interesujące.

Ciekawy jest sposób, w jaki portretuje pan w filmie nazistów, jako ludzi bez twarzy, pozbawiając ich indywidualnych cech. Dlaczego?

– Miałem z tym spory problem, bo nie mogłem znaleźć sposobu, jak mam ich przedstawić. Wszystko wydawało mi się sztuczne. Toczyliśmy zresztą w naszym zespole wiele dyskusji na ten temat. Uznałem, że przed podjęciem jakichkolwiek ostatecznych decyzji muszę się spotkać i porozmawiać z matką. Zapytałem ją wprost, jak oni, więźniowie, podczas pobytu w obozie postrzegali nazistów. Opisała mi to tylko jednym zdaniem: „Oni byli jak bogowie". Byli potężni, znakomicie ubrani, mieli idealne proporcje. Byli nadludźmi, przy których więźniowie absolutnie nic nie znaczyli. Przekonywała, że zawsze patrzyli na nich z dołu. To jednak radykalnie się zmieniło.

Kiedy?

– Po wojnie moja matka uważnie śledziła procesy norymberskie. Nagle w gazetach zobaczyła zdjęcia ludzi, których znała z obozów. Była w szoku, bo wyglądali zupełnie inaczej. Na przykład Irma Grese, która uchodziła za zastępczynię Josefa Mengelego. To była w ogóle najmłodsza osoba w historii sądzona za zbrodnie

Jeśli damy głos ludziom reprezentującym radykalne poglądy, stworzy się pole do dyskusji, dywagacji i sporów.

Ari Folman – izraelski reżyser i scenarzysta filmowy. Jego rodzice pochodzą z Polski. Uznanie przyniósł mu „Walc z Baszirem", nagrodzony Złotym Globem i nominowany do Oscara. Głośno było też o „Kongresie", opartym na motywach opowiadania Stanisława Lema.

eprasa.pl cf59a59924

przeciwko ludzkości. Mówiono o niej w obozie „biały anioł". Była ponoć piękna, z długimi blond włosami i nienaganną aparycją. Kiedy matka zobaczyła jej zdjęcie w gazecie, nie mogła się nadziwić, jak nieatrakcyjną kobietą w rzeczywistości się okazała. Miała nieładne rysy, podobnie jak proporcje. Matka nie mogła wyjść z szoku, jak w ogóle wcześniej mogła tego nie dostrzec. Pomyślałem, że ten paradoks w postrzeganiu zbrodniarzy wojennych przez ich ofiary może być interesującym pomysłem na pokazanie nazistów. Nie chcieliśmy nadawać tym osobom ludzkich przymiotów. I wcale nie uważam, że nie jest to ważne, ale z drugiej strony to film dla dzieci, a one muszą postrzegać to w określony sposób. Zło pozostaje złem, a wszelkie jego zawiłości i nieoczywistości mogą poznać później.

Wspomniał pan o dziedzictwie Anne Frank. Kim ona jest dla nas dzisiaj?

– Opowiem panu o tym, dlaczego zdecydowałem się dokonać zmiany w ostatnim akcie filmu na wątek uchodźczy. Podczas procesu dokumentacji trafiłem na historię z lat 90. i oblężonego Sarajewa. Była tam dziewczynka, która sama siebie nazywała bośniacką Anne Frank. To były pierwsze dni funkcjonowania internetu i ona codziennie wrzucała do sieci krótką notatkę, będącą świadectwem jej życia i doświadczeń podczas oblężenia. Pewnego dnia na obrzeżach miasta wylądował helikopter i została przez Francuzów przetransportowana najpierw na lotnisko, a później do paryskiego studia. Przeprowadzono z tą dziewczynką wywiad, pytając ją, co dalej z nią się stanie, jaki los ją czeka. Ona odpowiedziała, że podobnie jak Anne Frank prawdopodobnie umrze. Podziękowano jej i… odstawiono ją z powrotem do oblężonego miasta. Rozumie pan? W sam środek wojny! Kiedy przeczytałem tę historię, poczułem, że to jak reality show: „Kto jest kolejną Anne Frank". Przywozi się tych ludzi ze strefy wojny, pozwala opowiedzieć swoją dramatyczną historię, a następnie odstawia do domu, by się przekonać, czy to naprawdę się wydarzy. Uznałem, że jeśli chcę opowiedzieć o dziedzictwie Anne Frank, ta historia nie może wieńczyć mojego filmu.

> Przywozi się ludzi ze strefy wojny, by opowiedzieli dramatyczną historię, i odstawia do domu, by zobaczyć, czy to się wydarzy.

Planuje pan nadal pracować w animacji, w której odnosi pan największe sukcesy?

– Przede wszystkim sam przed sobą muszę się przyznać, że jestem twórcą filmów animowanych. Czemu staram się zaprzeczać po zrobieniu trzech filmów na przestrzeni kilkunastu lat. W szufladzie mam jakiś projekt aktorski, nawet dwa. Choć ostatnimi czasy zawsze kończy się tak, że wracam do animacji.

Kuba Armata

eprasa.pl cf59a59924

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Choroby przewlekłe

Do niedawna byliśmy pewni, że PiS ujawniło w Polakach najgorsze cechy. Nastąpił upadek moralny. I sami siebie przestajemy lubić. Jak wiele w tej dziedzinie zależy jednak od okoliczności. Wojna w Ukrainie, powszechna i serdeczna pomoc uchodźcom unieważniły dawny krytyczny sąd. Zdumieni jesteśmy sami sobą – to nie jest z nami tak źle.

Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji, oświadczył: „Tempo i natychmiastowość, z jaką ruszyła fala rusofobii w UE, pokazuje, że uśpiony rasizm nigdy nie opuścił Europy. Tak jak Hitler poszczuł swoje społeczeństwo przeciw Żydom, tak teraz atakowani są Rosjanie". Wzruszające porównanie. Ale faktem jest wielka fala niechęci do Rosji i do Rosjan, ta niechęć, nawet nienawiść do wszystkich Rosjan. A to niesprawiedliwe. Ale sprawiedliwość niknie, gdy jest gniew, oburzenie połączone z bezradnością. W Polsce odwołuje się sztuki rosyjskich autorów. Moi bliscy znajomi, bardzo zdroworozsądkowi, mają jechać samochodem do Grecji, nadrobią poważnie drogi, bo nie chcą jechać przez Serbię, bo Serbia prorosyjska. Z kolei Rosja traktuje cały Zachód jako wroga, całą naszą cywilizację.

Nadal czytam „Listy z Rosji" markiza de Custine'a. W roku 1839 pisze: „Rosja spogląda na Europę jak na łup, który skutkiem naszych waśni prędzej czy później przypadnie jej w udziale. Podsyca u nas anarchię w nadziei, że zdoła ją wykorzystać do własnych celów".

•

Coraz częściej mówi się, że zaczynamy być zmęczeni ukraińskim dramatem. I że to nieuniknione po ponad 50 dniach. Ale nadal w rozmowach maniacko wracamy do tego tematu. Poprzednio takim natrętnym tematem było PiS z jego ekscesami. To zaraz wróci z pełną mocą, chociaż też mamy dosyć. Obie nasze obsesje są na długie lata, nikt nie zlikwiduje Kaczyńskiego ani Putina. To będą dwie ciężkie choroby przewlekłe, z którymi przyjdzie nam żyć. I o nich nieustannie myśleć i mówić.

Narracja PiS: Zachód jest winien inwazji Rosji na Ukrainę, bo nie zareagował na aneksję Krymu i nie słuchał prezydenta Kaczyńskiego. A jak Zachód, to Tusk. Tusk jako wróg PiS równy Rosji. Prezes wyjął z piwnicy zakurzoną już katastrofę smoleńską, głównie po to, by uderzyć w Tuska. Prezes gaworzył coś o odpowiedzialności karnej. W domyśle – Tuska. Bo Putin nie dałby rady podłożyć bomby do samolotu bez polskiej pomocy, czyli Tuska. Znowu nad Polską snuje się mgła nierzeczywistości.

•

W księgarni na Wiejskiej jakże często spotykam znajomych. To jest ten niewielki krąg ludzi, którzy kupują książki, w kraju, gdzie 3 tys. sprzedanych egzemplarzy uchodzi za dobry wynik. Tam spotykam nieznajomego, a jakoś znajomego Aleksandra Kwaśniewskiego. Nigdy się z nim nie witałem. Mówi, że czytał moje teksty w „Kulturze" i czyta w „Przeglądzie". Bardzo go lubię i cenię. A przecież kiedyś tak nie było. Ludzie zmieniają się mało, ale bardzo zmieniają się nasze opinie o ludziach. Kilka dni potem w tej samej księgarni spotykam Rafała Grupińskiego, ważny polityk PO, a przecież kiedyś był poetą – czy można być politykiem i poetą? Dlatego użyłem czasu przeszłego, może niesłusznie. Przed wieloma laty robiliśmy razem telewizyjnego „Pegaza". Prowadziłem ten program. To było ciekawe doświadczenie. Rozmawiamy o groźbie zmiany ordynacji wyborczej przez PiS. To wymaga zmian w konstytucji, w stylu węgierskim. Zwycięzca bierze wszystko. Rafał uważa, że to mało prawdopodobne, będą się bali, że jak przegrają wybory, to stracą wszystko. Powinienem spotkać się z Rafałem, pogadać, ale boję się wiedzieć za wiele.

> Ludzie zmieniają się mało, ale bardzo zmieniają się nasze opinie o ludziach.

Moja piękna przyjaciółka, dziennikarka, która obraca się w sferach politycznych, nie lubi wielu polityków, których ja cenię i lubię. Mówi: nie lubię ich, bo za dobrze ich znam. Pewien słynny polityk proponował jej bezczelnie seks, chociaż sam cnotliwy, dzieciaty i żonaty. Tak, czasami lepiej mniej wiedzieć. Niełatwo lubić człowieka, którego bardzo dobrze się zna, ale też trudno nienawidzić, jak się zna dobrze.

•

Czytam w komputeropisie listy mojego ojca do jego brata Jerzego, od lat 30. do roku 1971, gdy Jerzy umiera. 560 stron. Bardzo dla mnie ciekawe, ale chyba ciekawe w ogóle, więc godne wydania. Ojciec od roku 1955 pisał też dziennik, te listy są niezwykłym jego dopełnieniem. Ile tam historii Polski, ileż artystycznej pasji. Ojciec był zanurzony w sztuce po uszy, był poetą i eseistą z krwi i kości, wielkim znawcą literatury, nie tylko polskiej. Jak intensywnie pracował, ile powstało książek! I jaka teraz wielka cisza nad tą spuścizną, aż w uszach dzwoni. Mam nadzieję, że znajdzie się wydawnictwo, które wyda te listy, ale pewien tego wcale nie jestem.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

NA EKRANACH

Memoria

reż. Apichatpong Weerasethakul, prod. Chiny/Francja/Meksyk i in., już w kinach

Tajski reżyser jest ceniony przez światową publiczność za nowatorskie filmy, w których magia przeplata się z realizmem, żywi rozmawiają z duchami, a to, co ziemskie, i to, co nie z tej ziemi, istnieje obok siebie. „Memoria" to jego pierwszy film nakręcony poza rodzinną Tajlandią, jednak Apichatpong Weerasethakul pozostaje wierny ulubionym tematom. Jessicę (Tilda Swinton) poznajemy w trakcie podróży po Kolumbii. W jej głowie pojawia się przeszywający odgłos, który atakuje ją w nocy i nie daje spać. Trudno stwierdzić, czy kobieta postradała zmysły. A może są to ślady przeszłych wydarzeń, to, co wyparte i nieprzepracowane, wychodzi na jaw? Z jednej strony, tematem symbolicznego filmu są mechanizmy pamięci zbiorowej i zapamiętywania historii. Z drugiej – to doświadczenie zmysłowe, duchowe, rodzaj medytacji, wymagającej cierpliwości od widza, ale i pokazującej kino w inny sposób, niż to się dzieje w hollywoodzkich superprodukcjach.

Mateusz Demski

KURTYNA W GÓRĘ

Klasyka na bosaka

Studenci i absolwenci Akademii Teatralnej w Warszawie zwycięsko zmierzyli się z klasycznym tekstem „Fedry", ale w nowym, całkiem współczesnym tłumaczeniu. Najważniejszy w spektaklu jest tekst mówiący o cierpieniu powodowanym przez miłość, w tym wypadku zakazaną. Jak to przekonująco pokazać dziś, bo w zasadzie odpadają rekwizyty i kostiumy. Dlaczego panowie są w garniturach, nawet pod krawatem, ale bez butów? Może dlatego, aby pokazać, że natura ludzka nie zmieniła się od czasów starożytności. Królowa – też boso.

Bronisław Tumiłowicz

Jean Baptiste Racine, „Fedra", tłumaczenie Antoni Libera, reżyseria Olga Sawicka, Teatr Collegium Nobilium, następne przedstawienie 17 maja 2022

DOKUMENT

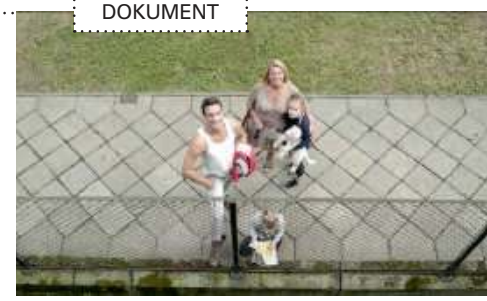

Film balkonowy

reż. Paweł Łoziński, prod. Polska, już w kinach i HBO Max

Paweł Łoziński rozstawił na balkonie na Saskiej Kępie kamerę i przez dwa i pół roku nagrywał przechodniów, zadając im pytanie o życie i jego sens. W efekcie powstała fascynująca panorama warszawiaków w XXI w. Reżyser tak zmontował ich wypowiedzi, by pokazać, że mimo starć ideologicznych Polacy nadal mają ze sobą więcej wspólnego, niż chcieliby przyznać. Bohaterowie Łozińskiego szukają tego samego niezależnie od poglądów, klasy społecznej, wyznania czy seksualności. Chcą bezpieczeństwa, zdrowia, miłości, wsparcia albo – jak mężczyzna, który właśnie wyszedł z więzienia – bycia częścią społeczeństwa. Ujmuje czułość, z jaką dokumentalista patrzy na rozmówców, do których podchodzi bez uprzedzeń. Z taką samą powagą i otwartością traktuje lesbijkę i narodowca, sprzątaczkę i artystkę, zanurzoną w swoim świecie seniorkę, jak i stąpającego mocno po ziemi biznesmena. Dla Łozińskiego wszyscy są równi i tego spojrzenia warto od niego się uczyć.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Ireneusz Gębski

Odpryski. Subiektywna kronika dwudziestolecia 2001-2021

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2022

O ile pamiętamy tak głośne wydarzenia jak afera Rywina, działalność agenta Tomka, katastrofa smoleńska, Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk czy początek pandemii, o tyle niektóre epizody zatarły się w naszej pamięci. Choćby pijany poseł na mównicy sejmowej, niespodziewane zastąpienie Macieja Płażyńskiego przez Donalda Tuska na stanowisku szefa PO czy ambicje polityczne Jacka Kurskiego. Albo udekorowanie grobu Jezusa przez ks. Henryka Jankowskiego kościotrupami z flagami unijnymi... Ten sam prałat domagał się usunięcia pewnych nazwisk z księgi honorowych obywateli Gdańska, nie zdając sobie sprawy, że i jego imię zostanie wykreślone. Gdańszczanin Ireneusz Gębski skrupulatnie wszystko spisywał, dodając osobisty i często zjadliwy komentarz. *Marek Książek*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cf59a59924

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zrzędzenie losu

Natłok okropności wojny podawanych bez znieczulenia, fotografii zwęglonych zwłok, okaleczonych ciał, zrównanych z ziemią miast, wraków i ruin – cały ten medialny festiwal zagłady, pornografia śmierci, którą jesteśmy bombardowani, już nie trafia z pełną mocą w najbardziej współczulne miejsca mojej duszy. Z narastającym smutkiem odkrywam w sobie rodzaj beznadziejnej rezygnacji i nieomal zobojętnienia wobec, by tak rzec, klasycznej ikonosfery wojennej, za to z tym większą siłą druzgocą mnie obrazy bardziej wyrafinowane, niespodziewane czy wręcz niewyobrażalne, zwłaszcza jeśli dotyczą tego, co wojna czyni dzieciom. Nie-do-odzobaczenia stała się dla mnie reklama zestawu lalek z trumienkami w cenie promocyjnej; wedle algorytmów sieciowych w Ukrainie to powinno mieć teraz szczególne wzięcie wśród dziewczynek, będą mogły się pobawić w uroczysty pogrzeb tatusia, który nie wrócił z frontu – zestaw cokolwiek ekscentryczny w czasach pokoju nagle zdobył potencjał na rynkowy hit. Nic, tylko zamówić dostawę do Buczy.

To zderzenie wojennej realności z zimną logiką kapitalizmu odbiera mi rozum, ten absurd działa mocniej nawet niż pamiętna scena z wybitnego „Sezonu na słoneczniki" Igora Miecika, reportaży z pierwszej wojny o Donbas: struchlały cywil, przeczekując w piwnicy bombardowanie, odbiera telefon z monitem bankowym. Wojna nie wojna, kredyt trzeba spłacić, nawet jeśli mieszkanie razem z całą dzielnicą obróciło się w gruzy.

Przez ostatni miesiąc mimowolnie uprawiałem na Gotlandii rodzaj turystyki wanitatywnej, a nawet funeralnej. Każdy landszaft był naznaczony śmiercią, gdziekolwiek bym stąpał, nastrój miałem cmentarny, gdy mnie kto pytał, co słychać, odpisywałem: „zrzędzenie losu", bo jakimś ponurym jego zrządzeniem z grotołaza stałem się grobołazem. Kiedy np. przedsięwziąłem wycieczkę na najwyższy i najpiękniejszy klif na wyspie (Högklint), dowiedziałem się, że to dość oczywiste i ulubione miejsce tutejszych samobójców, do tego stopnia popularne, że na Gotlandii, zamiast „pójdę na tory" (pociągów tam nie ma), w skrajnej desperacji zwykło się mawiać „jadę na Högklint". Barierek żadnych nie ustawiono, żeby nie zaszpecać rezerwatu, można podejść do samej krawędzi, a że wiatr dmucha, lepiej usiąść, żeby nie zwiał w przepaść, no ale jak się już tak usiądzie i spojrzy w dół, pokusa rośnie, szelf przyciąga, w głowie zaczyna się kręcić, naprędce poczyniony bilans biograficzny wcale tak jednoznacznie nie przechyla szali w stronę życia, uff, doprawdy trudno się oprzeć. Kiedy się mimo wszystko oparłem i zjechałem pod skały, żeby płaskimi plażami pojeździć, napotkałem drzewo obwieszone mnogością obuwia, z tabliczką obwieszczającą, że to „buty, które wyszły z morza", i od razu mi się skojarzyło, że to pamiątki po topielcach.

Wjechawszy do lasu, trafiłem na zdumiewającą konstrukcję: omszałe płyty kamienne ułożone w kształt łodzi kilkudziesięciometrowej długości – tabliczka informacyjna obwieściła, że to grób wikinga. Wyjechałem w końcu na zwykłą szosę, żeby już wrócić najkrótszą trasą do swojego pokoiku w Visby, ale po drodze zatrzymał mnie efektowny drogowskaz kierujący do „miejsca egzekucji" – opodal dokonano z końcem XIX stulecia ostatniego publicznego ścięcia w Szwecji, przy czym pijany kat dopiero za trzecim razem trafił w szyję skazanego nieszczęśnika, wzbudzając zażenowanie, a nawet niejakie obrzydzenie widowni. Myszkując po wapiennym płaskowyżu, pośród pustkowia znalazłem malowniczy nagrobek księdza zamordowanego w drodze z oberży na plebanię, choć wedle legendy porwał go orzeł ku niebiosom.

Kiedy postanowiłem się ukryć w muzeum historycznym (skądinąd znakomitym), ekspozycja przeczołgała mnie przez historię wojen i ruchawek, począwszy od kamieni runicznych poświęconych zabitym wojownikom, przez rekonstrukcje wczesnośredniowiecznych grobów (wszystkie szkielety ludzi, którzy zginęli młodo, miały w czaszkach dziury od grotów, kiścieni czy innych morgenszternów), po interaktywne wersje średniowiecznych masakr ludności cywilnej, pożarów, epidemii i zamachów. Gdziekolwiek spojrzeć, w czasie i przestrzeni – groza. Czas pokoju jest wybrykiem historii; byliśmy szczęśliwie naiwni, myśląc, że to wojna narusza porządek rzeczy.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WOJCIECH KUCZOK

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cf59a59924

Dlaczego chodzenie pomaga nam myśleć

W miarę starzenia się nasze mózgi maleją. Co możemy na to poradzić? Możemy chodzić

Jeremy DeSilva

Charles Darwin był introwertykiem. Spędził niemal pięć lat, podróżując na Beagle'u i spisując obserwacje, które doprowadziły do stworzenia jednych z najważniejszych naukowych teorii w historii ludzkości. Miał wtedy dwadzieścia kilka lat i dla niego była to XIX-wieczna wersja rocznego obozu wędrownego po całej Europie dla uprzywilejowanych. Po powrocie do domu w 1836 r. nigdy więcej nie wyściubił nosa z Wysp Brytyjskich.

(…) Mieszkał w swoim cichym, spokojnym domu, Down House, niemal 30 km na południowy wschód od Londynu, większość czasu pisząc w swojej pracowni. (…) Najlepiej jednak Darwin myślał nie w pracowni, tylko poza domem, na dróżce w kształcie małej litery „d" tuż przy granicy jego włości. Nazywał to miejsce Sandwalk (piaszczysta dróżka), ale dzisiaj nazywa się je szlakiem myślowym Darwina. (…)

Darwin krążył po Sandwalk, tworząc swoją teorię ewolucji poprzez dobór naturalny. Chodził, rozważając mechanizmy ruchu u pnączy i wyobrażając sobie, co za cuda mogły zapylać fantastycznie ukształtowane, kolorowe orchidee, które opisał. Spacerował, rozwijając swoją teorię selekcji płciowej i zbierając materiały dotyczące pochodzenia gatunku ludzkiego. Ostatnie przechadzki odbył z żoną Emmą, rozmyślając o dżdżownicach i ich roli w stopniowych zmianach składu ziemi.

W lutym 2019 r. poszedłem w ślady Darwina, wkraczając na jego szlak myśli, aby rozważyć, w jaki sposób chodzenie pomaga ludziom myśleć. Były to wakacje szkolne, które spędzałem w Londynie. Musiałem walczyć ze stadami rodzin przyjeżdżających tu, aby zobaczyć miejsce życia i pracy Darwina. (…)

Na początku ścieżki ułożyłem jeden na drugim pięć krzemieni, zakładając, że zrobię pięć okrążeń, i rozpocząłem swoją podróż, najpierw wzdłuż łąki, a potem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, przez las. Sandwalk jest żywy. (…)

Przejście po Sandwalk, po jednym krzemieniu naraz, nie obdarzyło mnie mądrością, dzięki której mogłem kontynuować moją pracę naukową. Okazuje się, że każdy spacer na świeżym powietrzu ma potencjał odblokowania naszych mózgów. Sandwalk po prostu był pod ręką (a raczej pod nogą) człowieka, którego dziewiętnastowieczny otwarty umysł pomógł zmienić świat i nasze miejsce na Ziemi.

Tylko dlaczego chodzenie pomaga nam myśleć?

•

Z pewnością znacie tę sytuację: borykacie się z jakimś problemem – może z trudnym zadaniem szkolnym lub zawodowym, skomplikowanym związkiem, perspektywą zmiany kariery – i nie możecie wpaść na rozwiązanie. Postanawiacie więc iść na spacer i gdzieś w trakcie przechadzki przychodzi wam do głowy odpowiedź.

XIX-wieczny angielski poeta William Wordsworth podobno w ciągu życia przemierzył 180 tys. mil. Z pewnością podczas jednego ze swoich spacerów odkrył swoje tańczące żonkile. Francuski filozof Jean-Jacques Rousseau powiedział kiedyś: „W chodzeniu jest coś, co stymuluje i ożywia moje myśli. Kiedy stoję w jednym miejscu, ledwie mogę myśleć; moje ciało musi być w ruchu, aby mój umysł ruszył do przodu". (…) John Muir, Jonathan Swift, Immanuel Kant, Beethoven i Friedrich Nietzsche mieli obsesję na punkcie chodzenia. (…) W naszych czasach spacery stały się ważną częścią procesu twórczego współzałożyciela koncernu Apple, Steve'a Jobsa.

To ważne, aby zatrzymać się na chwilę i zastanowić nad tymi słynnymi wędrowcami. Wszyscy są mężczyznami. Niewiele napisano o słynnych kobietach, które regularnie spacerowały. Jedynym wyjątkiem jest Virginia Woolf, która podobno dość dużo chodziła. Robyn Davidson przemierzyła Australię wraz ze swoim psem i czterema wielbłądami, pisząc później o tym w swojej książce „Na zachód od Alice Springs". (…)

Historycznie rzecz biorąc, chodzenie było przywilejem białych mężczyzn. Czarni mężczyźni z dużym prawdopodobieństwem zostaliby aresztowani, albo nawet gorzej. Spacerujące kobiety były w najlepszym przypadku zaczepiane. Nie trzeba oczywiście wspominać, że rzadko kiedy w historii ludzkości samotne spacery były bezpieczne.

Być może to zbieg okoliczności, że tak wielu znakomitych myślicieli

Jonathan Swift, Immanuel Kant, Beethoven i Friedrich Nietzsche mieli obsesję na punkcie chodzenia.

eprasa.pl cf59a59924

Chodzenie wpływa nie tylko na kreatywność, ale też na pamięć.

miało obsesję na punkcie chodzenia. Być może istniało równie wielu geniuszy, którzy nigdy nie spacerowali. Czy William Shakespeare, Jane Austen lub Toni Morrison chodzili na codzienne przechadzki? A co z Frederickiem Douglassem, Marią Curie czy Isaakiem Newtonem? Z całą pewnością niesamowicie uzdolniony Stephen Hawking nie chodził po tym, jak został sparaliżowany na skutek swojej choroby. Jak widać, chodzenie nie jest niezbędne do tworzenia procesów myślowych, ale z pewnością pomaga.

•

Marily Oppezzo, psycholog z Uniwersytetu Stanforda, zazwyczaj chodziła dookoła kampusu ze swoim promotorem doktoratu, dyskutując o wynikach badań i zastanawiając się nad nowymi projektami. Pewnego dnia wpadli na pomysł eksperymentu, który miał pokazać wpływ chodzenia na kreatywne myślenie. Czy rzeczywiście jest coś w starym dobrym twierdzeniu, że chodzenie i myślenie są ze sobą połączone?

Oppezzo zaprojektowała eleganckie doświadczenie. Grupa stanfordzkich studentów została poproszona o wymienienie tak wielu kreatywnych sposobów wykorzystania powszechnych przedmiotów, jak potrafią. Na przykład frisbee mogłoby zostać wykorzystane jako zabawka dla psa, ale również jako kapelusz, talerz, miska z wodą do ptasiej kąpieli albo mała łopatka. Im więcej nietypowych sposobów użycia danego przedmiotu wymieniali studenci, tym wyższa była ocena kreatywności. Podczas testu połowa studentów siedziała przez godzinę, druga zaś chodziła na bieżni ruchomej.

Chodzenie może nie tylko opóźnić niektóre efekty starzenia, ale również je cofać.

Wyniki były zaskakujące. Po „spacerze" kreatywność wzrastała o 60%.

Kilka lat wcześniej Michelle Voss, profesor psychologii na Uniwersytecie Iowa, badała wpływ chodzenia na sprzężenia sygnałów w mózgu. Zrekrutowała 65 kanapowych leniów w wieku 55-80 lat i zobrazowała ich mózgi, używając rezonansu magnetycznego. Przez kolejny rok połowa ochotników chodziła na 40-minutowy spacer trzy razy w tygodniu. Pozostali uczestnicy spędzali swoje dni, oglądając powtórki „Złotek" i uczestniczyli wyłącznie w rozciąganiu. Po upływie roku Voss ponownie obejrzała mózgi wszystkich ochotników za pomocą rezonansu magnetycznego. Niewiele zmieniło się w mózgach grupy kontrolnej, natomiast u spacerowiczów zdecydowanie poprawiło się przewodzenie sygnałów w tych rejonach mózgu, które odgrywają ważną rolę w naszym myśleniu twórczym.

Chodzenie zmienia nasze mózgi i wpływa nie tylko na kreatywność, ale też na pamięć.

W 2004 r. Jennifer Weuve z wydziału zdrowia publicznego na Uniwersytecie Bostońskim zajmowała się związkiem między chodzeniem i spadkiem funkcji poznawczych u 18 766 kobiet w wieku 70-81 lat. Jej zespół poprosił ochotniczki o wymienienie jak największej liczby zwierząt w minutę. Kobiety, które regularnie spacerowały, wymieniły więcej zwierząt niż te mniej ruchliwe. (...) Według Weuve nawet 90 minut tygodniowo redukuje tempo spadku funkcji poznawczych. Ponieważ dokładnie ten sam proces zachodzi na wczesnych etapach demencji, regularne spacerowanie może uchronić nas od tego schorzenia neurodegeneracyjnego. (...)

•

Gdy nadszedł sierpień, moi podopieczni mieli za sobą osiem intensywnych tygodni spędzonych na poznawaniu wszelkich zakamarków wnętrza osobników, którzy podarowali swoje ciała studentom medycyny w Dartmouth College. Moja grupa musiała odizolować poszczególne tkanki, aby znaleźć muskularne zastawki serca i zwapniałe arterie. Śledzili przebieg naczyń krwionośnych, które wykonują pętle tak źle pomyślane jak drogi wokół Bostonu. Pełen powagi bezruch panujący w kostnicy zmienia się w podniecone zamieszanie, kiedy studenci odkrywają

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cf59a59924

sztuczne biodro lub siateczkę stentu. Reakcja jest zdecydowanie mniej radosna, kiedy widzą rakowatą narośl lub przypadkowo ktoś rozetnie jelito grube.

Po każdej sekcji studenci wkładają narządy z powrotem na ich właściwe miejsce, a potem składają płaty skóry razem. (…) Zwłoki są najlepszymi nauczycielami, jakich moi studenci będą kiedykolwiek mieli.

Dziwicie się, że ktoś, kto bada wykopaliska, uczy anatomii studentów medycyny? Niepotrzebnie. Paleontolodzy znają anatomię. Znalezione szczątki mogą być kawałkiem którejkolwiek z ponad 200 kości w ludzkim ciele albo tuzinów innych zwierząt, które kiedyś zamieszkiwały dane tereny. Kiedy biorę do ręki skamieniellinę, muszę szybko ustalić, co to może być. Kość ramieniowa? Krąg? Część szczęki? Czy pochodzi z przedpotopowej antylopy, czy z zebry? A może z małpy lub wczesnego człowieka? Małe wyrostki na skamieniałej kości są miejscami, do których za życia danego zwierzęcia przyczepione były mięśnie i więzadła. Wszystko to wymaga znajomości anatomii, a to oznacza spędzanie wielu godzin w prosektorium.

W dziewiątym tygodniu przychodzi czas na piły. Tygodnie delikatnego odsuwania tkanek na bok, aby zidentyfikować mięśnie, nerwy i naczynia krwionośne, ustępują miejsca brutalnej ekstrakcji mózgu. Odcinanie czubka czaszki wytrąca z równowagi wielu studentów. To bardzo nienaturalny akt. Kiedy cichnie bzyczenie elektrycznych pił, w pomieszczeniu zapada cisza. W powietrzu wisi zapach spalonych włosów. Czasami trzeba użyć młotka i dłuta, aby przebić się przez obszary zbyt grube dla ostrza piły.

Studenci generalnie okazują duże emocje, gdy biorą do rąk serce. Kiedy trzymają w nich mózg, są pełni podziwu. Mózg jest osobą. Moi studenci często są zaskoczeni tym, jak bardzo lekki i gąbczasty jest. Jak delikatny. Przesuwają palcami po fałdach i bruzdach. Potem przy użyciu dużego noża jeden ze studentów rozcina mózg, jakby był melonem – dzieląc go na prawą i lewą połowę. Widać wtedy, że tuż nad zwieńczeniem pnia mózgu znajduje się szeroka pętla tkanki o długości mojego małego palca. Dla mnie wygląda to trochę jak dżdżownica z galaretki. Wcześni anatomowie z kolei uznali, że wygląda to jak ogon konika morskiego, więc nazwali tę część mózgu na cześć hippokampa, mitycznego greckiego potwora wodnego, który miał ciało konia i ogon ryby. Jest to ośrodek pamięci mózgu. Kiedy neurony w tym małym rejonie były aktywne, przechowywały wiele wspomnień naszego dawcy.

Może w ciągu ostatnich lat życia nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska swojej nauczycielki z trzeciej klasy, ale umiał wyraźnie przywołać wspomnienie kształtu i koloru jej okularów. Może nadal pamiętał zapach swojego psa z dzieciństwa, Sadie, po powrocie ze spaceru w lesie. Mógł poprosić swój hipokamp o odtworzenie dokładnego momentu, gdy dziewczyna, w której sekretnie podkochiwał się przez trzy lata, uśmiechnęła się do niego, gdy pan Austin, ich nauczyciel angielskiego w liceum, czytał poemat „Thanatopsis" (wiersz amerykańskiego poety romantycznego Williama Cullena Bryanta. Thanatopsis po grecku oznacza „rozważania o śmierci"). Nadal czuł aksamitne płatki storczyka, który miała we włosach w dniu ich ślubu. Pamiętał, jak wiele razy w 1964. Carl Yastrzemski zaliczył home run, ale w niektóre dni nie umiał sobie przypomnieć imienia swojej żony. Dziwiło go to i frustrowało. Denerwował się wtedy. (…)

Dla zdrowia psychicznego powinniśmy spacerować tam, gdzie są drzewa, ptaki i cichy szum wiatru.

Ból i frustracja związane z zapominaniem powinny motywować nas do robienia wszystkiego, aby podtrzymać w dobrym stanie ten obszar naszego mózgu – główną przechowalnię naszych wspomnień. Oczywiście inne ich rodzaje są gromadzone gdzie indziej: zdolność rozpoznawania twarzy, tzw. wspomnienia ukryte, jak umiejętność jazdy na rowerze, oraz wspomnienia jawne, jak na przykład data wybuchu II wojny światowej. Hipokamp jest jednak biblioteką historii naszego życia.

W miarę starzenia się nasze mózgi maleją. Na starość hipokamp kurczy się ok. 1-2% każdego roku i coraz

eprasa.pl cf59a59924

trudniej jest przypomnieć sobie rzeczy, które kiedyś przychodziły do nas z łatwością. (…)

Co możemy na to poradzić?

Możemy chodzić.

•

W 2011 r. psycholodzy z Uniwersytetu Pittsburskiego zebrali 120 starzejących się, lecz generalnie zdrowych ludzi z domu starców. Prześwietlili im mózgi za pomocą rezonansu magnetycznego i zmierzyli rozmiar hipokampu. Następnie połowę z nich poprosili o rozpoczęcie czterdziestominutowych spacerów trzy razy w tygodniu. Druga połowa miała robić wyłącznie rozciąganie, ale omijać sam spacer. Po roku okazało się, że rozciągająca się grupa straciła 1-2% objętości hipokampu, zgodnie z oczekiwaniem, jednak coś niezwykłego stało się ze spacerowiczami. Ich hipokamp nie tylko nie zmalał, ale powiększył się o 2%, a wraz z tym poprawiła się ich pamięć.

Okazuje się, że hipokamp potrafi się regenerować i nawet jeden spacer dziennie potrafi przyczynić się do jego wzrostu. Chodzenie może nie tylko opóźnić niektóre efekty starzenia, ale również je cofać. Tylko jak?

Jednym wytłumaczeniem jest to, że chodzenie, a w zasadzie każdy rodzaj aktywności, poprawia krążenie, co prowadzi do regeneracji hipokampu. W 2018 r. Sophie Carter z Uniwersytetu Johna Mooresa w Liverpoolu zobrazowała za pomocą rezonansu magnetycznego mózgi ludzi, którzy chodzili przez dwie minuty co pół godziny, a także tych, którzy siedzieli przez cały dzień. U tej pierwszej grupy zwiększył się przepływ krwi w tętnicy szyjnej i środkowej mózgu. Krew jednak jest tylko nośnikiem – musi transportować coś, co jest krytyczne dla mózgu.

Miokiny. Cząsteczki wydzielane przez kurczące się mięśnie docierają do mózgu, niesione przez krwiobieg. Jedna z nich to iryzyna, nazwana na cześć Iris, greckiej bogini tęczy i osobistej orędowniczki Hery. W 2019 r. naukowcy z Uniwersytetu Federalnego w Rio de Janeiro w Brazylii wykryli alarmująco niski poziom iryzyny u ludzi cierpiących na alzheimera – chorobę, która dotyka jedną na dziesięć osób po 65. roku życia. (…)

Kolejna miokina zwana jest neurotroficznym czynnikiem pochodzenia mózgowego (BDNF, od *brain-derived neurotrophic factor*). Choć nazwa jest nie tak sympatyczna jak w przypadku iryzyny, sama substancja może się okazać jeszcze istotniejsza. Spacerowicze z badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Pittsburskim, których hipokamp zwiększył się o 2%, mieli również wyższy poziom BDNF niż grupa „siedząca". (…)

Dla niewyćwiczonego oka fałdy i bruzdy mózgu wydają się rozmieszczone przypadkowo. Dla neurologa są mapą ujawniającą pracę naszego najwspanialszego narządu. Bruzdy w tylnej części mózgu przetwarzają sygnały wzrokowe. Pasmo tkanki nerwowej na samym szczycie pomaga koordynować ruchy. Wybrzuszenie z przodu jest miejscem, w którym mózg robi plany. Na początku XX w. niemiecki neurolog Korbinian Brodmann zidentyfikował i nazwał 52 różne obszary mózgu – każdy z nich nosi jego nazwisko. Obszar Brodmanna nr 22 przetwarza dźwięki, zaś obszary Brodmanna 44 i 45 pomagają nam mówić.

Około 7 cm za grzbietem nosa znajduje się obszar Brodmanna 25 – to, co współcześni neurolodzy nazywają podkolanową korą czołową (sgPFC od *subgenual prefrontal cortex*). Odgrywa on ważną rolę w regulacji naszych nastrojów, wykazując zwiększoną aktywność w okresach smutku i rozmyślań.

W czasie gdy Marily Oppezzo prosiła swoich stanfordzkich studentów o wymienienie jak największej ilości sposobów wykorzystania frisbee, jej kolega po fachu, stypendysta funduszu CArDiNAL, Greg Bratman, zastanawiał się, w jaki sposób spacer po lesie może poprawiać nam nastrój. Bratman, wówczas doktorant, interesował się związkiem między środowiskiem a psychologią. Poprosił 38 osób o wypełnienie ankiety, w której znalazły się pytania o nastrój i negatywne postrzeganie samego siebie. Był szczególnie zainteresowany tym, czy jest jakiś problem, który nie daje im spokoju. Ankieta została oceniona według tzw. skali rozpamiętywania. Następnie Bratman zobrazował rejon sgPFC u swoich ochotników, oceniając przepływ krwi przez ten ośrodek. Następnie wysłał wszystkich na spacer.

Połowa z nich odbyła pięciokilometrowy spacer po rozległych terenach zielonych stanfordzkiego kampusu – z dostępem do świeżego powietrza. Druga grupa przemierzyła trasę tej samej długości po chodniku wzdłuż El Camino Real – ruchliwej wielopasmowej ulicy przebiegającej przez centrum Palo Alto. Po powrocie wszyscy musieli wypełnić kolejną ankietę i poddać się kolejnemu obrazowaniu rezonansem magnetycznym.

Ludzie spacerujący po ruchliwej ulicy nie wykazywali żadnych zmian w skali rozpamiętywania ani w przepływie krwi przez obszar sgPFC. Ci, którzy spacerowali po lesie, podali w ankiecie niższe wartości, a ukrwienie sgPFC zostało istotnie zredukowane.

Okazuje się, że dla zdrowia psychicznego powinniśmy spacerować tam, gdzie są drzewa, ptaki i cichy szum wiatru. (…)

Historycznie rzecz biorąc, chodzenie było przywilejem białych mężczyzn.

Niewiele napisano o słynnych kobietach, które regularnie spacerowały. Wyjątkiem jest Virginia Woolf

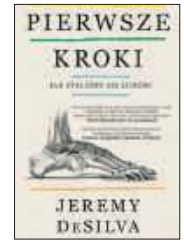

Fragmenty książki Jeremy'ego DeSilvy *Pierwsze kroki. Jak staliśmy się ludźmi*, przeł. Joanna Grabarek, Wydawnictwo Filia, Poznań 2022

eprasa.pl cf59a59924

Nowoczesne leczenie, dłuższe życie

Ze wszystkich nowotworów to w leczeniu szpiczaka zarejestrowano prawdopodobnie najwięcej nowych leków

PROF. KRZYSZTOF JAMROZIAK
– Katedra i Klinika Hematologii, Transplantologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

Czym jest szpiczak plazmocytowy (szpiczak mnogi)?

– Jest to rzadki nowotwór szpiku, wciąż nieuleczalny. Co roku w Polsce zapada na niego ok. 2 tys. osób, a żyje z nim ok. 10 tys. pacjentów. Nazwa pochodzi od plazmocytów, czyli komórek szpiku, które produkują przeciwciała odpornościowe. Właśnie z tych zmienionych nowotworowo komórek wywodzi się szpiczak plazmocytowy.

Jakie są objawy szpiczaka?

– Najczęściej niecharakterystyczne. Należą do nich: postępujące osłabienie (spowodowane niedokrwistością) oraz bóle kostne, dotyczące najczęściej okolicy lędźwiowej kręgosłupa, ale też żeber czy miednicy. Rzadziej w okresie rozpoznania choroby stwierdza się objawy niewydolności nerek (np. uogólnione obrzęki) lub podwyższone stężenie wapnia.

Kogo najczęściej dotyka ta choroba?

– Głównie osoby starsze – średni wiek zachorowania to 70. rok życia. Chorzy przed 40. rokiem życia stanowią nie więcej niż 5% pacjentów. A ponieważ wśród osób w wieku 70+ wspomniane objawy (osłabienie, bóle kręgosłupa) są dość powszechne, to szpiczak jest rozpoznawany późno, nawet kilka lat po ich wystąpieniu.

Częściej chorują kobiety czy mężczyźni?

– Mężczyźni chorują półtora-dwa razy częściej niż kobiety. Ponieważ jednak mężczyźni statystycznie żyją krócej i w grupach 70-, 80-latków większość stanowią kobiety, to sumarycznie wśród chorych w Polsce jest więcej kobiet. Zachorowalność w naszym kraju jest na podobnym poziomie jak w innych państwach europejskich.

Średni wiek zachorowania na szpiczaka to 70. rok życia. Choroba jest rozpoznawana późno, nawet kilka lat po wystąpieniu objawów.

Jak diagnozuje się szpiczaka?

– Podstawą są coroczne rutynowe badania krwi – szczególnie morfologia, w której stwierdzimy niedokrwistość, i podstawowe badania biochemiczne z oceną funkcji nerek. Natomiast dokuczliwe, a zwłaszcza pojawiające się nagle i utrzymujące się przez kilka tygodni bóle kostne należy jak najszybciej zdiagnozować za pomocą badań obrazowych (RTG, tomografia komputerowa, w niektórych przypadkach rezonans magnetyczny). Należy zaznaczyć, że chodzi o bóle kości, najczęściej kręgosłupa w dolnej części pleców, a nie o bóle stawów. Ból w stawach kolanowych lub biodrowych to najczęściej objaw choroby zwyrodnieniowej. Odchylenia w tych rutynowych badaniach, np. niedokrwistość, oczywiście mogą wynikać z wielu innych chorób, ale zawsze wymagają wyjaśnienia.

Czy wszystkie badania wykrywające szpiczaka są rutynowe?

– Nie wszystkie. Szpiczakowe komórki nowotworowe produkują nieprawidłowe białko, nazywane białkiem monoklonalnym, które jest charakterystyczną cechą. U większości pacjentów można je wykryć we krwi lub w moczu. Badanie w kierunku oceny białek (proteinogram) zleca lekarz. Jeżeli wykonujemy proteinogram na własną rękę, musimy pamiętać, że wykrycie białka monoklonalnego nie oznacza automatycznie szpiczaka. Dużo częstszy jest łagodny rozrost plazmocytów, nazywany gammapatią monoklonalną.

Co to za choroba?

– To obecność nieprawidłowego białka produkowanego przez jedną grupę komórek nowotworowych lub przednowotworowych. Jeśli się pojawi, należy przeprowadzić diagnostykę w kierunku szpiczaka. Jeżeli wykluczymy takie objawy jak niedokrwistość, zmiany kostne, niewydolność nerek, podwyższone stężenie wapnia, to rozpoznajemy tzw. gammapatię monoklonalną o niewyjaśnionym znaczeniu (w Polsce ma

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl cf59a59924

ją prawdopodobnie kilkaset tysięcy osób). Jest to stan przedszpiczakowy, który jednak prowadzi do choroby tylko u niewielkiej części pacjentów. Nie wymaga leczenia, jedynie regularnej obserwacji u hematologa lub lekarza rodzinnego. U większości osób z taką bezobjawową gammapatią monoklonalną szpiczak nigdy się nie rozwinie. Ryzyko, że tak się stanie, wynosi 1% w skali roku.

Jak się leczy szpiczaka plazmocytowego?

– Chemioterapią, w tym chemioterapią wysokodawkowaną wraz z przeszczepem szpiku, a ostatnio coraz częściej również immunoterapią, w której wykorzystuje się m.in. przeciwciała monoklonalne. W ciągu ostatnich lat ze wszystkich nowotworów to w leczeniu szpiczaka zarejestrowano prawdopodobnie najwięcej nowych leków. Przebieg choroby to cykl nawrotów i remisji. Jeżeli choroba powraca szybko, tzn. w ciągu kilku miesięcy po zakończeniu leczenia określonym schematem (linią leczenia), lub postępuje w trakcie leczenia, uznajemy, że pacjent jest oporny na dany lek. Wtedy powinno się zastosować leki z innej grupy albo leki z tej samej grupy, ale silniejsze. Niektórzy chorzy mogą otrzymać nawet kilkanaście różnych schematów lekowych.

Czy polscy pacjenci mają dostęp do nowoczesnego leczenia?

– Ostatnia, marcowa lista refundacyjna to spełnienie wieloletnich oczekiwań chorych na szpiczaka plazmocytowego, którzy właśnie otrzymali dostęp do leczenia: doustnym lenalidomidem w 1. linii w obu skojarzeniach – z deksametazonem (Rd) oraz z bortezomibem i deksametazonem (RVd), a także doustnym pomalidomidem w skojarzeniu z bortezomibem i deksametazonem (PVd) w 2., 3. i 4. linii leczenia. Na marcowej liście znalazł się również daratumumab w postaci podskórnej, uniezależniając tym samym pacjentów od konieczności wielogodzinnych wlewów i hospitalizacji. Wprowadzenie tych czterech leków zwiększa możliwość indywidualizacji leczenia pacjentów ze szpiczakiem plazmocytowym, który jest chorobą bardzo zróżnicowaną. Sytuacja pacjentów, głównie w 1. linii leczenia, znacznie się poprawiła.

Co jest potrzebne, żeby poprawić rokowania chorych po 4. linii leczenia?

– Potrzebujemy m.in. dostępu do terapii trójlekowych, które u większości pacjentów mogłyby przełamać oporność na wcześniej stosowane leki. Taka terapia składa się z tzw. leku immunomodulującego lub inhibitora proteasomu, leku steroidowego oraz przeciwciała monoklonalnego. Skutecznym lekiem z grupy przeciwciał monoklonalnych jest daratumumab, ale najczęściej stosujemy go wcześniej niż w 4. czy 5. linii leczenia. Dlatego warto pomyśleć o innych lekach. Jednym z nich jest isatuximab. Leki z tej grupy przeciwciał nie tylko niszczą komórki nowotworowe, ale też uruchamiają mechanizmy odporności i hamują komórki sprzyjające nowotworowi. Chociaż te dwa leki są skierowane przeciwko temu samemu celowi w komórce szpiczakowej, mamy podstawy sądzić, że isatuximab może działać u niektórych pacjentów opornych na daratumumab, szczególnie jeżeli będzie stosowany w odpowiedniej terapii trójlekowej. Wyniki poważnych badań klinicznych wskazują, że taka trójlekowa terapia może być bardzo obiecująca u chorych, dla których obecnie nie ma w Polsce skutecznego leczenia.

Czy jest nadzieja na refundację kolejnych schematów leczenia?

– Jestem przekonany, że pojawią się nowe leki, dostępne również dla polskich chorych opornych po 4. linii leczenia. Myślę tutaj w pierwszej kolejności o schematach zawierających silniejsze leki z grup leków immunomodulujących i inhibitorów proteasomu skojarzone z przeciwciałami monoklonalnymi. Leki te sprzyjają też przedłużeniu czasu do nawrotu choroby oraz wydłużeniu życia pacjentów opornych na refundowane dzisiaj w Polsce terapie. W przyszłości potrzebna będzie również refundacja nowych metod immunologicznych, takich jak zarejestrowane już do leczenia szpiczaka immunotoksyny oraz zmodyfikowane genetycznie limfocyty T (tzw. CART).

W ciągu ostatnich 20 lat udało się dwu-, trzykrotnie wydłużyć życie chorych. Warunkiem jest dostęp do nowoczesnych metod leczenia.

Ile lat może żyć w Polsce pacjent z dobrze leczonym szpiczakiem?

– Jeszcze 20-25 lat temu średni czas życia chorego ze szpiczakiem wynosił dwa-trzy lata. Obecnie, przy dostępie do wszystkich terapii, byłoby to prawdopodobnie średnio pięć-sześć lat dla całej populacji pacjentów. Natomiast w grupie poniżej 70 lat u chorych poddanych przeszczepieniu – często dłużej niż 10 lat. Trzeba jednak pamiętać, że u 20-25% chorych obarczonych wysokim ryzykiem genetycznym nawet zastosowanie najnowocześniejszych leków przynosi mniejsze korzyści. U pozostałych 75% wyniki bardzo się poprawiły: dane z uznanych światowych ośrodków leczenia szpiczaka wskazują, że w ciągu ostatnich 20 lat udało się dwu-, trzykrotnie wydłużyć życie chorych. Warunkiem jest jednak dostęp do nowoczesnych metod leczenia. Po uzyskaniu dobrej odpowiedzi na leczenie duża część pacjentów może nie mieć objawów choroby przez lata, a czasami – przez dekady. Nowoczesne leki dają nadzieję, że kolejne terapie będą zmierzały do wyleczenia przynajmniej części chorych już w niedalekiej przyszłości.

Podstawą diagnostyki są coroczne rutynowe badania krwi – szczególnie morfologia, w której stwierdzimy niedokrwistość.

Wywiad przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia

eprasa.pl cf59a59924

Paulina Wilk

Tabu na talerzu

W Indiach szykowanie potraw to świętość. Istotne jest, co się je oraz kto i jak robi jedzenie

– Siostro! Pomóż mi dziś, a jutro cię nie zapomnę. – Uśmiecha się błagalnie i czeka. Lekko pochylony, ze skurczonymi ramionami, prosi całym ciałem. Jest teraz jedyną nieruchomą postacią na zatłoczonym chodniku, waży się jego los.

– Zdobyłem ryż, ale potrzebujemy warzyw. Oni od dawna jedzą tylko dal (sos z soczewicy lub grochu).

Przesuwa się o krok i odsłania dwóch chłopców. Stoją ramię w ramię i kołyszą się lekko, próbując wspólnie utrzymać dużą torbę ryżu. Przestawiają bose stopy na chodniku za każdym razem, gdy ktoś ich potrąca. Niczym boja uporczywie wracają na miejsce, z którego zostali zepchnięci. Zaciskają palce na torbie i wpatrują się w tatę. Skołowani rozpoznają tylko jego. Są w mieście od kilkunastu dni, przyjechali ze wsi.

– Trudno o pracę, siostro. Może masz dla mnie jakieś zajęcie?

Przybiegł tu z nimi z naprzeciwka, przeciskając się między samochodami. Osłaniał dzieci ręką, jakby wyprostowane ramię i machająca dłoń mogły zatrzymać zderzaki i maski. A jednak – rozgrzane maszyny hamowały, prawie dotykając chłopięcych ciał. Gdy dotarli na chodnik, wcisnął im torbę i przypędził tutaj. Tej szansy nie może zmarnować.

– Targ jest blisko, siostro. Warzywa niedrogie.

Stara się być pogodny. Już się nauczył, że biali wolą pomagać uśmiechniętym. Lubią czuć, że dając pieniądze, naprawiają świat. Nie wolno ujawniać przed nimi beznadziei, bo się zniechęcą. Dlatego nie mówi, że są głodni ani że mieszkają za rogiem, pod plandeką, z pledem i dwoma garnkami. Zamiast tego przykłada dłoń do czoła i zapewnia:

– Bogowie ci to wynagrodzą.

•

Nawet najpotężniejsze indyjskie partie, żeby wygrać wybory, muszą obiecywać rolnikom darmowe dostawy ryżu. Ludzie, którzy pracują na polach, po kolana w wodzie, przesadzając zielone pęczki, nie mają co jeść. Wielu z nich to pracownicy najemni. Uprawiają cudzą ziemię, zapożyczają się, żeby kupić nasiona i nawozy, a plony ledwo wystarczają na to, by przeżyć. Dobry monsun oznacza, że nie będą głodować. Słabe deszcze i susza są śmiertelnym zagrożeniem. Raz po raz przez indyjskie wsie przetacza się fala samobójstw. Ojcowie wplątani w sieć pożyczek wieszają się albo piją koktajl z pestycydów. Mają nadzieję, że rządowe odszkodowanie pozwoli przetrwać ich żonom i dzieciom.

Dziś już nie mówi się w Indiach o wielkim głodzie ani śmierci głodowej jako problemie społecznym. Najstraszliwsze były pierwsze lata niepodległości: masy imigrantów, przeludnione miasta, zacofane wsie. Wielkie socjalistyczne plany i liczone w milionach ludzkie tragedie tworzyły opowieść o światowym centrum głodu, trądu i ubóstwa. Indie były wychudzonym żebrakiem wyciągającym puste dłonie. Nowe niepodległe państwo budowało fabryki, ale nie potrafiło wykarmić ich pracowników. Anachroniczne wsie nie nadążały za industrializacją, ceny żywności rosły, wielki rolniczy subkontynent musiał sprowadzać ziarna ze Stanów Zjednoczonych. W krytycznym momencie, który przypadł na połowę lat 60. XX w., Hindusi importowali 10 mln ton nasion. Dwie wojny – z Pakistanem i Chinami – dodatkowo pogorszyły sytuację. Państwo znalazło się na krawędzi klęski głodowej. I wtedy wydarzył się cud zielonej rewolucji.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cf59a59924

Premier Lal Bahadur Shastri, a po nim Indira Gandhi robili wszystko, by uniezależnić kraj od zagranicznych dostaw. Na polach obrabianych dotąd przez pługi i szare woły pojawiły się wysokiej jakości ziarna, nawozy chemiczne, pestycydy, pompy, traktory i kombajny. Senne wioski nagle obudziły się w erze nowoczesnej edukacji rolniczej i pożyczek rządowych. Już pod koniec lat 60. Indie nie potrzebowały pomocy innych krajów, aby poradzić sobie z niszczącymi suszami. Zielona rewolucja bezpowrotnie je zmieniła i była uznawana za największy sukces gospodarczy kraju aż do 1991 r., czyli do reform finansowych i otwarcia wolnego rynku. Dziś ma wielu krytyków – uchodzi za modelowy przykład tego, jak modernizacja może zniszczyć tradycyjne uprawy i wyjałowić gleby.

Dziś zamiast głodu Indie mają inny problem – niedożywienie. Pojawiła się łagodniejsza kategoria, tym trwalsza, że nie wszczyna alarmu. Wielu Hindusów je akurat tyle, by przetrwać. Ale nie dość, aby uchronić się przed infekcjami i chorobami, które skracają życie. Głód oszukiwany mało wartościowymi posiłkami zabija z opóźnieniem.

•

Dieta ubogich jest prosta: gotowany ryż, ćapati, czyli mączne placki, i dal. Ryż – sypki i lekko wilgotny, nie kleisty jak w Chinach – bulgocze w aluminiowych garnkach ustawionych na prymitywnych paleniskach. Kilka kamieni, cegieł albo rozłupanych płyt chodnikowych, a między nimi buchający płomień i gar z osmalonym dnem. Okrągłe wałkowane ćapati i podobne do nich roti, podrzucane w powietrze i spłaszczane w dłoniach, opiekają się na żeliwnych podstawkach albo wprost na naftowych palnikach. Dal powinien być ciężki i gęsty, ale częściej przypomina burą zupę, wodnistą i pozbawioną smaku. Pomaga tylko przełknąć ryż i suche placki. Tak się je w slamsach i na wsiach, na zapleczach fabryk oraz na chodnikach we wszystkich częściach kraju.

Im lepiej powodzi się rodzinie, tym bardziej skomplikowane jada ona posiłki: w bogatych domach ryż, dal i ćapati to tylko skromni kuzyni wykwintnych potraw. Zamożni jadają dużo i różnorodnie: posiłek jest sekwencją wielu elementów, korowodem smaków. Każdy z nich ma przypisaną kolejność, rolę i symboliczne znaczenie. (…)

Wielkie indyjskie menu jest jak pole minowe – trzeba się po nim poruszać z największą ostrożnością.

W Indiach szykowanie potraw to świętość. Istotne jest, co się je oraz kto i jak robi jedzenie. Każdy kęs rodzi pytania: czy pożywienie jest czyste, przygotowane w zgodzie z zasadami, czy nie łamie tabu? Poszczególne domy tworzą własne wariacje na temat ogólnych norm dotyczących potraw zakazanych i zalecanych przedstawicielom różnych grup społecznych i wyznań. Wielkie indyjskie menu jest jak pole minowe – trzeba się po nim poruszać z największą ostrożnością. To, co Hindus ma na talerzu, mówi o nim więcej niż strój i język, którym się posługuje.

Bengalski stół zapowiada spożywczy maraton. Mieszkańcy tej części Indii są szczęściarzami: mają czas i hojną przyrodę. Choć życie w Kalkucie nabrało już kapitalistycznego tempa, to jednak 30 lat marksistowskich rządów spowolniło tętno regionu. (…)

To, co Hindus ma na talerzu, mówi o nim więcej niż strój i język, którym się posługuje.

Bengalczycy uwielbiają ryby słodkowodne, przyznają im wyższość nad morskimi stworzeniami, którymi zachwycają się mieszkańcy południowych wybrzeży. W Bengalu jada się zdrowo i lekko. Rybom towarzyszą warzywa, aromatyczne dodatki i niezrównane słodycze. Ale nie wszystko naraz.

Najpierw coś gorzkiego i cierpkiego, dajmy na to – odrobina piklowanych warzyw, dla wyostrzenia zmysłów i pobudzenia żołądka. Ciało przygotowuje się do obiadowej uczty. Następnie mocno przyprawione smażone warzywa z dalem. Każde danie spożywa się osobno, z dodatkiem ryżu – mieszanie smaków albo zbyt prędka ich zmiana wszystko by popsuły. Na talerzach panuje ład – góra ryżu spoczywa z jednej strony, kolejne potrawy i sosy pojawiają się obok, nie brudząc białych ziaren. Będą z nimi delikatnie łączone, wyjadane do czysta. Dopiero wtedy na talerzu znajdzie się kolejny składnik.

W miarę jedzenia posiłki stają się coraz bardziej wyszukane – pojawiają się złożone dania warzywne, np. kwiaty bananowca z ziemniakami. Potem ryba – najlepiej delikatna ilisza, smażona na oleju z gorczycy, przyprawiona i podduszona, czasem razem z ziemniakami. Następnie trudniejsze do strawienia mięso: aromatyczny kurczak, miękka koźlina. Skórki, pestki, ości – wszystkie niejadalne części spoczywają razem, na skraju naczynia.

Finał jest słodki: ciasteczka pistacjowe lub maślane, maleńkie naleśniki z kokosowym nadzieniem albo pajesz – rozgotowywany w mleku ryż z kardamonem i rodzynkami, ostudzony i ozdobiony orzechami nerkowca. Ociekająca syropem serowa kulka – roszogula – to królowa bengalskich deserów. W niektórych domach ma pierwszeństwo: jada się ją na początku posiłku.

•

Podczas jedzenia dłoń porusza się płynnie i delikatnie – żadnych nagłych czy nerwowych gestów. Najpierw opuszki rozgarniają ryż, przeczesują go. Sprawdzają sypkość, studzą, oswajają się z temperaturą. Potrawę, zanim trafi do ust, trzeba poczuć, delikatnie rozgnieść, podzielić na części. Nawet kawałek zwykłego ćapati jest najpierw obracany w palcach. Przyciskane do

eprasa.pl cf59a59924

talerza jajko, ser czy warzywa zmieniają się w miazgę, sklejają z ryżem. Kciuk, palec wskazujący i środkowy zastępują sztućce – porcjują mięso i dodatki, starannie, żeby zbalansować przyprawy. Łączą się z palcem serdecznym i małym, układają w łódeczkę. Gdy podpłyną do ust, kciuk – niczym wiosło – lekko spycha zebrane na opuszkach jedzenie.

Opróżniona z ładunku dłoń wraca na talerz. Z wprawą i subtelnością podporządkowuje sobie pożywienie – cały ten balet odbywa się bez wysiłku. Jedna tylko dłoń – prawa, bo lewa spoczywa pod stołem, na udzie – w zupełności wystarczy, by porwać wielki mączny placek na kawałki, obrać skrzydełko kurczaka, powybierać twarde goździki i nasiona kardamonu, pozbawić rybę ości. Na koniec palce dokładnie zbierają z talerza pozostałości sosu: kilka ruchów i naczynie jest czyste. Podczas posiłków Hindusi pracują dłońmi jak alchemicy, przygotowują poszczególne kęsy, pamiętając o proporcjach, z aptekarską precyzją komponują smaki. I choć palce dotykały tłuszczu, zanurzały się w rudawym curry i barwiącej na żółto kurkumie, są ubrudzone jedynie na opuszkach. Wystarczy je oblizać. Naturalnie pod warunkiem, że wszystko odbyło się zgodnie z etykietą. Jedzenie rękoma nie jest oznaką prymitywizmu, tylko sztuką i egzaminem z dobrych manier.

•

Hindusi potrafią tę staranność odtworzyć w najtrudniejszych warunkach: w pędzących pociągach, przydrożnych barach i tłocząc się w południe przy ulicznych straganach, gdzie lekkie posiłki podaje się w miseczkach zszytych z wysuszonych liści bananowca. W ukropie, spalinach i miejskim hałasie, między zakorkowaną jezdnią a straganami połykają miękkie placki i duszone warzywa. Siadają przy zbitych byle jak ławach, aby szybko zjeść marynowaną rybę i słuszną porcję ryżu, wysiorbać parzącą herbatę. A potem przepłukać usta wodą, splunąć na jezdnię i odchodząc, włożyć w brudną dłoń sprzedawcy kilka srebrnych monet. W porze lunchu korzystają wszyscy: czego nie zje człowiek, zjedzą zwierzęta. Koty łażą między nogami, wrony i psy czekają przy rynsztoku.

•

Szczęśliwi podróżni, których troskliwe kobiety wyposażyły na drogę w aluminiowe tuby. Wkładane jedna w drugą miski, połączone wspólnym uchwytem, pozwalają przewozić najbardziej skomplikowane posiłki, nosić przy sobie domowe zapachy i smaki. Gdy w rozhuśtanych wagonach nastaje pora obiadu, ludzie skwapliwie zabierają się do jedzenia. Odłączają kolejne miseczki i jedzą zgodnie ze scenariuszem, jaki obowiązuje przy rodzinnym stole. Zdarza się, że częstują współpodróżnych, ale nie wszystkich – zakodowane w potrawach podziały społeczne nakazują ostrożność.

Gościnność jest w Indiach równoznaczna z karmieniem.

W przeciwieństwie do hindusów indyjscy muzułmanie są podczas posiłków swobodniejsi, bo ich religia nakazuje dzielić się z innymi. Dlatego rozglądają się wokół, szukając chętnych na wspólny posiłek, nawet jeśli mają tylko chleb, dżem i kiść winogron. Oferują jedzenie nie raz, ale kilkakrotnie.

Bez względu na wyznanie gościnność jest w Indiach równoznaczna z karmieniem. Na wizytę w czyimś domu najlepiej pójść z pustym brzuchem, bo choć obżarstwo jest źle widziane, to im więcej gość zje, tym bardziej uszczęśliwi gospodarzy. Odmowa udziału we wspólnym posiłku sprawi przykrość, a co gorsza – urazi. Dzielenie się jedzeniem to najbardziej dosłowna forma bratania się, potwierdzenie równości i obustronnego poszanowania. Kto nie chce zjeść tego, co przygotowałeś, uważa cię za niegodnego siebie. Jedyne okoliczności, które usprawiedliwiają odmowę, to choroba albo post – oba wytłumaczenia Hindusi przyjmują z wyrozumiałością, bo zatrucia i niestrawności zdarzają się powszechnie, a poszczenie – jako forma modlitwy i samodoskonalenia – zasługuje na pochwałę. Przyjęcie filiżanki herbaty, kawy czy choćby szklanki wody stanowi minimalne zadośćuczynienie i ratuje gospodarza przed upokorzeniem.

•

Hinduski, zwykle dyskretne i milczące, krążą wokół gości, nieustannie im dogadzając. Uśmiechają się troskliwie. Jeśli siadają do stołu, to

eprasa.pl cf59a59924

jako ostatnie. Częściej jednak stoją w pobliżu, obserwują, gotowe służyć. Znają tę rolę znakomicie – co dzień podają posiłki mężom, ojcom, braciom i synom. Jedzą dopiero, gdy męskie bóstwa skończą. W biednych rodzinach oznacza to, że zostają im resztki: posiłki mniejsze i uboższe w składniki odżywcze. Dlatego dziewczynki gorzej się rozwijają i częściej chorują.

Każda pochwała dla domowych potraw sprawia, że na talerzu pojawia się dokładka. Nie pomagają protesty i podziękowania – gościnność nie ma granic. Hindusi lubią powiedzenie „gość w domu jest bogiem". Kobiety, wydając posiłek dla przybyszów, przechodzą test swych umiejętności, mają też szansę zabłysnąć. Zdolności kulinarne są w Indiach bardzo cenione. Hinduski, karmiąc, okazują miłość i szacunek, a ponieważ życie wielu z nich ogranicza się do prac domowych, kuchnia staje się ich imperium. Tam mogą decydować, sprawują władzę, realizują ambicje, rywalizują. W kuchni doświadczają samotności i żeńskiej wspólnoty, jednoczesnego uwięzienia i uwolnienia, bo chociaż są zamknięte w świecie kulinariów, to tam nie śledzą ich męskie oczy i głosy. Wśród garnków i łyżek mówią głośniej i odważniej się śmieją.

Ideał indyjskiej kobiety to wyobrażenie matki i karmicielki. Gdy krąży wokół stołu w szemrzącym cicho sari i dostawia kolejne potrawy, staje się ucieleśnieniem bogini domowego ogniska. Jest tylko jeden sposób, by sprawić jej przyjemność i odwdzięczyć się za opiekę – zjeść wszystko, co poda.

•

Wyłączając najuboższe rodziny, prawie każdy indyjski dom ma służących. Ci, którzy zajmują się sprzątaniem, wchodzą do kuchni tylko po to, by pozmywać. Nieczystości i jedzenie – to osobne, kategorycznie separowane światy. W zależności od rodziny pomoc kuchenna wyręcza panią domu w gotowaniu w ogóle lub jedynie pomaga, wykonując najmniej szlachetne prace. Przynosi zakupy, oprawia mięso, obiera warzywa, a niuanse, jak przyprawianie czy marynowanie, pozostawia gospodyni. Nie ma uniwersalnej reguły, ale system kastowy wytworzył naczelną zasadę, że nie je się i nie pije tego, co spożywają lub do czego choć zbliżyli się niżej urodzeni. Zanieczyszczone przez nich pokarmy grożą skalaniem. Ta norma, poddana nieskończonym mutacjom w zależności od kast, regionów i statusu poszczególnych rodzin, utworzyła kod, który reguluje współżycie ponad miliarda ludzi.

Ortodoksyjni bramini nie biorą do ust niczego, czego sami nie przygotowali. Zazwyczaj są też ścisłymi wegetarianami i abstynentami, unikają czosnku i cebuli, a także jajek i wszelkich składników, które działają jak afrodyzjaki lub mogą wpływać na świadomość.

Wyjątkowe znaczenie ma czystość wody – w przeszłości hindusi separowali studnie, a niedotykalni nie mogli czerpać wody z tych samych źródeł co członkowie wyższych kast. Zabrudzenie wody było najpoważniejszym wykroczeniem. Do dziś tzw. mokre potrawy, przygotowane z użyciem wody, niosą ze sobą szczególne zagrożenie. Spożywanie suchych posiłków stanowi mniejsze lub znikome niebezpieczeństwo dla statusu i czystości rytualnej; są przygotowywane z klarowanym masłem, mówi się o nich *pakka* – ugotowane, pewne.

System kastowy został zniesiony w połowie XX w., konstytucja Indii zakazuje dyskryminacji na podstawie pochodzenia. Jednak nawet dziś bramin przychodzący z wizytą do nieszlachetnego domu być może poczęstuje się smażoną warzywną przekąską, ale nie tknie niczego, co zostało ugotowane, i nie wypije herbaty. Norm, jakie dzielą i łączą Hindusów w sferach kulinarnych, nie da się jednak usystematyzować. Większość socjologicznych i antropologicznych opracowań objaśnia fenomen spożywczych zawiłości poprzez miniaturowe studia nad poszczególnymi środowiskami. Możliwe jest opisanie reguł rządzących życiem jednej wioski, ustalenie ogólnych zasad, którymi kierują się członkowie kasty w granicach różnych stanów, ale niewiele ponadto.

Współcześnie te stosunki są jeszcze bardziej skomplikowane, bo część barier runęła, a inne pozostały. (...) Dziś coraz częściej zdarza się, że w korporacyjnej drabinie różnie urodzeni stoją ramię w ramię. Ktoś dojeżdża z willi z ogrodem, ktoś inny z apartamentowca, zagrzybionego mieszkania albo chałupy w slamsach, a wszyscy spotykają się w tym samym biurze, pracują wspólnie i chodzą razem na biznesowe lunche. Rzeczywistość wymusza interakcje, uniemożliwia utrzymanie tradycyjnych podziałów, jednak to wcale nie oznacza, że prowadzi do równouprawnienia. Szanse i zasoby wciąż są nierówno podzielone, a na gęstą sieć tradycyjnych zależności nałożyła się nowa hierarchia wolnego rynku. W nowoczesnym zamieszaniu wielu ubogich widzi dla siebie szansę – pną się po drabinie gospodarczego sukcesu, zdobywają pieniądze i stanowiska, przeprowadzają się do zamożniejszych dzielnic, jedzą bardziej wyszukane posiłki. Ale w dawnej strukturze społecznej stoją w miejscu. Obok nowych szans zyskują nowe frustracje. Menedżer, z którym spędzają całe dnie w pracy, nie zaprosi ich na swój ślub i nie odwiedzi ich z okazji narodzin dziecka. Odmówi zjedzenia kolacji w ich domu, a jeśli już zajrzy z wizytą, niczego nie spróbuje. Mimo że przed południem kupili obiad w tym samym bistro. Zmieniły się okoliczności i jadłospis, ale koncepcja czystości nie zanikła.

W kuchni kobiety doświadczają samotności i żeńskiej wspólnoty, jednoczesnego uwięzienia i uwolnienia.

Fragmenty książki Pauliny Wilk *Lalki w ogniu. Opowieści z Indii*, Marginesy, Warszawa 2022

eprasa.pl cf59a59924

Andrzej G. Kruszewicz,
Katarzyna Burda

Ssaki, czyli specjaliści od poligamii

Wśród ssaków partnera najczęściej wybiera sobie samica

Większość ssaków to poligamiści – samce dążą do zapłodnienia jak największej liczby samic i nierzadko składają cały wysiłek opieki nad młodymi na barki samicy, opuszczając ją tuż po kopulacji. Jak w całej reszcie zwierzęcego świata, również wśród ssaków partnera najczęściej wybiera sobie samica. To ona ponosi później trud wychowywania potomstwa, dlatego musi starannie wybrać zdrowego partnera z dobrymi genami. Liczą się wielkość i siła, dlatego samce u ssaków są zazwyczaj większe od samic. Panowie mają również cały repertuar zalotnych zachowań oraz ozdób, a jedną z nich są jaskrawo ubarwione genitalia, najczęściej na czerwono czy różowo albo na niebiesko, jak u niektórych małp. Obrzmiałe i zaczerwienione genitalia miewają również samice. To znak dla samców, że można zacząć się starać o ich względy.

Są jednak gatunki, u których samice mają ukryte narządy płciowe, tak aby samiec nie mógł rozpoznać fazy cyklu samicy, tak jest np. u szympansów. No i u ludzi. Co więcej, szympansica często zdradza dominującego samca z innymi w grupie, aby każdy samiec w stadzie myślał, że jest ojcem jej dzieci. To, po pierwsze, gwarantuje lepszą opiekę potomstwu i matce, a po drugie, zabezpiecza ją i dzieci na wypadek detronizacji dominującego samca i przejęcia władzy przez innego. Jeśli był on już seksualnym partnerem danej samicy, potraktuje ją łagodnie i nie zabije jej dzieci, nie ma bowiem pewności, czy nie jest to jego potomstwo.

Samice ssaków rozumieją, że kopulacja to nie tylko przyjemność, ale też narzędzie wpływu i nacisku na samców, zwłaszcza tych dominujących, z którymi trzeba dobrze żyć. Co nie oznacza, że nie można czasami zrobić małego skoku w bok. Takie sprytne manipulacje nie są bynajmniej ludzkim wynalazkiem. U kangurów zdarza się nawet tak, że w dwóch macicach samicy rozwijają się dwa kangurzątka – każde po innym ojcu. Dwie macice mają także mrówniki, a u wielu gryzoni macica jest podzielona na dwie niezależne komory, co także umożliwia podwójną ciążę. Dzięki takiemu anatomiczno-fizjologicznemu przystosowaniu u zajęcy okres pomiędzy porodami jest krótszy niż czas trwania ciąży.

Ogromny wpływ na rozwój zachowań seksualnych ma też coraz większa świadomość przyjemności orgazmu. Wiele ssaków to fani masturbacji – czynności właściwie niespotykanej u ptaków czy gadów. Masturbują się samce wielu gatunków, głównie tych, które żyją w dużych stadach konkurentów. (...) U dzikich

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cf59a59924

orangutanów obserwowano też masturbację polegającą na wsuwaniu penisa w dziurkę zrobioną w dużym liściu. Odrobiną autoerotyzmu nie gardzą również samice, głównie naszych najbliższych krewniaków, czyli naczelnych. Samice orangutana to jedyne oprócz *Homo sapiens* ssaki, które wymyśliły erotyczne zabawki. Potrafią ułamać kawałek gałęzi

Samica pandy jest płodna zaledwie przez trzy dni w roku.

czy liany wielkości i grubości członka przedstawiciela swego gatunku i używać go z upodobaniem jako erotycznego gadżetu. (…)

Seks królowej, czyli z życia golców piaskowych

Mówi się, że to jedno z najbrzydszych zwierząt, jakie udało się wymyślić matce naturze. Trudno się nie zgodzić: golec, jak sama nazwa wskazuje, jest nagi, pozbawiony sierści, a jego skóra jest cienka i pomarszczona niczym u staruszka. Do tego wystające żółte siekacze i niemal niewidoczne oczy. Cóż, tam, gdzie żyją golce (*Heterocephalus glaber*), na szczęście nie liczą się dobry wzrok ani wystrzałowy wygląd. Te niewielkie gryzonie, budową ciała przypominające szczury, całe życie spędzają bowiem w skomplikowanej sieci podziemnych tuneli i komnat, budowanych w piaskach pustyń Afryki Wschodniej (…).

Golce to jedne z nielicznych ssaków żyjących w koloniach podobnych do tych, jakie tworzą pszczoły czy mrówki. Na czele takiej kolonii, złożonej średnio z 75-80 osobników, stoi królowa, która ma na swoje wyłączne usługi seksualne kilku kochanków. Wszystkie inne golce w kolonii są niepłodne i się nie rozmnażają. Całymi dniami za to spełniają swoje robotnicze funkcje, jak pszczoły w ulu. Oczywiście nie uprawiają też seksu, który jest dozwolony tylko dla królowej i jej wybrańców. Mogą jednak niańczyć jej dzieci. Ona sama pobudza instynkt rodzicielski u swoich poddanych, robiąc kupy nasycone odpowiednimi hormonami. Są one przysmakiem dla innych golców, a ich zjedzenie wywołuje odruch opiekowania się młodymi zamiast np. ich zjadania. (…)

Choć kolonia golców żyje w izolacji, pewien mechanizm chroni ją przed chowem wsobnym, mogącym skutkować wadami genetycznymi i osłabieniem potomstwa. Aby tego uniknąć, co jakiś czas każdej kolonii potrzebna jest dostawa „świeżej krwi" i obcych genów. Dlatego co kilka lat królowa rodzi paru samców mogących się rozmnażać, wyposażonych w dodatkową warstwę tłuszczu ułatwiającą przetrwanie. Te młode, gdy dorosną, opuszczają gniazdo i wyruszają w podróż do innej kolonii, gdzie znajdą swoją królową. Zazwyczaj samce kochankowie w każdym gnieździe rekrutują się właśnie z takich wędrowców. W ten sposób dokonuje się dzieło mieszania genów dla zdrowia golcowego potomstwa. (…)

Afrowiórka namibijska, mistrz fellatio

Ten niewielki, brązowoszary gryzoń, mieszkający w południowej Afryce, wygląda trochę jak połączenie wiewiórki z surykatką. To niepozorne zwierzątko z puchatym ogonkiem żyje w norkach wykopanych w pustynnym piasku. Jest w nim jednak coś wyjątkowego, coś, czego nie mają ani wiewiórki, ani surykatki: samce afrowiórek (*Xerus inauris*) zostały niezwykle hojnie wyposażone przez naturę, zarówno w ogromne jądra, jak i okazały penis. Jądra afrowiórki to aż 20% długości tułowia zwierzątka, a penis we wzwodzie osiąga 40% długości tułowia! Trudno nawet porównać takie rozmiary do parametrów ludzkiego ciała.

Tak duże narządy płciowe potrzebne są oczywiście w jednym celu – do zapłodnienia jak największej liczby samic. Afrowiórki namibijskie to zwierzęta, które przy odrobinie szczęścia mogą za jednym „zamachem" zapłodnić całą grupę samic. Żyją one na co dzień w koloniach, samice prowadzą osobne „gospodarstwa domowe", składające się zazwyczaj z kilku dorosłych afrowiórek płci żeńskiej oraz ich potomstwa, które wspólnie wychowują. Samce żyją w oddzielnej grupie kilkunastu panów, mających ścisłą hierarchię, w której oczywiście ciągle próbują osiągnąć coraz wyższy status. Z samicami spotykają się wyłącznie w celach kopulacji, kopulują zaś na zasadzie „każda z każdym", a wtedy status bardzo się przydaje, bo dominujący samiec może zapłodnić najwięcej samic.

Gigantyczne jądra afrowiórki namibijskiej nieustannie wytwarzają nasienie w dużej ilości. Zwierzątko musi się jego nadmiaru w jakiś sposób pozbywać i robi to za pomocą… masturbacji oralnej. Samiec bierze długi penis do pyszczka, jednocześnie obejmując go przednimi łapkami i wykonując ruchy w górę i w dół. W ten sposób doprowadza do wytrysku nasienia, które połyka. Naukowcy zauważyli, że afrowiórki masturbują się nie tylko z powodu braku partnerek – kiedy wokół nich są samiczki, robią to nawet częściej! Chodzi prawdopodobnie o to, aby opróżnić jądra z nasienia, które w nich zalega, i użyć do kopulacji świeżo wyprodukowanego, ze zdrowymi, silnymi plemnikami.

U kangurów zdarza się tak, że w dwóch macicach samicy rozwijają się dwa kangurzątka – każde po innym ojcu.

A czemu samiec połyka swoją spermę? Możliwe, że z… oszczędności. Oszczędza jednak nie plemniki, ale wodę i substancje odżywcze zawarte w nasieniu, bo na pustyni każda kaloria i kropla wody są na wagę złota i nie można pozwolić, żeby bez sensu wsiąkały w piach. (…)

Jak zmusić pandę do seksu

Czarno-biały niedźwiedź kochający pędy bambusa to jedno z najbardziej narażonych na wyginięcie

eprasa.pl cf59a59924

zwierząt Azji. Zamieszkuje tylko maleńki skrawek lasów bambusowych w środkowych Chinach, a za główne przyczyny gwałtownego zmniejszania się populacji pandy wielkiej (*Ailuropoda melanoleuca*) uznaje się kurczenie się jej naturalnych siedlisk, jak również wyjątkowo mały zapał do rozmnażania się. Po pierwsze, natura im nie sprzyja: pandy są totalnymi samotnikami i łączą się jedynie na czas bardzo krótkich godów. Samica jest płodna zaledwie przez trzy dni w roku.

Po drugie, to zwierzęta niesłychanie wrażliwe i każdy niepokojący bodziec może natychmiast ostudzić ich miłosne zapały. Dlatego pandy w ogrodach zoologicznych niemal się nie rozmnażają. W zoo spółkujące pandy należą do rzadkości. Ostatnio, pierwszy raz od 10 lat, para pand nabrała na siebie ochoty w singapurskim zoo, co wprawiło w euforię pracowników i miliony ludzi obserwujących te zwierzęta w internecie. Opiekunowie pand sądzą, że zwierzęta podjęły współżycie, bo ogród zoologiczny był wtedy od miesięcy zamknięty z powodu pandemii i miały po prostu więcej spokoju. (...)

Jak tu zachęcić je do seksu? Naukowcy wpadli na kilka interesujących pomysłów. Jeden z oryginalniejszych polegał na seksualnym pobudzaniu samców poprzez puszczanie im na dużym ekranie innych spółkujących przedstawicieli ich gatunku. Naukowcy słusznie – i z pewnością przez analogię z ludzkimi skłonnościami – sądzili, że kiedy patrzy się, jak ktoś inny uprawia seks, samemu też zaczyna się odczuwać pożądanie. Cały przemysł pornograficzny oparty jest na tej regule. Ale czy porno ze spółkującymi pandami podnieci leniwych samców? Sprawdzili to zoolodzy z chińskiej Bazy Badawczej Rozmnażania Pand Wielkich w Chengdu. Puszczali samcom z ośrodka seksowne nagrania, a następnie wpuszczali je do samic. I samce brały się do tego, czego oczekiwali badacze! W rezultacie w 2006 r., kiedy rozpoczęto program, w niewoli urodziło się prawie 30 małych pand, co jest liczbą ogromną, w porównaniu z 2005 r., kiedy to na świat przyszło w niewoli tylko 12 czarno-białych niedźwiedziątek.

Wydaje się, że również działania ekologów i przyrodników mające na celu ochronę siedlisk pandy wielkiej zaczęły przynosić efekty, bo w ostatnich latach liczba tych zwierząt powoli rośnie. Co więcej, filmowcom udało się po raz pierwszy uchwycić i zarejestrować na filmie cały proces zalotów i łączenia się pand w pary. Aby stać się ukrytymi świadkami tego doniosłego wydarzenia, chińscy i amerykańscy filmowcy tropili pandy w lasach gór Qinling przez trzy lata! Ich cierpliwość się opłaciła, okazało się, że zaloty pand to wielotygodniowe i skomplikowane podchody, w których czynnikiem wyzwalającym owulację u samic jest wcześniejsza rywalizacja o nią dwóch samców. (...) Obserwując te skomplikowane rytuały, naukowcy zaczęli się domyślać, że być może jedną z przyczyn, dla których pandy tak trudno rozmnażają się w niewoli, jest właśnie brak rywalizacji między samcami, co stymuluje owulację u samicy. Obserwowanie, jak dwa samce zabijają się o możliwość uprawiania z nią seksu, działa na samicę jak najlepszy afrodyzjak.

Do największych macho w świecie zwierząt zalicza się **słoń morski**.

Mirunga, brutal i sadysta!

Jeżeli w zwierzęcym świecie przeprowadzilibyśmy plebiscyt na największego macho, na podium z pewnością stanąłby słoń morski, czyli mirunga (*Mirounga*). To ogromne i, zdawałoby się, niezgrabne i nieruchawe zwierzę w sezonie rozrodczym zamienia się w istnego wojownika i nabuzowanego testosteronem władcę haremu. A dodatkowo może się pochwalić niesamowitym libido, które każe mu uprawiać seks, zaloty i walczyć o harem niemal bez przerwy przez trzy miesiące – tyle bowiem trwa sezon godowy tych wielkich krewniaków naszych fok, zamieszkujących zachodnie wybrzeża obu Ameryk oraz obszar okołobiegunowy na półkuli południowej.

Kiedy spojrzymy na stado słoni morskich, pierwsze, co rzuca się w oczy, to ogromny dymorfizm płciowy. Samce są potężne, z ogromną ilością tłuszczu i przypominającym trąbę fałdem skórnym na nosie. Samice wyglądają przy nich jak dzieci, ważą od 300 do 800 kg, podczas gdy masa ciała samca może dochodzić nawet do 3 ton! Niestety, zdarza się, że podczas seksu olbrzymi samiec przygniata śmiertelnie partnerkę, a nawet swoje świeżo narodzone potomstwo. W czasie kopulacji samce są bardzo brutalne i za nic mają to, że partnerki w porównaniu z nimi są kruche i słabe. Potrafią mocno przytrzymać płetwami czy nawet zębami uciekającą samicę (one zazwyczaj uciekają), a po spółkowaniu często jest ona cała we krwi. Po kopulacji z jedną samicą właściciel haremu prawie natychmiast łapie kolejną „wybrankę".

Samiec ma w swoim haremie zazwyczaj 40-50, a nawet 70 samic, których pilnuje niezwykle zazdrośnie przed innymi samcami, walcząc z nimi zaciekle. (...) Nie wszystkie samce mają jednak haremy, tylko te najbardziej silne, wojownicze i nieustraszone. Reszta nigdy nie dostąpi przyjemności kopulacji, naukowcy szacują, że nawet 80% samców nie ma okazji do przekazania swoich genów następnym pokoleniom. (...)

A panie? One mają niewiele do powiedzenia, mogą tylko się podporządkować swojemu brutalnemu panu i władcy. Na szczęście dla partnerek samce, mimo ogromnych rozmiarów ciała, mają niewielkie penisy z rachityczną kością w środku, usztywniającą narząd podczas kopulacji. Przynajmniej sama penetracja nie jest więc dla samic bolesna.

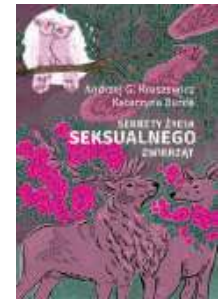

Fragmenty książki Andrzeja G. Kruszewicza i Katarzyny Burdy *Sekrety życia seksualnego zwierząt*, Rebis, Poznań 2022

eprasa.pl cf59a59924

Sylwetka nieistniejącego ambasadora RP w RFN

Pozwoliliśmy sobie – z góry przepraszamy – sparafrazować tytuł dramatu zmarłego dwa lata temu wybitnego dramaturga i kompozytora Bogusława Schaeffera, „Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego".

Nam chodzi o ambasadora w Niemczech – bo jest rzeczą niepoważną, że na tej jednej z najważniejszych dla interesów Polski placówek od miesięcy (11 listopada 2021 r. Przyłębski ogłosił, że odchodzi) de facto nie ma szefa. Ambasador RP w Berlinie potrzebny jest jak mało kiedy. A że władza z tym zwleka, podpowiadamy.

Otóż nowy ambasador Polski w Berlinie mógłby mieć na nazwisko Janusz Reiter, o gospodarce i poruszaniu się wśród elit wiedzieć tyle, ile Andrzej Byrt, mówić po niemiecku jak Marek Prawda, a prawo międzynarodowe znać jak Jerzy Kranz. Cóż, znalezienie takiej osoby jest niewykonalne dla obecnej władzy politycznej w Polsce... Skoro najwierniejsi z wiernych zawodzą (Mirosław Jasiński) i ufać nie ma komu, to władza dalej ufa Andrzejowi Przyłębskiemu, który od kilku miesięcy szuka nowej synekury. I dopóki nie znajdzie, jak szepcze korytarz w MSZ, jego żona nie dopuści do wystąpienia o agrément nawet dla dobrej kandydatki władz. Te problemy opisaliśmy tydzień temu.

Ambasador RP w Berlinie powinien dla Niemców być kimś, a nie tylko TW „Wolfgangiem". Powinien mieć umiejętność docierania do szerokich kręgów społeczeństwa, informować, że historia Europy nie skończyła się 9 listopada 1989 r. (upadek muru) lub 3 października 1990 r. (wchłonięcie NRD przez RFN). Błędy w polityce Schrödera, Merkel czy Scholza wobec Rosji należy przedstawiać w mediach opiniotwórczych, czyli popularnych, takich jak „Bild" albo programy typu talk show w telewizjach publicznych i prywatnych. Nie zapominając o „Spieglu" czy „Sternie". No więc?

Niezłym ambasadorem RP mógłby być Marek Cichocki. Chyba że dla PiS dyskwalifikujące jest bycie szerpą Lecha Kaczyńskiego podczas negocjowania traktatu lizbońskiego.

Nieoczywistym kandydatem jest Alexander Tyra. Z bliskiej władzom kuźni dyplomatów, czyli Klubu Jagiellońskiego. Wykształcony na niemieckich uniwersytetach, reemigrant z drugiej generacji Polonii w Niemczech. Młody, ale tacy jak on mogą trafić do kolejnego pokolenia niemieckich polityków.

Dobrym kandydatem byłby Marek Pernal. W latach 80. pracował w dziale wydawnictw episkopatu Polski, w pierwszej połowie lat 90. był dyrektorem generalnym w URM i zajmował się mniejszościami narodowymi. Zna angielski, francuski, hiszpański, niemiecki i czeski. Był dyrektorem Departamentu Dyplomacji Publicznej MSZ, konsulem generalnym w Barcelonie, ambasadorem w Czechach i Argentynie. Był też prezesem Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Ale proszę do niego nawet nie dzwonić. W 2018 r., po dwóch latach pełnienia funkcji ambasadora w Buenos Aires, sam zrezygnował z posady. Był to jego osobisty – człowieka, urzędnika i zawodowca – protest przeciwko ustawie Jakiego i Ziobry. Kwalifikacje profesjonalne ma? Ma! Tylko ten kręgosłup moralny do tej władzy nie przystaje…

Attaché

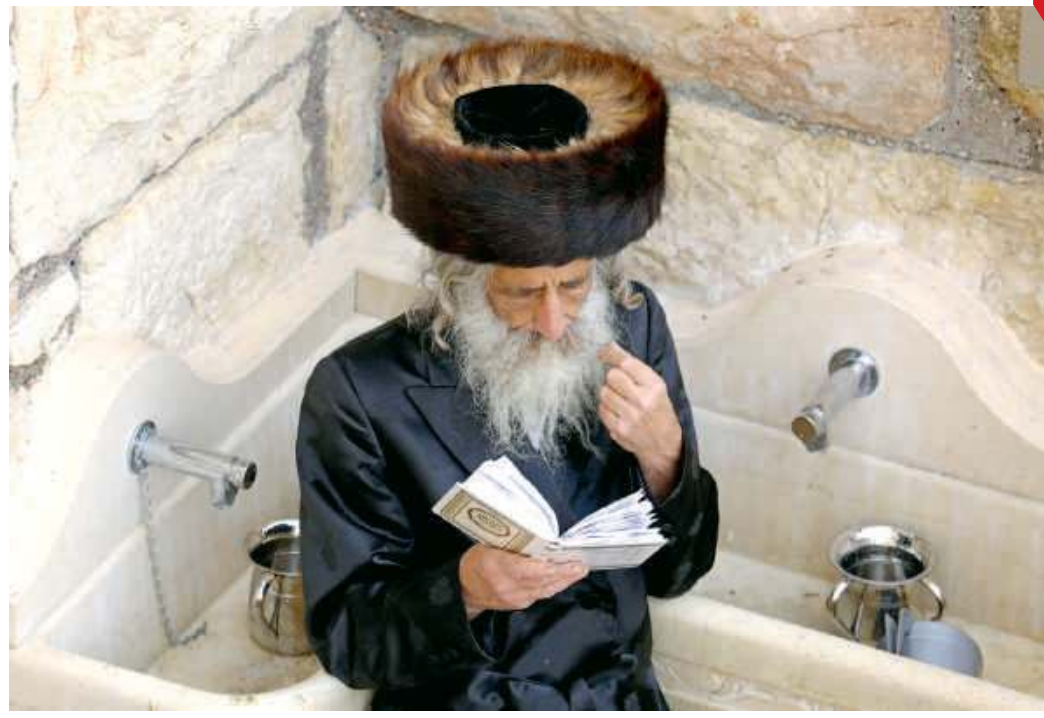

Modlący się chasyd przy Ścianie Płaczu w Jerozolimie podczas święta Paschy.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cf59a59924

JOLKA

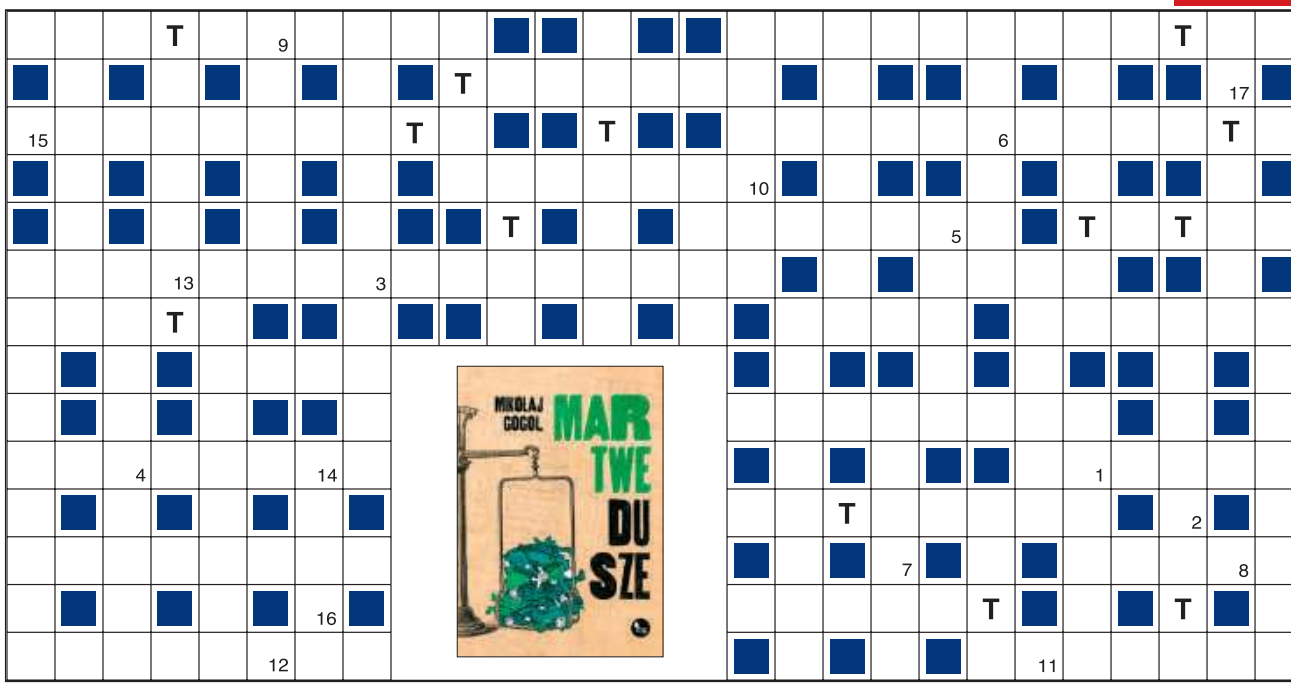

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- tańco-gimnastyka
- zjednywanie zwolenników sprawie
- imię impresjonisty Sisleya
- odpierany przez obrońców
- poeta, piewca (np. Solidarności)
- „Stara…" z Chwostkiem i Dziwą
- muzyczne mocne uderzenie
- nauka o organizmach żywych
- pasmo włosków nad oczodołem
- substancja płynna
- układny i schlebiający przy władcy
- między metanem a propanem
- używa flesza i statywu
- betlejemska w doniczce
- Denis Urubko lub Adam Bielecki
- koguta do buta, jego do wora
- i huzar, i kirasjer
- kto ma je na oczach, ten zaślepiony
- piąta, której komuś brakuje
- szczypce lub krwiopijne pajęczaki
- nieduży koszyk z pałąkiem
- gdy w grę wchodzą szeleszczące argumenty
- „Miecz i…" Wiktora Gomulickiego
- pozjadał wszystkie rozumy
- stolica Kenii
- o długim, nudnym zebraniu
- dawniej okręt (…państwowa)
- trzeba wmuszać w niego obiadek
- pociągać do niej to karać
- w parze z wiktem
- garden… to przyjęcie w ogrodzie
- w zębie lub między dwoma budynkami
- o ciele: doczesna…
- bardzo dawne czasy, prehistoria
- wywar mięsno-warzywny z makaronem
- mediator, arbiter
- naukowa lub posiedzenie sądu
- rozwiązłość, nieumiarkowanie
- od osi do osi
- serca, kroków, muzyczny
- opasła księga
- mówienie z prędkością światła
- sproszkowany do wciągania to tabaka
- co leży na niej, to nie daje spokoju
- wesoła w tytule operetki Lehára
- zwyczaj związany z nocą świętojańską
- wystawa sklepowa
- rozjaśniacz i odplamiacz

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1062". Do rozlosowania książki „Martwe dusze" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 maja 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1059" z nr. 15: *Dawać to nie znaczy tracić.*
Nagrody otrzymują: Franciszek Borowiec z Zawiercia, Bernadeta Bróż z Łańcuta, Edward Przyborowski z Warszawy.

eprasa.pl cf59a59924

PENETRACJE

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Niemcy poprzez Unię Europejską są naszym sojusznikiem politycznym i największym partnerem gospodarczym, dlatego należy w Polsce jak najszybciej odsunąć od władzy i zmarginalizować frakcję antyeuropejską i antyniemiecką. Patrzymy na Rosję bardzo nieufnie, ale nie deklarujemy wobec niej odwiecznej wrogości. To zbyt duży i zbyt niedemokratyczny sąsiad, by z nim sympatyzować lub aby nagle wychodzić przed szereg demokracji Zachodu i go drażnić. Nie wolno nam podchodzić służalczo do Stanów Zjednoczonych, choć są ważnym elementem naszej polityki obronnej. Nie zawsze jednak dalekosiężne interesy amerykańskie są zgodne z naszymi, co może oznaczać cyniczne wykorzystanie Polski.

TYGODNIK POWSZECHNY

KAROLINA LEWICKA,
PUBLICYSTKA

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym wybuchła afera Banasia, Kaczyński z Morawieckim chcą „spuścić Kamińskiego po brzytwie". Dlaczego, skoro minister należy do najbardziej zaufanych ludzi Kaczyńskiego? – Natury, które mają pewną konstrukcję psychiczną, są niebezpieczne – odpowiada jeden z polityków. – Odbyła się z Kamińskim rozmowa o ograniczeniu jego wpływów, ale Kaczyński i Morawiecki usłyszeli od niego krótkie: „Tylko spróbujcie mnie tknąć". To, że zbiera haki na wszystkich, było tajemnicą poliszynela, ale wówczas wprost zagroził prezesowi ich użyciem.

Twój STYL

ANNA MARIA JOPEK,
PIOSENKARKA

Jestem tylko muzykiem, i to wiecznie niedokształconym. Do moich codziennych powinności należy dbanie o rozwój duchowy i muzyczny. Żeby nie wiem co się działo, nie ma dnia bez praktyki duchowej i choćby półgodzinnych ćwiczeń muzycznych. W pandemii postanowiłam podciągnąć się w prasowaniu pod okiem prawdziwej mistrzyni, mojej mamy. Poprosiłam o przeszkolenie. Rozłożyłyśmy deskę i pokazałam, jak prasuję koszule. Mama powiedziała, że jest nieźle, a jedyny problem polega na tym, że nie dociskam. Nigdy „nie dociskam" w żadnej sprawie. To wbrew mojej naturze.

PANI

MAREK MODZELEWSKI,
LEKARZ, DRAMATURG

Bardzo bym chciał, by obecna władza się skończyła. Natomiast powiem szczerze, nie bardzo bym chciał powrotu do tego, co było przed 2015 r. Do tych udawanek, jacy to jesteśmy liberalni i europejscy, a jak ksiądz biskup tupnie nogą, to podkulamy ogonek… Strasznie lubimy wywieszać sztandary i strzelać do siebie frazesami. To robi i prawa, i lewa strona, bo głupota i fanatyzm nie mają koloru. One mogą być czarne, mogą być również niestety tęczowe.

Gdy doskwiera pragnienie, trzeba sobie radzić.
Kos pijący wodę z ogrodowego kranu.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI O ARMII
Na polskim przemyśle zbrojeniowym utuczyło się wielu. Niestety, nie polska armia.

RADOSŁAW SIKORSKI O WOŁODYMYRZE ZEŁENSKIM
Teraz jest naturalnym bohaterem, ale zmarnował trzy miesiące na przygotowania i odwlókł mobilizację.

BOGUSŁAW GRABOWSKI O DŁUGACH
Każdy Polak, od dwudniowego oseska po 105-letniego staruszka, ma do spłacenia prawie 40 tys. zł.

ADAM MAŁYSZ O KAMILU STOCHU
Dlaczego Kamil nie przyjdzie i nie powie wprost, że chce mieć indywidualnego trenera?

PROF. MAREK SAFJAN O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM
Jest jeden sprawiedliwy, sędzia Piotr Pszczółkowski, wybrany zresztą przez PiS. To jest człowiek, który zachowuje się niezależnie.

KRYSTYNA JANDA O STAROŚCI
Napisałam kiedyś, że uznam, że jestem już stara, jak nie będę mogła włożyć rajstop na stojąco. Od dawna już siadam.

ANNA DYMNA O RADOŚCI
Czasem lubię być głupia i patrzeć na świat, jakbym go widziała pierwszy raz.

ILONA ŁEPKOWSKA O WSPÓŁPRACOWNIKACH
Wiedzieli, że potrafię być wymagająca, krytyczna, czasem nieprzyjemna. Ale również, że najwięcej wymagam od siebie.

KUBA WOJEWÓDZKI O KASI CICHOPEK
Marna aktorka, żadna dziennikarka, postać sztuczna jak jej 24-godzinny uśmiech.

MAŁGORZATA FOREMNIAK O ZUPACH
Koniecznie gotowane w żeliwnym garnku na prawdziwym ogniu. Z kawałkiem dobrego mięsa, a do tego mnóstwo warzyw.

eprasa.pl cf59a59924

Z głowami w chmurze

Niewielki, ale ambitny kalifornijski start-up z branży kosmicznej zyskał rozgłos nie dzięki opracowanym technologiom, ale z powodu nonszalanckiego podejścia do BHP. Firma Pythom Space, która ma zamiar wysyłać misje m.in. na Marsa, udostępniła w mediach społecznościowych film z testu silnika swojej rakiety. Na nagraniu widać, jak jej pracownicy stoją zaledwie kilkanaście metrów od stanowiska startowego, po czym zaczynają uciekać, gdy dosięga ich chmura toksycznych gazów wylotowych. Co więcej, podczas podnoszenia rakiety do pionu bezpośrednio pod nią znajdowały się osoby bez chociażby kasków ochronnych. Pythom, macie problem (wizerunkowy).

Tabletko, cóżeś ty za pani!

Kiepską prasę ma także prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, a wszystko przez to, że ujawniono zakup przez tamtejszą marynarkę wojenną i siły powietrzne ponad 30 tys. tabletek viagry. Mundurowi tłumaczą, że inkryminowany specyfik jest używany w leczeniu nadciśnienia płucnego, ale nie przekonuje to polityków opozycji. Uważają oni, że odpowiedzialność za nietypową transakcję ponosi głowa państwa, i oczekują od niej wyjaśnień. Ponieważ już za kilka miesięcy Brazylijczycy udadzą się do urn, zasadne jest pytanie: czy afera tabletkowa wywoła zaburzenia elekcji?

Nietanie to nagranie

Ukraińska organizacja pozarządowa wzbogaciła się o ćwierć miliona dolarów, gdyż dubajskie studio nagraniowe kupiło viralowy film z tańczącymi grabarzami z Ghany. Brzmi skomplikowanie, ale sprawa jest dość prosta: grupa Nana Otafrija za ponad milion zielonych sprzedała 3F Music cyfrowy certyfikat własności (tzw. NFT) słynnego wideo, na którym jej członkowie tańczą z trumną na barkach. Następnie muzykalni pomocnicy Charona jedną czwartą zysku z transakcji przekazali fundacji Powiernis Żywym. A wydawałoby się, że za ogólnodostępne nagranie nikt nie zapłaci nawet złamanego obola…

CO SIĘ KRYJE W NAZWISKACH

W naszych nazwiskach kryje się historia, nie tylko prywatna – także historia miejsca, z którego pochodzi nasza rodzina, zawód wykonywany przez jakiegoś naszego przodka albo jego przezwisko. Skąd się wzięło nasze nazwisko?

W Polsce zawsze mieszkali obcokrajowcy – albo pojedynczo, albo jako mniejszości narodowe. Wciąż są w naszym kraju takie mniejszości jak niemiecka, litewska, tatarska czy żydowska, kiedyś jednak było ich więcej i były o wiele liczniejsze. Ale ślady nawet pojedynczych przodków innych narodowości można znaleźć w nazwiskach.

Dauksza, Daukszewicz – w języku litewskim *daugsus* to „liczny, obfity"; prawdopodobnie tak nazywano kogoś, kto miał liczną rodzinę.

Fragment z książki Michała Rusinka *Podbipięta, czyli co się kryje w nazwiskach*, Znak Emotikon, Kraków 2022

eprasa.pl cf59a59924

Jubilat w berlińskim zoo. Goryl nizinny Fatou świętuje 65. urodziny.

Przez żołądek do peceta

Nie może narzekać także niejaka Savannah Mortenson. Użytkowniczka TikToka postanowiła spożywać na wizji obrzydliwe jedzenie do momentu, gdy suma wpłat od widzów wystarczy jej na zakup nowego komputera. Dzięki hojności internautów dziewczyna może obecnie grać w wymarzoną grę, no i wreszcie nie musi żywić się takimi „daniami" jak hamburger zmiksowany z karmelową kawą mrożoną i wódką. Odważni mogą odszperać w sieci nagrania z całego przedsięwzięcia – tylko po co?

Dobry żart algorytmu wart

Google stworzył sztuczną inteligencję obdarzoną czymś w rodzaju poczucia humoru. Chodzi o zaawansowany model językowy o nazwie PaLM, który stale się samodoskonali dzięki mechanizmowi tzw. uczenia maszynowego. PaLM jest w stanie nie tylko tworzyć sensowne teksty, które można pomylić z dziełami człowieka, ale również interpretuje żarty i wyjaśnia ich istotę. W niedawno opublikowanym raporcie na temat wspomnianej technologii znalazło się kilka przykładów jej zdolności do analizy zdań, których znaczenie w dużym stopniu zależy od kontekstu. Jeśli tempo rozwoju podobnych rozwiązań się utrzyma, zawodowym satyrykom nie będzie do śmiechu…

FOT. PACZAIZM.PL (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, OGLĄDAM WIADOMOŚCI BO NIE STAĆ MNIE NA DOPALACZE, REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl cf59a59924

Paweł Kuczyński, 46

Paweł Kuczyński, Control

Kuczyński vs. Sarnecki

Duet uznanych w świecie artystów. Paweł Kuczyński jest znakomitym rysownikiem, ilustratorem i satyrykiem, którego prace prowokują do refleksji. Specjalizuje się w ironicznych i ostrych komentarzach do kwestii społecznych, ekonomicznych i politycznych, np. na temat Facebooka i nowych technologii w naszym życiu. Norbert Sarnecki to mistrz formy przestrzennej, rzeźba jest jego życiową pasją. Absolwent Wydziału Malarstwa, Grafiki i Rzeźby poznańskiej ASP, na którym w 2010 r. uzyskał tytuł doktora. Ma w dorobku dziesiątki rzeźb, posągów i statuetek; laureat wielu nagród.

V.A. Gallery Poland
Poznań Wysogotowo, ul. Wierzbowa 162
do 30 kwietnia

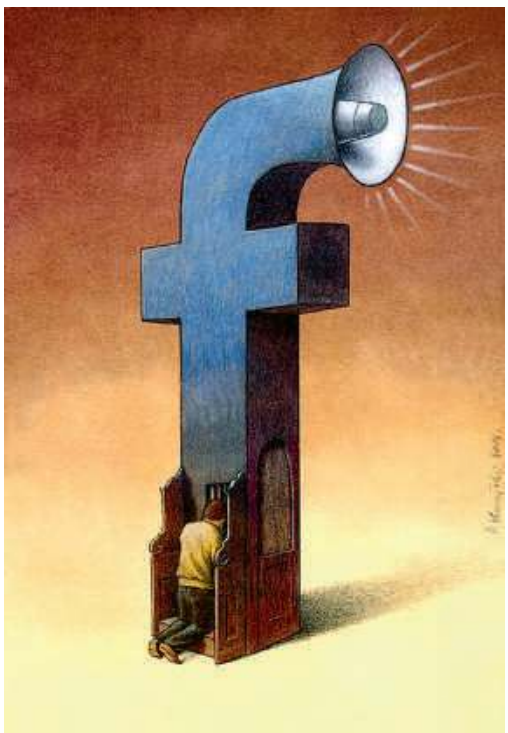

Paweł Kuczyński, Wyznanie

Norbert Sarnecki,
Zmiany klimatyczne

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

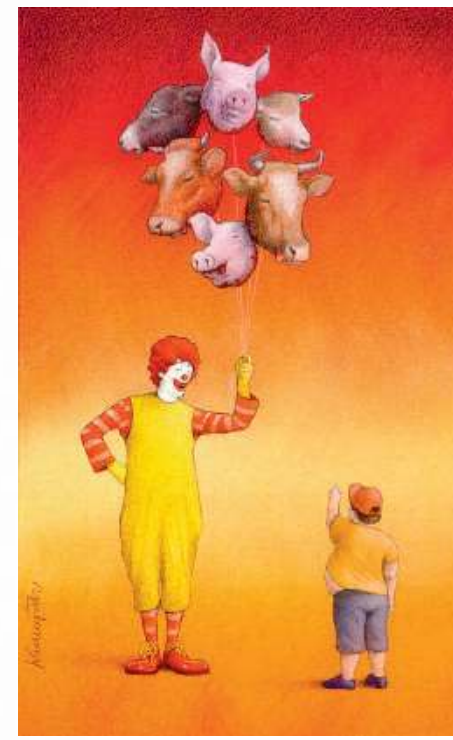

Paweł Kuczyński, Balloons

eprasa.pl cf59a59924

TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ
CHORYM DZIECIOM
KRS: 0000168783
Fundacja Dziecięca Fantazja
organizacja pożytku publicznego
opp

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY ◆ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

NOWOŚĆ

KAŻDY PIĄTEK PO SPEKTAKLU NA DUŻEJ SCENIE

29 kwietnia - 19:30 - A mi to rybka!
6 maja - 19:00 - Kiedy kota nie ma...
13 maja - 19:30 - Alibi od zaraz
20 maja - 19:00 - Kiedy kota nie ma...
27 maja -19:00 - Kochane pieniążki

◆ KUP BILET ◆ www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni: MAXXX, Tygodnik, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety

Partnerzy Teatru: Strefa Music, Obag.pl, PLZ, Aktywna Warszawa

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl cf59a59924